

ADAM
WISNIEWSKI-SNERG

ARIKA



Adam Wiśniewski-Snerg

Arka

Arka

Copyright © by Adam Wiśniewski-Snerg

Redakcja: Paweł Dembowski

Korekta: Katarzyna Derda

Ilustracja na okładce: Jarek Kubicki

Projekt graficzny okładki: Nina Makabresku

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

ISBN 978-83-65074-10-2

Wydawca: Code Red Tomasz Stachewicz

ul. Sosnkowskiego 17 m. 39

02-495 Warszawa

<http://www.bookrage.org>

1.

Prawie każdy, komu życie upłynęło z dala od rodzinnych stron i kto nie biegnie nad przeszkodami lat, tracąc dech w ekstazie pogoni za jakimś celem — więc każdy, kogo nie łudzi już nadzieja, że drugi koniec drogi jest ważniejszy od pierwszego, nosi w sobie sentyment do początku swych dziejów i prędzej czy później odczuje pragnienie, by odwiedzić tamto miasto albo wieś, aby jeszcze bodaj raz spojrzeć na stary, opuszczony kiedyś dom, z którego rozwinęła się w nieznaną wówczas przestrzeń świata bardziej lub mniej zawiła linia jego losu.

We mnie nostalgia ta odezwała się w czterdziestym pierwszym roku życia — podczas długiej morskiej podróży. Dotąd wcale nie znałem tego przejmującego uczucia. Wszelkie określenia, jakimi ludzie je opisują, zaliczałem do zbioru pustych słów. Czyż nie lepiej jest przemierzyć przestrzeń i dogonić czas? Po co go tracić na jakiegokolwiek powroty? Na żadnym z kontynentów nic nie przypominało mi krajobrazów ojczystego kraju. Tęsknotę za porzuconym domem odczułem dopiero na pełnym morzu, gdy ogarnąłem wzrokiem bezmiar wód oceanu, w takim bowiem otoczeniu upłynęło mi całe dzieciństwo. Odtąd cierpiałem bez żadnej nadziei na zaspokojenie rozbudzonego pragnienia, aż późnym wieczorem pewnego dnia po raz pierwszy od trzydziestu dwóch lat usłyszałem znowu to święte dla mnie słowo: „Arka”.

Jak zwykle o tej porze, wyszedłem z kajuty, aby spojrzeć przez panoramiczne okno. Opustoszały już wszystkie pokłady i tylko w jednym z barów, gdzie spędziłem dłuższy czas, siedziało jeszcze kilkanaście osób. Nie przyglądałem się im ani ich nawet nie słuchałem. Zajmowali stoliki w odległym kącie lokalu. Zatopiony we własnych myślach nie zwracałem uwagi na treść prowadzonej tam rozmowy, aż nagle ktoś, kogo wielokrotnie nazwano „nawigatorem”, wymówił magiczne zdanie: „Nad ranem miniemy Arkę”.

Nieoczekiwany sukces, częściej niż porażka, staje się źródłem groźnego spiętrzenia emocji. Znane są przypadki, że człowiek mdleje lub nawet — co wydaje się paradoksalne — umiera, kiedy przynoszą mu nowinę o jakimś jego wielkim i niespodziewanym zwycięstwie. Nikogo

nie dziwi zgon wywołany bardzo złą wiadomością, ale identyczny skutek spowodować może również nowina niezwykle dobra. Jak wskazują lekarze, osłabionego systemu nerwowego lepiej nie obciążać nagle zbyt wielkim ładunkiem szczęścia.

Arka była miejscem mego urodzenia. Na tej to właśnie fregacie przyszedłem na świat i razem z matką (jeśli nie liczyć załogi wielokrotnie zmienianej przez ojca) spędziłem pierwsze dziewięć lat swojego życia. Później, kiedy zamieszkaliśmy w mieście, gdzie ojciec prowadził interesy, na naszym trójmasztowym jachcie wybuchła epidemia cholery. Ofiarą jej padła prawie cała załoga. Na domiar złego gwałtowna burza uszkodziła ster, kadłub i maszty żaglowca. Pozostali przy życiu ludzie wsiedli do szalup i porzucili zarażony wrak na pełnym morzu. Kilku marynarzy szczęśliwie przeżyło chorobę, ale nasz statek-widmo — kierowany prądami — zaginął bez wieści. Odtąd przez trzydzieści dwa lata nie wierzyłem w możliwość odnalezienia Arki. Czasami wracałem do niej we śnie, zawsze jednak, ile razy wyobrażałem sobie miejsce jej wiecznego spoczynku, widziałem dno Pacyfiku.

Zapewne na moim statku pływali teraz jacyś obcy ludzie. I oto mało prawdopodobny przypadek skierował go do rejonu podróży „Tomahawka”, którego nawigator, dzięki radarowi i łączności radiowej, znając dokładnie położenie wszystkich jednostek pływających w okolicy naszego transatlantyku oraz ich prędkości i kierunki, przewidywał ewentualne kolizje.

Przez kilka minut głębokie wzruszenie nie pozwalało mi ruszyć się z miejsca. Było zbyt silne i musiałem je tłumić, gdyż w całym ciele czułem już tętno rozsadzające układ krwionośny. Nie do wiary! Gdyby mi ktoś powiedział, że widział gdzieś Arkę lub choćby tylko słyszał o jej istnieniu — już byłaby to dla mnie wiadomość niezmiernie radosna. Lecz wtedy musiałbym przeszukać wszystkie porty i morza. Tymczasem los sprawił mi wspaniałą niespodziankę. Ten jacht był teraz jedynym moim skarbem i za kilka godzin mogłem znowu stanąć na jego pokładzie. W takim stanie ducha, ożywiony nagle po długim okresie letargu, gotów byłem poruszyć niebo i ziemię. Wróciłbym jednak zaraz cicho do swej koi, gdyby to mogło wpłynąć na zmianę naszego przeznaczenia, do Arki bowiem, na co wskazywał niepojęty upór bezdusznej załogi Tomahawka, wiodła tylko jedna, równie tragiczna, jak i zagadkowa droga — przez zatopienie

transatlantyku.

Telefon kapitana milczał. Zadzwoiłem więc do nawigatora, a gdy odłożył słuchawkę, nim zdążyłem mu wyłożyć, o co mi właściwie chodzi, wykręciłem trzeci numer, łącząc się z oddziałem radiowej komunikacji. Myślałem o nawiązaniu kontaktu z Arką, lecz po kilku zdaniach radiotelefonistki odniosłem wrażenie, że dyżurna jest pijana. Przez kwadrans nie znalazłem z nią wspólnego języka. Ponieważ słowa „nad ranem” nie dość precyzyjnie określały czas oczekiwanego spotkania statków, obiegłem pokład wokoło, rozglądając się we wszystkich kierunkach, zdenerwowany i zaniepokojony, czy światła Arki nie widać już na horyzoncie. Po godzinie jałowych targów z bosmanem, któremu w barze postawiłem kilka kolejek, otoczony przez prostych, rozbawionych czymś marynarzy, by dalej nie tracić czasu, sprawę przeniesienia na mój jacht postanowiłem załatwić na najwyższym tutaj szczeblu — bezpośrednio u kapitana transatlantyku.

Jak się spodziewałem, pokonanie tak wysokiego progu — w nocy! — przekraczało możliwości zwykłego pasażera. Drogę do jego kajuty zagrodzili mi dwaj czujni stewardzi. Powiedziałem, kim jestem. W pierwszej chwili cofnęli się o krok, co dało mi złudzenie odniesionej nad nimi przewagi. Niestety, rozwiało się ono przy próbie zbliżenia do drzwi dostojnej sypialni: ani moje stanowisko na łądzie, ani banknoty, rozrzutnie wsuwane im do kieszeni, nie zdołały ich przekonać. Owszem, za hojny napiwek podziękowali ukłonami, obiecując przy tym, że rano, a ściślej — o dziewiątej, to znaczy po śniadaniu, kapitan natychmiast powita mnie w swym gabinecie i z pewnością będzie rad z uczynionego mu zaszczytu. O tej jednak porze (była druga po północy) tylko katastrofa (użyli tego groźnego słowa!) usprawiedliwiłaby alarm i czyjąkolwiek wizytę u dowódcy statku.

Od pewnego czasu zanosilo się na burzę, choć ocean nadal był dziwnie spokojny: w dusznym powietrzu czuło się jakieś histeryczne, od wielu godzin nie rozładowane napięcie. Nisko nad lustrem wody — wokół horyzontu — spiętrzył się wał rozrywanych błyskawicami chmur, a ponad nami, pośrodku tego zwierającego się powoli kręgu, aż do gwiazd ziała dziura kryształowo czystego powietrza, którą różnica ciśnienia — kto wie jak olbrzymia — musiała wkrótce obrócić w huraganowy lej. Czy przypadkiem sytuacja baryczna nie nosiła cech

zbliżającego się cyklonu?

Spod drzwi kapitańskiej kajuty raz jeszcze pobiegłem na taras przedniego pokładu, skąd wreszcie zobaczyłem znajome latarnie. Mrugały z dużej odległości — na linii sinego widnokręgu, dokąd pełną mocą silników pruł wody ponury kadłub Tomahawka. W ciężkiej atmosferze niepewności światła te dodały mi otuchy. W ich blasku Arka różowiła się nieśmiało jak pierwsza zapowiedź jutrzeńki.

Na ten widok — wzmocniony świeżym przypiływem energii — ruszyłem do sterowni, gdzie akurat nastąpiła zmiana wachty: drugi oficer przyjął służbę od pierwszego.

Powiedziałem, że nazywam się Patryk Tenevis. Przyjął to uprzejmie, a po powitaniu zwrócił twarz w stronę panoramicznej szyby i spojrzał przed siebie w dal z takim zainteresowaniem, jak gdyby moje nazwisko natychmiast skojarzyło mu się z niezwykle sylwetką odległej fregaty. Coś o mnie słyszał — pomyślałem.

— Tenevis — powtórzyłem z naciskiem, przekonany już, że mogę na niego liczyć. — Tamten jacht odziedziczyłem po śmierci rodziców.

Wskazałem groźny horyzont. W strumieniach gwałtownej ulewy obraz statku majaczył jak zjawa: to płonął na tle rozdartej błyskawicą czerni, to znów ginął w mrocznym bezkresie.

— Tamten jacht? — spytał.

— Widzę, jak to pana zdziwiło. Chyba zaszło tu małe nieporozumienie: rodzice moi nie zawarli ślubu, toteż od dziecka noszę nazwisko matki, która była córką znanego panu indiańskiego wodza, Tenevisa. Lecz moim ojcem był Dean Nevazar... — zawiesiłem głos, kiedy uniósł brwi. — Tak! Właśnie ten brazylijski milioner. Użyłem terminu „jacht”, ponieważ w czasach, gdy pływałem na nim z matką, Arka była statkiem sportowym.

Rzucił mi krótkie spojrzenie i zaraz przeniósł wzrok na ocean. Wyglądał teraz na człowieka bardzo czymś zmęczonego. Położyłem to na karb nocnej wachty. Być może — w nadmiernym podnieceniu — świadom ostatniej szansy, zalałem go zbyt wielkim potokiem zbędnych tu informacji o sobie, bo długo milczał, jakby w ogóle był roztargniony czy tylko w tej chwili nagle speszony, że szybko nie umie ich uporządkować.

Gdy Arka podpłynęła bliżej, zachęcony zmianą w wyrazie jego oczu,

opowiedziałem mu zwięźle jej burzliwą historię. Wszystko to było niezbędne, by przynajmniej on pojął, czym ta fregata jest dla mnie i dlaczego za jedną z szalup Tomahawka, którą zamierzam przeprowić się na swój zagłowiec, zapłacę chętnie potrójną cenę. Bez zwłoki wyjąłem książeczkę czekową.

Rzecz prosta, zdaję sobie sprawę z masy i prędkości Tomahawka, toteż za krótkotrwałe zwolnienie i — co za tym idzie — nieznaczne opóźnienie tego statku gotów jestem podwoić, ofiarowaną sumę. Zresztą, gdyby dał mi do szalupy jednego marynarza, mógłby ją wkrótce odzyskać razem ze sternikiem (przecież łódź jest motorowa), nie tracąc wypisanego już czeku.

Dlaczego milczy? Dziwi go pewnie, czemu raptem — pośrodku słono opłaconej drogi — chcę zejść z komfortowego transatlantyku na pokład starej, zdemolowanej łajby, jak gdybym w rejsie pasażerskiej linii — a może i w życiu — nie miał w ogóle żadnego celu. Niech wie, że nie jest to kaprys zblazowanego spadkobiercy, tylko najgłębsza potrzeba nieszczęśliwego w gruncie rzeczy człowieka, którego nikt nie żegnał w opuszczonym porcie i nikt też nie powita go u kresu tej podróży.

Za nami stał sternik. (Gdyby się nie odezwał, nigdy nie uświadomiłbym sobie jego obecności). Kiedy pochylił się nad mikrofonem przy sterowym kole i powiedział cicho: „Niech ktoś wreszcie wyprowadzi stąd tego zwariowanego Metysa”, nie czekałem już dłużej na reakcję drugiego oficera.

Poszedłem najpierw do swojej kajuty, zakleiliśmy kilka najcenniejszych rzeczy w wodoszczelnej kopercie, wcisnąłem ją do kieszeni i udałem się do przedziału radiowej komunikacji, skąd zamierzałem wezwać Arkę, aby przysłała mi swoją łódź ratunkową. Oczywiście, bez porozumienia z fregatą — płynąc wpław — nigdy bym jej nie dogonił. Ale i tak zejście z wielopiętrowego pokładu do podstawionej mi szalupy, przy znacznej prędkości Tomahawka, więc jakieś karkołomne zsuwanie się po długiej, rozhuśtanej linie, w warunkach nieludzkiej obojętności ze strony tutejszej załogi — wcale nie wchodziło w rachubę. Ostatecznie postanowiłem zaczekać na szalupę Arki i skoczyć z pokładu do morza, by potem spokojnie popłynąć na jej spotkanie.

W realizacji tego rozpaczliwego planu przeszkodziła mi pijacka

wesołość radiooperatorki, która objęła dyżur zaraz po kapitańskim balu i od czasu naszej pierwszej telefonicznej rozmowy nie odzyskała jeszcze pełnej przytomności umysłu. Sensowne żądanie uzyskania łączności z fregatą obróciła w żart. Rozbawiona moimi poważnymi argumentami, dopóty chichotała i przekomarzała się ze mną, aż Tomahawk minął Arkę. Wtedy blady jak trup odepchnąłem ją od aparatury, próbując rozdygotanymi palcami, czy sam nie zdołam nawiązać upragnionego kontaktu. Niestety, nie znałem długości fali, na której pracował odbiornik Arki: w odpowiedzi na manipulacje przy gałkach z głośnika odezwały się zgrzyty i piski. Radiooperatorka ciężko podnosiła się z podłogi. Wskoczyłem na pokład w poszukiwaniu fachowej pomocy.

Zegarek wskazywał trzecią nad ranem. Stałem pod jakąś ścianą, dezorientowany i zdziwiony, czemu — o tak późnej porze — nie, leżę jeszcze w swej koi. Statek spał. Naraz przypomniałem sobie, że kogoś szukam, ale nie pamiętałem po co. Gdzieś zagrało radio. Wtedy wróciła mi świadomość całej sytuacji: przed chwilą po raz ostatni w życiu zobaczyłem to, co po dalekiej burzy jak smutny cień dawnych lat pozostało na morzu i bezwładnie przepłynęło obok Tomahawka — wrak Arki, utraconej już teraz na zawsze.

W głębi korytarza ukazała się grupa bardzo czymś podekscytowanych ludzi. Marynarz w niebieskiej koszuli spojrzał na mnie i zatrzymał wszystkich, otwierając usta w niemym okrzyku o takiej mocy, jakby przywoływał kogoś z wielkiej odległości. Inni również gestykulowali i bezgłośnie poruszali wargami. Po sekundzie zrozumiałem, dlaczego nie słyszę tych głosów: zdominował je przenikliwy skowyt alarmowy syreny Tomahawka.

Nieomal w tym samym momencie pokład statku pochylił się silnie do przodu. Upadłem na ścianę. Ludzie w korytarzu też stracili równowagę i sunąc kolejno po śliskiej posadzce, z impetem runęli na mnie. Przywalony ich ciężarem usłyszałem podwodny grzmot. W kadłubie — od rufy do dziobu — przebiegło głuche dudnienie, akby łoskot przewalającej się tam lawiny. Zapadła złowroga cisza. Między marynarzami dostrzegłem dwie pasażerki. Ogarnięci paniką, wszyscy szarpali się wzajemnie bez żadnego sensu. Ktoś zadał mi cios kolaniem w brodę, ktoś inny — myśląc pewnie o pozostawionej w kajucie kamizelce ratunkowej — wdrapywał się pod stromą górę pokładu po moich

plecach. Ale już było za późno. Ledwie zdążyłem wyczołgać się spod skłębionych ciał i pomyśleć, że z Tomahawkim dzieje się coś strasznego, gdy drugi potężny wstrząs wyrzucił nas wszystkich za burtę.

Zanim wypłynąłem na powierzchnię morza, poczułem na stopie konwulsyjny chwyt jakiegoś topielca. Drugi rozbitek równie energicznie ciągnął mnie z tyłu za włosy. Kiedy tak obciążony wynurzyłem się z wody, rufa Tomahawka — niczym samotny wieżowiec — wzniosła się prosto ku niebu. Na szczęście dla nas, transatlantyk tonął w bezpiecznej odległości. Jego długi kadłub w czasie kilkunastu sekund zapadł się w morskiej otchłani. Wczesny brzask nie ukazał żadnego brzegu. Lecz gdy odwróciłem głowę, odrywając wzrok od środka groźnego wiru, którym ocean zacierał ostatni ślad po tajemniczej tragedii, uświadomiłem sobie, że przynajmniej my trzech jesteśmy uratowani.

Nie opodal nas majestatycznie dryfowała Arka. Kikuty jej masztów trącały już promienie bliskiego wschodu.

2.

Na burcie fregaty wisiała sznurowa drabina. Aby do niej dopłynąć, musiałem oswobodzić ramiona, znowu unieruchomione kurczowymi chwytami obu marynarzy. Wyrywałem się im wielokrotnie, nie pojmując, dlaczego ci silni mężczyźni (moc ich dłoni świadczyła o pełnej przytomności) nie umieją w wodzie radzić sobie sami. Zatonęliby jednak bez mojej pomocy, pchałem ich więc mozolnie przed sobą, przy czym pracowałem tylko nogami.

Z daleka mogło się wydawać, że statek jest opuszczony, ale gdy podpłynęliśmy bliżej, sponad burty wyrzała głowa brodatego mężczyzny.

— Nie ma miejsc! — zawołał.

Patrzył nieprzyjaźnie. Nie dowierzałem własnym uszom, bo po katastrofie Tomahawka, którą równie dobrze jak i my musiał widzieć z Arki, okrzyk ten trudno było zaliczyć do wisielczych dowcipów, nawet najbardziej ciężkich: wołał do nas takim tonem, jak gdyby siedział w szalupie ratunkowej, już po brzegi wypełnionej rozbitkami. To był nonsens. A może żart, mimo wszystko? W każdym razie słowa rzucone z pokładu na nasze powitanie popsuły mi pierwszą radość z ocalenia i odzyskania Arki.

Drabinę oplatały wodorosty. Wyczerpany holowaniem marynarzy pośliznąłem się na niej i z powrotem runąłem w morze. Spadając z najwyższego szczebla, uderzyłem kolanem w kołnierz ostrych muszli, które pierścieniem opasywały stary kadłub tuż pod powierzchnią wody. Z bólu pociemniało mi w oczach. Dopiero po dłuższym wypoczynku bez niczyjej pomocy wdrapałem się na pokład, gdzie moi towarzysze niedoli rozpaczliwymi głosami dyskutowali z upartym brodaczem.

— Powiedziałem przecież, że nikogo nie mogę przyjąć — powtórzył twardo, wcale nie speszony widokiem mojej zakrwawionej nogi. — Po prostu: brak wolnych miejsc. Czy mam tu ludzi układać jak sardynki w puszcze?

Rozejrzałem się wokoło: mewy z krzykiem śmigały między uszkodzonymi masztami; tu i ówdzie — wysoko na rejach — fruwały

strzępy porwanych żagli. Jeżeli nie liczyć worków z piaskiem i stosu całkiem niepotrzebnych gratów — pokład (przynajmniej na dziobie) był zupełnie pusty.

Obserwowałem bacznie twarz nieznajomego. Stał w pozie wyrażającej szczere wzburzenie człowieka atakowanego przez intruzów i czekał w milczeniu, jakby istotnie spodziewał się odpowiedzi na swe absurdałne pytanie. Nie miałem siły wyrzucić go za burzę; zresztą postanowiłem spokojnie, że usunę go ze statku dopiero wtedy, gdy opanuję ból rozbitego kolana i gdy w stosowniejszym czasie rozwiklam tajemnicę jego psychiki: inaczej ta przykra zagadka nie dałaby mi spokoju do końca życia. Po wymianie nieprzyjaznych spojrzeń dziwnego strażnika Arki bez reszty pochłonęła ostra polemika z marynarzami. Nie zauważył, że oddaliłem się od nich i powoli — mocno kulejąc — odszedłem w kierunku ruty.

Ocean był spokojny, choć niebo nadal wyglądało groźnie. Krąg pustego horyzontu oddzielił lustro wody od chaosu spiętrzonych chmur. Nie znałem odległości do lądu ani kierunku, w jakim należało szukać najbliższego portu. Statek wymagał gruntownego remontu. Lekki wiatr tarmosił szczątki płótna, lecz fregaty nie poruszał z miejsca. W takielunku też rzucały się w oczy szkody wyrządzone przez burzę: rozbujane powiewem luźne liny plątały się wokół nadbudówek pokładu. Przez wypaczoną pokrywę luku zajrzałem do zalanej wodą ładowni i dostrzegłem w niej na półce suchy zwój żaglowego płótna. Nasunęło mi to myśl o pilnej potrzebie przywrócenia statkowi pełnej sprawności.

Nierównym krokiem krążyłem długo po znajomych i obcych kątach. Każdy widok budził we mnie inne, wywołane silnymi podnieciami, uczucia, nad którymi dominowała melancholia. Wiele zmieniło się tu przez te trzydzieści dwa lata. Porównywałem rzeczywistość z obrazami powtarzającymi się we śnie. Niejeden szczegół zatarł się już w mojej pamięci, ale nie wszystkie różnice wynikały z niszczącego działania czasu. Arka nie była tak bardzo stara, jak to sobie ostatnio wyobrażałem. Co prawda, uważny i wytrwały obserwator znalazłby rdzę pod warstwą świeżej farby, jakiś uszkodzony stopień schodów czy podejrzany prześwit w dachu; zwróciłby też pewnie uwagę na wygładzone szczyrby i zamaskowane dziury, a może nawet ujawniłby wątpliwą moc kilku spróchniałych desek. Ukryte defekty zdradzały wiek całej konstrukcji,

jednak — po widocznych niemal wszędzie pracach, ciesielskich — była to w sumie nie tyle moja, okaleczona przez czas, fregata, ile dość jeszcze nowy (choć rozbity ubiegłej nocy), przebudowywany wielokrotnie i w wielu fragmentach obcy mi już teraz statek.

Przechodząc powtórnie obok luku zalanej ładowni, zauważyłem z niepokojem, że poziom wody powoli w niej rośnie. Potop ten nie był więc skutkiem przelania się przez luk jakiejś wysokiej fali, o czym pomyślałem za pierwszym razem. Kadłub gdzieś przeciekał. Trzeba było znaleźć pęknięcie i uszczelnić je, gdyż inaczej — w czasie kilkunastu godzin — statek mógł pójść na dno. Ból kolana nie pozwalał mi na wykonanie tej pracy. Patrzyłem na suchą ścianę, obserwując bezradnie, jak woda pnie się po niej systematycznie — milimetr za milimetrem.

Naraz — w ciszy przerywanej krzykami mew — usłyszałem donośne nawoływania i śmiechy. Najpierw zdziwiło mnie to, a gdy uświadomiłem sobie, co z tego wynika — bardzo ucieszyło: spotkany na dziobie wariat nie był więc jedynym mieszkańcem Arki. Przed wejściem do mesy zobaczyłem kilkunastu ludzi. Przyjrzałem się im z uwagą, ciekaw, jak spędzają czas po burzy, czas przeglądu i naprawy, bo przecież należeli do załogi tonącego jachtu.

W ogólnym zarysie przypominało to malownicze wczasy. Marynarze wypoczywali czynnie lub biernie, w zależności od kondycji lub temperamentu, ale wśród mężczyzn były też kobiety, zapewne pasażerki pechowego rejsu, i od nich rozpocząłem krótki przegląd barwnej grupy, która zgromadziła się na rufie. To właśnie one tak hałasowały. Ubrane niedbale w piżamy bądź szlafroki, jakby wstały prosto z koi, były ożywione jakimś błahym sporem i spacerowały wokół zapasowej kotwicy. Na linie zwisającej z rei, tuż nad głowami tej wesołej paczki, huścili się beztrąsko dwaj półnaczy Indianie; dwaj inni — nieprzytomni już o tak wczesnej porze — spali na pokładzie obok pustej butelki. Był tam jeszcze jeden czerwonoskóry, najstarszy; wyraźnie stronił od całego towarzystwa. Wsparty o burtę zaglądał przez okno mesy, skąd słychać było brzęk stołowych naczyń. Miał zniecierpliwioną minę i zajmował się puszczaniem dymu z fajki. Kucharka ślamazarnie nakrywała do śniadania, zaś na beczkach ustawionych przy pokrywie luku siedzieli z kartami w dłoniach czterej biali marynarze. Kibicowało im kilka zaspanych kobiet.

Zapytałem palacza, co to wszystko znaczy. Temat bardzo go poruszył: aż fajka ze złości zadrżała mu w zębach. Odpowiedział, iż protest mój rozumie i solidaryzuje się z nim, lecz skargi w sprawie opóźnionych posiłków należy zgłaszać bezpośrednio u szefa kuchni. Pomyślałem o białych marynarzach. W chwili, kiedy podszedłem do grających w karty, jeden z nich, otyły mężczyzna w okularach, pośpiesznie zerwał się z miejsca i uśmiechnięty życzliwie podał mi rękę. Podczas gdy witałem się z pierwszym, drugi marynarz (miał na sobie ciasno zasznurowany korkowy pas ratunkowy, a na głowie zakrwawiony bandaż), jakby dla kontrastu z przyjaznym zachowaniem tamtego, zmierzył mnie wrogim spojrzeniem i prowokacyjnie splunął za burtę. Zdumiewająca tu była przesada, z jaką ci nieznajomi okazywali mi swoje uczucia: nie odezwałem się jeszcze, a już wśród członków załogi znalazłem potencjalnego przyjaciela i wroga.

Potencjalny przyjaciel nie przerywał gry w karty, ale ze swego miejsca na becze bacznie mi się przyglądał. Po chwili spostrzegłem, że to nie ja tak bardzo go zainteresowałem, tylko moja kieszeń, wypchana drobiazgami uratowanymi z kajuty Tomahawka. Grał nieuważnie i dopóty tracił lewy, aż po słusznym komentarzu partnera odłożył karty, jakby się obraził, i podszedł do mnie, zapraszając do innego kąta.

W cichej rozmowie o sytuacji na statku nie kwestionował moich zarzutów, co więcej — podwajał ich wagę z oburzeniem na „tego rodzaju bałagan”. Nazywał się Tony Rayt. Jak na prostego marynarza, był podejrzanie grzeczny, nawet zanadto może, bo wcale nie klął i nadużywał zwrotu: „Tak jest, proszę pana”. W tych okularach i ze znaczną tuszą nie wyobrażałem go sobie na rei.

Po krótkim omówieniu najpilniejszych spraw bez słowa wskazał paczkę papierosów zaklejoną w środku przezroczystej torby. Wyciągnąłem z kieszeni cały swój majątek. Kiedy podawałem ogień, zauważył banknoty i spytał uprzejmie, czy skromną pożyczką mógłbym pomóc mu w potrzebie. Mogłem. Przyjął jeden banknot i by zmienić temat, oświadczył, że kapitan statku w zasadzie do niczego ich nie zmusza.

— I nie wydaje wam żadnych poleceń? — spytałem z niedowierzaniem.

— Żadnych. Chociaż, jeśli mam być ścisły... Bywa, że kiedy wychodzi

z mesy, odwraca się do nas i woła: „Trzymajcie się, chłopcy!”

— To już jest coś!

— Zresztą widujemy go bardzo rzadko, bo na ogół nie opuszcza swej kajuty. Czasami zaszczyca nas krótką wizytą na pokładzie.

— A jak się wtedy zachowuje?

— Zwyczajnie.

— To znaczy zapędza was do roboty.

— Bynajmniej. Milczy i tylko rozgląda się badawczo.

— Lecz kiedy spostrzega, że statek gnije w bezruchu lub, jak po ubiegłej nocy, po prostu tonie — wymyśla wam pewnie od darmożjadów i osłów?

— Przeciwnie: „Czemu bez potrzeby biegacie wciąż po pokładzie?”

— pyta. Albo: „Oficerowie znowu skarżyli się na hałasy. Czy nie możecie spać przynajmniej w nocy?”

— Słowem, kapitan nie gniewa się na was za beczynność, prosi tylko o zachowanie spokoju i ciszy.

— Jest to jego wizytowa płyta. Zrozumie pan wszystko, gdy wreszcie wyjaśnię, jaka idea kieruje kapitanem od początku tej dziwnej podróży. Otóż jest on przekonany, że nasz rejs zadecyduje o losie całego świata.

Rayt zdjął okulary, przetarł je spokojnie i dopiero wtedy mrugnął porozumiewawczo.

Mimo wszystko byłem zaskoczony: wiadomość o szaleństwie obecnego kapitana Arki przynosiła proste rozwiązanie zagadki jego postępowania, nie tłumaczyła jednak, dlaczego załoga bez żadnego sprzeciwu godzi się na pewną zgubę. Czy działał tu mechanizm ślepego posłuszeństwa?

Na myśl o tym ostatecznie straciłem panowanie nad sobą. Czas już był najwyższy podjąć męską decyzję i zaprowadzić tu nowy porządek.

Najpierw mianowałem Rayta pierwszym oficerem Arki. Nominację przyjął z zadowoleniem. Ponieważ po przeżyciach i trudach ostatniej nocy, a zwłaszcza z powodu rosnącego bólu kolana ledwie trzymałem się na nogach, poleciłem mu, by sam jak najszybciej dobrał sobie do pomocy drugiego oficera i nowego bosmana.

Następnie kazałem obudzić śpiących Indian, wyszedłem na środek rufy i zwracając się do wszystkich, zarówno pasażerów, jak i marynarzy, powiedziałem donośnym głosem, jak się nazywam, skąd przybyłem, co

tutaj zobaczyłem, jakim bólem przejmuję mnie opłakany stan fregaty, czego oczekuję od załogi i wreszcie — że jako dawny właściciel Arki, wobec umysłowej niepoczytalności jej obecnego kapitana, w krytycznej chwili obejmuję dowództwo nad statkiem. Powiedziałem to wszystko jednym tchem i oczekiwałem reakcji.

Kobiety stojące w grupie słuchaczy, przy pierwszych moich słowach rozgadane jeszcze i nieuważne, po ostatnim oświadczeniu umilkły raptem, a wtedy dwaj Indianie, którzy dotąd kołysali się w górze pod reją, zaintrygowani panującą ciszą zeskoczyli na pokład z wielkim hałasem i zastygli w dynamicznych pozach, patrząc pytająco to na kobiety, to w stronę białych marynarzy, to znów na siebie wzajemnie. Widać nie mogli zorientować się w sytuacji, lecz czuli jej nie rozładowane napięcie, bo gdy jeden trącił ręką swego odwróconego kolegę, by mu mnie wskazać, drugi — w przekonaniu, że tamten wzywa go do dalszych igraszek — natychmiast zdzielił go pięścią, co z kolei pierwszego skłoniło do błyskawicznego rewanzu. I tak brykali w kręgu milczących widzów, bez reszty pochłonięci wymianą lekkich ciosów i gonitwą, która wkrótce potoczyła się zgodnie z zasadami niewinnej zabawy w berka.

Biali marynarze bez komentarza powrócili do przerwanej gry w karty. Zwróciłem się do mężczyzny z bandażem na głowie, wskazując jego ratunkową kamizelkę:

— Czy ten strój uratuje ci życie, kiedy statek pójdzie na dno?

— Niewykluczone, panie uzurpatorze — odparł nonszalanckim tonem. — Ale na dno pójdzie najpierw nasz nowy dezertor, bo karcer jest pusty, a doktora Ostarholda nie tak łatwo wyprowadzić w pole.

Słyszając nieśmiałe chichoty kobiet, z beczelną miną odwrócił się do nich, zachęcony i jakby już pewien poparcia kolegów, których twarze również przybierały rysy powściągliwej kpiny.

— Dezertor? — spytałem. Rozejrzałem się wokoło w poszukiwaniu wyjaśnienia zagadki. — Nie wiem, kogo masz na myśli, ale mniejsza o to. Więc na statku jest lekarz. Dobrze, że wspomniałeś o nim, bo będzie mi dzisiaj potrzebny. Niech razem z kapitanem przyjdzie do mojej kajuty.

Należało go jeszcze zgromić za buntowniczy zwrot „panie uzurpatorze”, którym bez osłonek zakwestionował moje prawo do Arki. W atmosferze ogólnej apatii, wywołanej szaleństwem kapitana, takie przejawy nielojalności w stosunku do kogoś, kto próbuje opanować

groźną sytuację, trzeba było tłumić w zarodku. Zanim jednak uświadomiłem sobie, jak wiele ryzykuję i do czego wkrótce doprowadzić może zlekceważenie niebezpiecznego prowodyra, z mesy odezwał się gong na śniadanie.

Na ten sygnał wszyscy ruszyli do stołów, potrącając mnie po drodze z impetem i tak obojętnie, jakbym w ogóle nie istniał. Mogło się wydawać, że nikt już nie pamięta treści mojego wystąpienia, a najmniej przejmował się nim człowiek w korkowym pasie ratunkowym: otoczony ponurymi marynarzami próbował rozweselić ich głupim żartem na temat katastrofy Tomahawka Ludzi tych nic nie obchodziła tragedia transatlantyku.

Jedli z wielkim apetytem. Jak zauważyłem porcje były tu ograniczone i nawet kawę (pewnie z powodu braku wody) kucharka każdemu odmierzała sprawiedliwie. W oczekiwaniu na czyjeś życzliwe spojrzenie jeszcze przez chwilę stałem przed otwartymi drzwiami mesy, głodny, ale już zdecydowany odejść. „Karcer jest pusty” — przypomniałem sobie. Lecz kto jest dezerterskim? Nie miałem zamiaru pytać. Byłby to kolejny błąd taktyczny, gdybym teraz usiadł z nimi, aby tego się dowiedzieć. Ponieważ nie zdobyłem autorytetu, naraziłbym się na nowe kpiny. Musiałem najpierw odzyskać siły i sprawie bezpieczeństwa statku zjednać co najmniej kilku zwolenników, nieposłusznego marynarza mogłem, zaś poskromić przy innej okazji.

Oslabiony złym samopoczuciem zszedłem powoli po schodach, przy czym każdy stopień informował mój system nerwowy o coraz gorszym stanie kolana. Po krótkim odpoczynku ominąłem dziwną tu przeszkodę w postaci inwalidzkiego wózka i z bijącym sercem zatrzymałem się przed drzwiami mojej starej kajuty. Tak silnie czułem się związany z przeszłością spędzoną na fregacie, że nie miałem odwagi tam wejść. Wracałem tu przecież myślami przez trzydzieści dwa lata! Po rozczarowaniach doznanych na pokładzie obawiałem się kolejnej przykrew niespodzianki.

W długim korytarzu łatwo pomylić mieszkanie, zwłaszcza gdy jest ich wiele i kiedy dom odwiedza się po tylu latach. Zmienione numery nic mi nie mówiły, jednak — kierując się oceną odległości od schodów — otworzyłem właściwe drzwi i zapaliłem światło w kajucie. Przez chwilę patrzyłem do wnętrza z wahaniem pełnym nieufności, obudzonej

widokiem kilku obcych mebli, aż nagle — dostrzegłszy pod ścianą znajome półki, a na nich moje stare rzeczy — wykrzyknąłem triumfalnie. Czyż to nie granoczyło z cudem, że te drogocenne pamiątki przetrwały na Arce całe jej burzliwe dzieje, jakby w oczekiwaniu na mój dzisiejszy powrót!

Dotarłem do nich skacząc na lewej nodze, gdyż prawe kolano reagowało ostrym bólem przy każdej próbie postawienia stopy na podłodze. Nic wszystko ocalało, ale i tak byłem wdzięczny nowej załodze, bo ktoś mógł te skarby jak śmieci wyrzucić po prostu za burtę. Pochylony nad nimi zapomniałem o swej poważnej kontuzji. W skrzyni pod półkami znalazłem resztę chłopięcego arsenału. Złe traktowanie najgorzej zniosły modele samolotów. Podczas przeglądania zakurzonych książek i dzieciennych gier, pudełek z różnymi drobiazgami, zbieranymi kiedyś z takim przejęciem, pieściłem w sobie słodką myśl o szczęściu tamtych lepszych czasów. Blade wspomnienia nabrały kolorów, gdy spróbowałem uruchomić mechaniczne zabawki.

Jednak ta infantylna redukcja rzeczywistości do skromnych granic minionego świata po chwilach radosnego wzruszenia przyniosła mi w końcu przykry niepokój. Wkrótce odczułem silne wzmocnienie tego nienaturalnego stanu. Bezprzedmiotowy kryzys potęgował się lawinowo. Nie umiałem określić jego przyczyny, bo to był lęk fizyczny, szybkie bicie serca, brak powietrza, trudne do opanowania dygotanie nóg i drętwienie dłoni, bolesne napięcie wszystkich nerwów z ośrodkiem wstrętne go skupienia w klatce piersiowej, skąd paraliżujące, złe samopoczucie rozchodziło się po całym ciele.

Zanim ustąpiły te dziwne objawy, przez kilkanaście minut (a raczej godzin, z subiektywnego punktu widzenia) nie pojmowałem, co się ze mną dzieje. Czyż zwykły smutek lub nastrój melancholii, do jakiego prowadzą wszelkie powroty do miejsc na zawsze utraconych, próby pokonania czasu w poszukiwaniu cieniów przeszłości i nie spełniona potrzeba zmaterializowania ich mogły dać efekt w postaci wstrząsu aż tak dramatycznego? Nigdy o tym nie słyszałem. Była to więc jakaś panika organizmu, bezpośrednio niczym przecież nie zagrożonego, fizjologiczna w swej istocie reakcja na coś, czego nie umiałem wskazać, ostry atak lęku fizycznego, a nie psychiczny strach przed przyszłością, której wcale się nie bałem.

3.

Do południa nie mogłem zasnąć. Choć czułem się lepiej, przeszkadzały mi odgłosy spoza ścian i pełne sprzeczności rozmyślenia o sytuacji na statku. Snułem też różne przypuszczenia wokół swej nocnej przygody, próbując dociec przyczyny nagłej katastrofy Tomahawka. Wreszcie, wyczerpany nadmiarem przeżyć ostatniej doby, rozwiesiłem ubranie na poręczy krzesła i położyłem się do koi. Tak minęła reszta dnia, gdyż spałem do późnego wieczora, kiedy — zamiast oczekiwanego kapitana i lekarza — do kajuty weszła jakaś młoda Indianka.

Rano nie widziałem jej na pokładzie. Nosiła długie warkocze kontrastujące czernią z białym płaszczem. Powiedziała, że nazywa się Anga. Przyszła z poleceniem doktora, abym niezwłocznie przeprowadził się do innej kajuty, gdzie już przygotowano dla mnie bardziej odpowiednie miejsce. Jak na moje poczucie humoru, ten okrętowy lekarz był zanadto bezczelny. Zaskoczony jego żądaniem jęknąłem z bólu przy pierwszej próbie poruszenia prawą nogą: nie mogłem zgiąć jej w kolanie, które było okropnie sine i spuchnięte. Mimo rozdrażnienia spytałem uprzejmie, dlaczego miałbym przenieść się gdzie indziej, skoro tutaj jest mi dość wygodnie. Czy choremu nie należą się jakieś szczególne względy? Zresztą nie musiałem nikogo o nic prosić: jako dawny właściciel Arki i obecny jej dowódca miałem prawo do wyboru kajuty według swego uznania.

Dziewczyna postawiła na stole tacę z kolacją. Minę miała niepewną. Swoją prośbę o zajęcie wskazanego łóżka tłumaczyła koniecznością zachowania porządku w planie zakwaterowania. Przecież to nie ona decyduje o wszystkim, więc mógłbym jej nie utrudniać pracy. Jest tylko pielęgniarzką i musi słuchać lekarza, który choremu kazał zamieszkać w „ósemce”.

Mówiła o sali zbiorowej, co rozgniewało mnie ostatecznie. Patrzyłem na nią z gorączką w oczach. Nie miałem zamiaru ruszać się z miejsca. Co by się stało z moimi zabawkami, które tu leżały w zasięgu ręki? Rzecz prosta, w obawie przed głupimi uwagami nie posłużyłem się tym argumentem. Przywiązanie do starych rzeczy — to była moja

osobista pasja. Nie musiałem zwierzać się jej zaraz ze swej duchowej udręki. Zapytałem, czy dotarła już do nich wiadomość, że od rana jestem kapitanem statku. Owszem! Więc czemu pan doktor udaje półgłówka? Wszak gdyby nie zlekceważył tego istotnego faktu, nie kazałby skierować mnie do okrętowej izby chorych, w której pewnie wszyscy pijacy, zwleczeni przez Rayta z pokładu w ramach nowej dyscypliny, oraz uczestnicy gry w berka, poturbowani podczas swawolnych igraszek, marnują się teraz leniwie jak śledzie w ciasnym słoiku. Jakiż to porządek nie pozwala odróżnić doktorowi swego rannego zwierzchnika od szeregowego pacjenta?

Najbardziej zirytowały mnie słowa „porządek w planie zakwaterowania” wypowiedziane z urzędowym spokojem, akurat tutaj — na tonącym statku, gdzie rozmieszczenie ludzi we właściwych numerach ważniejsze było widać od ich życia. Przez cały czas, kiedy się złościłem, dziewczyna zbierała z podłogi i układała na półkach moje porozrzucane zabawki. Gdy wychodziła, poinformowałem ją spokojnie, że na lekarza będę czekał w swej kajucie.

Kilka minut później, ledwie pomyślałem: „Więc i pielęgniarkę tu zatrudnili”, wróciła po wizycie u doktora Ostarholda. Niestety, lekarz nie mógł mnie dzisiaj zbadać, ponieważ zajmowała go pilna operacja. Anga przyniosła kartonik z aspirynami. Na rozbite kolano założyła opatrunek. Po zabandażowaniu spuchniętej nogi podała mi termometr. Czekala w milczeniu, aż zmierzyłem temperaturę. Miałem trzydzieści dziewięć i sześć!

Opuszczając kajutę zapytała, czy czego jeszcze nie potrzebuję. Tak. Przed śmiercią chciałem się widzieć z byłym kapitanem statku i dowiedzieć się od niego, w jaki sposób nasz tuzinkowy rejs mógłby zdecydować o losach całego świata. Niech mi to sam powie, jeśli protestuje przeciwko diagnozie postawionej mu przez załogę w oparciu o plotki. Poprosiłem, aby go tu zaraz przyprowadziła.

Nie była zachwycona tym pomysłem. Czy nie lepiej zaczekać do czasu, aż spadnie mi gorączka. Na wyleczenie grypy potrzeba tygodnia. Zresztą dobrze, może jutro lub za kilka dni spróbuje, chociaż spełnianie tego rodzaju życzeń nie należy do jej obowiązków. Z kapitanem nigdy nie rozmawiała, bo jest on bardziej zajęty niż doktor. Nie przyjmuje nikogo u siebie, a do jadalni zagląda niezwykle rzadko, więc trzeba mieć wielkie

szczęście, żeby go tam spotkać. W życiu codziennym załogi wcale nie bierze udziału. Trudno jej było powiedzieć, czym właściwie się zajmuje; w każdym razie ma na głowie sprawy znacznie ważniejsze od problemów, jakie zwykle nurtują pacjenta.

Dlatego nie wyobrażała sobie reakcji kapitana na wezwanie do chorego, któremu powinien wystarczyć lekarz. Zresztą zażartowałem chyba, mówiąc o swojej śmierci. Oczywiście, nie chciałyby lekceważyć stanu mojej nogi, ale — gdyby nawet kość była pęknięta — przecież nie umiera się z powodu takiego głupstwa!

p

Cały następny dzień przeleżałem na koi w swojej kajucie. Wysoka gorączka i ból nogi nie pozwalały mi zająć się czymkolwiek.

Próbowałem czytać książkę, jedną, potem drugą, wreszcie sięgnąłem po stare komiksy, ale również i nad nimi nie zdołałem się skupić: nic nie odwracało mojej uwagi od natrętnych myśli o sytuacji na Arce. Troska o jej uszkodzony kadłub, o wyczerpane zapasy wody i żywności, nieobliczalna obojętność marynarzy wobec realnego zagrożenia i niepewność, czy Rayt zdołał ich zmobilizować — wszystko to, a zwłaszcza wspomnienie lekceważącego tonu w głosie pielęgniarki, gdy mówiła, że lekarz pacjentowi powinien tu wystarczyć, pochłaniało mnie bardziej od każdej lektury i przez cały dzień zakłócało mi spokój.

Czas ten odmierzały regularne odwiedziny Angi. Taca z kolejnymi posiłkami coraz bardziej chwiała się w jej rękach. Ocean był niespokojny: czułem kołysanie i słyszałem uderzenia fal o burty statku. Za ścianami coś się nieustannie działo. Czekałem na lekarza i na kapitana, lecz do wieczora żaden z nich nie złożył mi wizyty. Kapitanowi darowałem, bo wariata też w końcu można było zrozumieć, przy czym wcale nie miałem zamiaru pełnić służby pod jego dyktando, Ostarhold zaś mścił się pewnie za nieposłuszeństwo w sprawie przeniesienia do „ósemki”.

Po nie przespanej nocy w południe trzeciego dnia choroby zobaczyłem w drzwiach swego pierwszego oficera. Rayt przyszedł na moje żądanie, przekazane mu przez Angę, która wracając z nim, przyniosła mi obiad. Nowy oficer miał uroczystą minę: życzył kapitanowi szybkiego powrotu do zdrowia. Słyszając skargę Angi, że szef nie ma apetytu, wyraził głębokie ubolewanie, a gdy podsunąłem mu swój talerz, usiadł szybko i bez ceremonii zabrał się do jedzenia.

Zaraz spytałem go o przeciek w ładowni, gdyż Anga nic „w tej sprawie” nie umiała mi powiedzieć.

— Zlikwidowany — odparł w zamyśleniu.

Odetchnąłem z ulgą.

— Czyli że natychmiast musicie przystąpić do wylewania wody. W przeciwnym razie każda większa fala może nas zatopić.

Potwierdził skinieniem głowy.

— Ale dlaczego próżnowaliście przedwczoraj, kiedy ocean był spokojniejszy?

Zanim się odezwał, przełknął, kilka łyżek owsianki, z apetytem smakując to dietetyczne danie.

— Panie kapitanie... Ludzie skarżą się na brak witamin w postaci świeżych warzyw i owoców. Czują się osłabieni. Czy jest jakaś nadzieja?

— Kpisz sobie ze mnie?

— Przepraszam. Musiałem zapytać o to w imieniu załogi.

— A ja cię pytam o przyczynę lekkomyślnego opóźnienia, bo teraz to jest najpilniejsza sprawa. Dobrze, żeś ich w końcu zagnał do roboty. Lecz skoro już potop został zatrzymany, trzeba się zająć opróżnianiem ładowni, a w tym celu należy uruchomić pompy.

Mruknął coś ściszym głosem i wróciwszy do owsianki, jadł ją powoli z takim wyrazem skupienia na twarzy, jakby ważył w myślach, gdzie w moim rozumowaniu tkwi zasadnicza luka.

— Tak — westchnął wreszcie do samego siebie. — Nic z tego.

— Czy widzisz tu jakąś trudność?

— W zasadzie nie.

— Więc o co ci chodzi?

— O marynarzy.

— Mnie też! Nie chciałbyś chyba posłać wszystkich na dno?

— Na dno... — powtórzył po długim namyśle, niezdecydowany, co z tym fantem zrobić. — Jasne, że tam nikogo nie mam zamiaru posyłać.

— Mimo to — jak mi się wydaje — nie jesteś przekonany, czy powinieneś przekazać załodze moje polecenie i dopilnować, by je wykonała. Więc co proponujesz?

Rozejrzał się sennie po ścianach kajuty. Naraz wstał, podniósł z półki warcaby i wrócił z nimi do stołu.

— Zagramy? — spytał pojednawczym tonem.

Przez chwilę czułem, że mnie krew zalewa.

— Słuchaj no, Rayt! — syknąłem, z trudem panując nad sobą. — Jeszcze przedwczoraj robiłeś wrażenie dość rozgarniętego marynarza. I tylko dlatego — z pełnym zaufaniem do twych okularów — powierzyłem ci to odpowiedzialne stanowisko. Przez dwie doby, czekając tu w gorączce na jakąś wiadomość z pokładu, wiązałem z twym awansem wiele nadziei. Dzisiaj ledwie cię poznaję. Po tej bezprzedmiotowej, więc głupiej rozmowie, którą starasz się rozwlec do nieskończoności, nerwy pękają mi jak przeciążone struny. Wynikałoby z tego, że mój układ nerwowy jest delikatniejszy lub raczej wrażliwszy od waszych systemów alarmowych, wcześniej dostrzega niebezpieczeństwo i drażni go wszelki brak wyobraźni, a zwłaszcza twój gruboskórny spokój. Co gorsze, mam już podstawy, by wątpić, czyście tę dziurę w ogóle zatkali! Czy często jesteś taki rozklejony, nieobecny... bo ja wiem jaki?

Wyciągnąłem się swobodniej w koi, odprężony tym szczerym kazaniem, które mogło mnie pozbawić jedyne go na statku sprzymierzeńca.

— Szefie... — zaczął, z wahaniem. — Co się tyczy mojego rozkojarzenia, ma pan słuszność. Istotnie, nie jestem dzisiaj w najlepszej formie. I dlatego z góry przepraszam za kolejny zgrzyt w naszych stosunkach, jeśli źle oceniam sytuację i gdyby pan teraz, po mojej uwadze, zapewne zbyt śmiałej lub po prostu głupiej, znowu poczuł się dotknięty. Muszę to jednak wreszcie powiedzieć, choćbym miał pana jeszcze raz rozgniewać, bo inaczej może nigdy nie wykorzystamy tej szansy. Oto w czym rzecz: operując gładko takimi zwrotami, jak „trzeba się zająć” lub „w tym celu należy”, zapomina pan wygodnie, że to nie my dwaj fatygować się będziemy przy pompach i na rejach, gdyż ja również jestem chory, tylko oni — ci dziwni ludzie.

— Ach, ci dziwni ludzie! — wykrzyknąłem ironicznie. — Przedwczoraj na pokładzie rzuciłem już okiem na to ich wyszukane dziwactwo: alkohol do świtu, gra w karty, beztroskie chichoty i inne szczeniące igraszki. Czy po tak tuzinkowych zajęciach poznaje się enigmatycznego człowieka? Doszukujesz się w nich osobliwości i pieścisz się z nimi, widząc coś niezwykłego w braku wyobraźni i w pospolitym lenistwie.

— Niech go pan nie lekceważy! Lenistwo podniesione do potęgi,

która paraliżuje instynkt samozachowawczy, przestaje być pospolite. Zresztą ten stan nie ma nic wspólnego z brakiem ochoty do pracy.

— Próbujesz mnie nastraszyć głupim przypuszczeniem, że oni nie dbają o swe własne życie?

— Nie widział pan ich jeszcze przy innych zabawach. Teraz w zatopionej ładowni na dziobie urządzili sobie basen.

— Poważnie to mówisz?

— Pływają tam i nurkują jak ryby w akwarium i jak one są głusi na wszelkie argumenty. A słyszał pan wrzaski?

— Kiedy?

— O różnych porach dnia i nocy.

— Tak. Co to za hałasy?

— Podczas choroby nie powinienem martwić pana takimi plotkami, ale lepiej, abyśmy obaj mieli się tu na baczności.

Spojrzał na drzwi.

— Wychodzisz? — spytałem, gdy zniknął w korytarzu.

— Nie — szepnął. — Odrobina ostrożności nigdy nie zawadzi. — Wrócił i zbliżył mi usta do ucha. — Ten statek to pułapka: ośrodek osobliwej karni! Tutaj przeprowadza się na ludziach jakieś podejrzane operacje.

— Nie pleć bzdur!

Pchnąłem go w twarz palcami rozwartej dłoni.

— I zbrodnicze eksperymenty! — dorzucił z dala ściszym głosem.

— Wariat. Serio wierzysz w te brednie?

— Nie ma dymu bez ognia. Dziwi to pana, że takie doświadczenia prowadzi się na pełnym morzu, w pustych rejonach oceanu, a nie gdzieś pod bezcieniowymi lampami miejskiego laboratorium? A czy ludobójcy działali kiedykolwiek jawnie? Widocznie potrzeba im ścisłej izolacji i równocześnie swobody manewru w drodze do ponurego celu, do którego zmierzają, pływając między swymi tajnymi bazami pod parasolem z malowniczych żagli, więc pod pozorem niewinnego rejsu. W bezpiecznym cieniu tej białej maski coś tu nieustannie knują, ale chyba nie wszystko dość gładko im idzie. Nie ma się czemu dziwić, bo też i rozwiązanie problemu, jaki sobie postawili, na szczęście dla nas wcale nie jest łatwe. Teoretycznie...

— Czekaj. Dlaczego nie mówisz jaśniej, w czym tkwi cały problem i

kto go tu rozwiązuje?

— Kto? Wkrótce wszystkim przestanie pan ufać. Co zaś się tyczy problemu, to jest on fundamentalny. Przecież od zarania dziejów zawsze kogoś nurtowało praktyczne pytanie, jak w człowieku pokonać i zdusić jego pragnienie życia. Kiedyś zadania tego rodzaju rozwiązywano według wskazówek klasycznej psychologii i przez wieki osiągnano dostatecznie dobre efekty. Wiadomo, że miłość życia można wyprzeć nienawiścią do niego lub wstrętem. Nienawiść do własnego życia trudno jest spowodować bez fizycznych lub psychicznych tortur. Natomiast aby w człowieku wywołać wstręt do życia, należy mu tylko tę piękną miłość maksymalnie czymś obrzydzić. W tym celu powszechnie stosowano płyn o niezwykle ohydny zapachu, którym zwierzęta zwane tchórzami posługują się w samoobronie. Oczywiście, delikwenta opanowanego nagłym pragnieniem życia wcale takim płynem nie trzeba było przyskać, wystarczyło podsunąć mu przykrą myśl, że z jego uczucia bije tamten paskudny odór, i wstręt do życia natychmiast brał w nim górę nad szczerą miłością. Skuteczność metody tak drastycznych skojarzeń sprawdzić mogli gitowcy, na przykład w oknie jakiegoś wieżowca, gdzie podczas psychologicznego pojedynku dopóty dręczyli się wzajemnie — szermując oskarżeniami o tchórzostwo — aż słabszy z nich wybierał przepaść, czym sobie dawał dowód większej odwagi, nam zaś — mniejszej odporności na perfidne sugestie.

— Zastanów się, dokąd zmierzasz. Czyżbyś głosił pochwałę tchórzostwa?

Rzucił mi krótkie spojrzenie, poważne i przenikliwe, jakby coś go zaskoczyło i musiał sprawdzić, czy w wyrazie mojej twarzy nadal dominuje ironia.

— Wcale jej nie głoszę. Zdarzają się przecież takie przypadki, kiedy strach obezwładnia kogoś i każe mu zaniechać wszelkiej obrony. Lecz przejaw niemocy w obliczu zagrożenia, które można usunąć odpierając atak — czyli faktyczne tchórzostwo, a uczucie wrogości do programowej pogardy życia; z jaką mamy do czynienia na naszym pokładzie — to zupełnie co innego. Bo musi pan wiedzieć, że tutaj, w sytuacjach stresowych, celowo wywoływanych przez oficerów... szkoli się ludzi do pilotowania żywej torpedy nowego typu!

Ostatnią informację przekazał mi metalicznym szeptem

bezpośrednio do samego ucha.

Kiedy wyprostował się z głębokiego skłonu nad koją, popatrzyłem na niego uważniej i już bez lekceważącego uśmiechu. O ile dotąd nikły cień prawdopodobieństwa łagodził nieco ostre rysy nedorzeczności w jego obsesyjnych majaczeniach, co powstrzymywało mnie przed postawieniem jednoznacznej diagnozy, teraz — po torpedowej rewelacji — w okamgnieniu uświadomiłem sobie, komu dałem się nabrać, i natychmiast — zamiast fali spodziewanego rozdrażnienia — odczułem głęboką ulgę, a potem silne zmęczenie i senność.

Rayt skromnie czekał na moją reakcję. Trzeba go było czymś uspokoić.

— Czy ty na pewno masz dobrze w głowie? — spytałem swobodnie, by nagłą zmianą tonu nie budzić podejrzeń.

— Szefie... inaczej nie odkryłbym prawdy!

— Jasne. Ale wspomniałeś o swej chorobie. No, przyznaj się, co ci tam dolega.

— Nic poważnego: zwyczajny wrzód dwunastnicy.

— O, więc jesteś w lepszym położeniu ode mnie.

Widocznie bardzo mu zależało na utrzymaniu nowego stanowiska, gdyż gotów był przedstawić mi wkrótce dowód swej pełnej fizycznej sprawności. Mimo wszystko podjąłem już przykrą decyzję. Szaleńca na kapitańskim mostku nie mogłem pokonać w otoczeniu innych wariatów. Musiałem dobrać sobie oficerów zdrowych psychicznie — to przynajmniej było całkowicie pewne. Ale gdybym zaraz zwolnił lub obraził Rayta, straciłbym podczas choroby jedyny kontakt z pokładem i siła wyobraźni pozbawiona jakiegokolwiek oparcia skazałaby mnie na katorgę jeszcze gorszych domysłów.

Raz jeszcze skierowałem rozmowę na historię tajemniczego rejsu. Rayt nie pamiętał, kiedy i w jaki sposób znalazł się na Arce: znał tylko ostatnie jej przygody, zaś opis początku drogi — ze sprzecznych opowiadań marynarzy. Trudno mu było wyjaśnić, dlaczego wcale nie przypomina sobie pierwszych dni podróży, w każdym razie ta osobliwa luka w życiorysie była dodatkowym powodem jego poważnej troski. Dawno już stracił rachubę czasu. Nie potrafił nawiązać kontaktu z ludźmi i określić stanowiska oficerów wobec lekceważącego stosunku załogi do niebezpiecznej sytuacji na statku, ani nawet wskazać sensownego celu

wyprawy, gdyż powtarzanej z uporem przez innych, egocentrycznej wizji kapitana, że na Arce decydują się losy całego świata, nie można było traktować poważnie.

Wkrótce po wyjściu Rayta zasnąłem i spałem do wieczora, gdy jak zwykle Anga przyniosła mi znormalizowaną kolację. Zapytałem ją o dyplom kwalifikowanej pielęgniarki. Miała! Jest więc fachowcem, przynajmniej gdy idzie o podział pacjenta na główne części ciała, a nie odróżnia jego chorej nogi od idealnie zdrowego żołądka. Przyznała mi słuszność: dieta z płatków owsianych przepisana przez Ostarholda na rozbite kolano musiała być rezultatem pożałowania godnej złośliwości. Jutro postara się zmienić ten monotony jadłospis. Doktor nie ma prawa stawiać zaocznych diagnoz, jest on jednak człowiekiem upartym i domaga się nadal, abym dobrowolnie przeniósł się do zbiorowej sali. Jeśli chodzi o transport, to nie ma problemu: wózek stoi za drzwiami — otworzyła je i wskazała dwukołowy fotel, który już wcześniej zauważyłem w korytarzu.

Temperatura spadła mi do normy i nawet kolano przestało mnie boleć, chociaż nadal było sine i sztywne. Mimo pewnej poprawy, ogólnie nie czułem się jednak zbyt dobrze. Noc spędziłem na rozmyślaniach, a potem przez kilka godzin spałem, aż po kolejnej bezsennej nocy poprosiłem Angę o jakieś proszki. Przy okazji poskarżyłem się jej na dziwne i bardzo przykre sensacje odczuwane w całym ciele, najwyraźniej podczas zasypiania. Poradziła mi, abym w ogóle nie przejmowałem się tymi objawami, ponieważ nerwica, która występuje w postaci opisanych dolegliwości, zwłaszcza w chwilach nasilenia lubi potęgować się hipochondrycznie: odczucie podejrzanym zaburzeń w układzie krążenia i oddychania wywołuje niepokój w świadomości chorego, co z kolei — drogą sprzężenia zwrotnego między umysłem a ciałem — prowadzi do wzmocnienia nerwowej reakcji organizmu i kulminacji wewnętrznego przeżycia w formie silnego lęku. Jest to bodaj jedyna choroba, niegroźna zresztą, aczkolwiek uciążliwa, przy której bagatelizowanie symptomów przez pacjenta wychodzi mu zawsze na zdrowie. Inna sprawa — to potrzeba usunięcia przyczyny ogólnego rozstroju nerwowego, czym mógłby się zająć neuropatolog albo psychoterapeuta.

Zdaniem Angi wyzdrowiałbym szybko, gdybym przestał upierać się przy swoim i wyszedł wreszcie z tej ponurej izolówki. Przecież żaden

rozsądny człowiek nie wytrzymałby dłużej w takich warunkach. Czy mam zamiar doprowadzić się do stanu krańcowego wyczerpania. Kiedy omówiła zasady higieny psychicznej, spróbowałem wyciągnąć od niej jakieś istotne informacje o statku, ale jak zwykle odesłała mnie do lekarza i zniechęcona wyszła z kajuty. Poprawę nastroju odczułem dopiero po pierwszej kąpieli w łazience, dokąd w czasie choroby skakałem na jednej nodze, podpierając się kijem.

4.

Niekiedy na statku zdarzały się okresy ciszy, najczęściej jednak panował tu hałas, zarówno w czasie dnia, jak i o różnych porach nocy. Podekscytowani czymś marynarze i pasażerowie (bo były wśród nich także kobiety) zachowywali się jak pijacy w podrzędnym hotelu po powrocie z nocnej hulanki: kłócili się o coś pod drzwiami lub biegali po schodach na pokład i z powrotem, przywołując się donośnymi okrzykami. Prowadzone na korytarzu spory i zabawy przeciągały się zwykle do samego rana. Niektórzy z awanturników krzyczeli głośno, ale bardzo niewyraźnie wymawiali słowa. W efekcie trudno było te bełkoty rozszyfrować i zrozumieć, jakimi sprawami żyli ci wszyscy podejrzani ludzie.

Aby zorientować się w końcu, o czym się tutaj mówi, coraz częściej przykładałem ucho do szpary w najbliższej ścianie i raz podsłuchałem rozmowę dwóch kobiet:

— Gorzej być nie może — powiedziała starsza, która lubiła gderać bez istotnego powodu.

Młodsza przez dłuższy czas w milczeniu krzątała się po kajucie, zanim odpowiedziała gniewnym tonem:

— To krakanie działa mi na nerwy!

— Ale coś trzeba zrobić!

— Co?

— Nie wiem.

— Więc nie ma o czym mówić.

Po kilku minutach ciszy dyskusja moich sąsiadek potoczyła się na jeszcze bardziej zagadkowe tory:

— Znowu pada.

— I co z tego: kilka cali mniej czy więcej nie zmienia naszej sytuacji.

— Czy wytrzymałość belek obliczona jest na tak wielkie ciśnienie?

— Niech się pani nie przejmuje takimi problemami.

— Byłabym spokojniejsza, gdyby wszyscy zabrali się do roboty.

— Z motykami na te góry?

— Trzeba dać jakiś znak życia, widoczny z daleka dla przelatującego

patrolu.

— Żaden znak nie jest tu potrzebny, tylko ciężki sprzęt, który już pewnie ruszył do akcji. Na zmartwienie przyjdzie pora, kiedy wyczerpie się zapas żywności.

— Jeszcze tego brakowało! Dotychczas nie widziałam czegoś podobnego, więc w tej głuchej ciszy wyobrażam sobie, że bez wezwania pogotowie nigdy o nas nie pomyśli.

— Przecież poza ratowaniem ludzi nic innego nie należy do ich obowiązków.

— Zapomina pani o koniecznej kolejności: każda pomoc przychodzi najpierw tam, gdzie jest bardziej potrzebna. A kto wie, jakimi kryteriami kieruje się dyspozytor stacji? Może na ich długiej liście Arka jest ostatnia.

Od kajuty z drugiej strony oddzielała mnie łazienka. Kiedy wszedłem pod natrysk, przez kanał wentylacyjny przeniknął do niej dudniący głos jakiegoś mężczyzny:

— I wtedy przyszedł im do głowy pomysł, żeby tych idiotów zgromadzić w jednym pomieszczeniu, gdziekolwiek, byleby wszyscy przyszli tam dobrowolnie i szybko. Potem zredagowali treść wiarygodnego zaproszenia do przygotowanej pułapki.

Podczas porannego przeglądu łazienki Anga wydała z siebie przejmujący okrzyk zgrozy, jakby zareagowała na widok upiора. Mimo najlepszych chęci, nie rozumiałem, o co jej właściwie chodzi: skoro pod zepsutym natryskiem od dawna nie było odpływu wody, w odpowiednim czasie należało przywołać hydraulika w celu naprawy obu usterek, a jeżeli na statku nikt nie umiał zreperować nieszczelnego kranu ani zatkanej rury, mogła mnie przecież poinformować o tym kilka dni temu. W każdym więc przypadku swe słuszne pretensje powinna kierować pod innym adresem.

Kiedy oczyszczałem się z odpowiedzialności za potop w łazience, Anga — stojąc za jej wysokim progiem po kolana w wodzie — mierzyła bezradnym wzrokiem odległość do tryskającej pod ścianą fontanny. Moje zdanie na temat przyczyny fatalnej awarii skwitowała w milczeniu takim grymasem twarzy, jak gdyby coś nienaturalnego widziała już w fakcie, że po tylu dniach choroby, spocony i brudny, lecz przekonany o sprawności wodociągowej instalacji, ośmieliłem się wreszcie umyć. Aby udowodnić,

że bez stałego nadzoru jestem nie tylko nieobliczalny, ale i bezradny jak dziecko, weszła w ubraniu pod ciekący natrysk i przez kilka minut mocowała się z upartym kranem. Ponieważ — jak oczekiwałem — nie dało to spodziewanego rezultatu, przyprowadziła mechaników, którzy dokręcili kluczem uszczelkę pod kołnierzem śruby i z drugiego korytarza — przez okienko w ścianie łazienki — wpuścili do niej wylot strażackiego węża, zapewne w celu przepompowania zgromadzonej tam wody.

O psychicznym zrównoważeniu Angi miałem dotąd nie najgorsze zdanie; jak wiele ryzykowałem, korzystając z jej pomocy, ujawnił dopiero ten przykry wypadek.

Po założeniu suchego ubrania wróciła do mojej kajuty z dalszym ciągiem absurdalnych żalów. Nazwała mnie groźnym szaleńcem. Zapytała, skąd w ogóle przyszła mi do głowy tak beznadziejnie głupia metoda postępowania. Czy wyobrażam sobie, że cierpliwość doktora, płynąca z tolerancji dla potrzeb psychologicznego eksperymentu, nigdy nie zostanie wyczerpana? Ustępowała mi wbrew wskazówkom ordynatora i dłużej, niż nakazuje poczucie odpowiedzialności, bo w tym szczególnym przypadku pokładała dużo nadziei. Ktoś tak bardzo zaślepiony, kto rzeczywistości nadaje kształt własnego wnętrza, w szczytowym okresie rozwoju swej choroby przechodzi zwykle przez fazę złudzenia, że jego myśli sięgają horyzontu prawdy. Spojrzenie tego rodzaju czyni mnie jednak bezradnym wobec elementarnych problemów codziennego życia. W mojej postawie było coś intrygującego: robiłem na niej wrażenie człowieka pogrążonego w nietuzinkowym urojeniu, które charakteryzuje zewnętrzny spokój i dość spójne objawy. Analizując je dyskretnie podczas prowadzonych tu rozmów, oczekiwała na ujawnienie istotnej przyczyny obserwowanego uporu. Tymczasem — czego wyrazem jest ostatni wybryk — łagodne cechy mojej natury zdominował atak bezsilnej złości, rozładowanej po długim okresie apatycznego zastoju, typowej dla osobników o ukrytych skłonnościach do agresji.

Wymyślam jej od histeryczek, podniecających się kazaniem wygłaszanymi z błahego powodu, jakby znajdowała przyjemność w piętnowaniu moich wykroczeń i w straszeniu widmem kary, a przecież dała dowód dobrej woli, sprzeciwiając się Ostarholdowi, gdy polecił przynieść kaftan bezpieczeństwa, którym już dawno miał prawo położyć

kres całej tej historii. Zamiast ograniczyć się do roli wyznaczonej obowiązkami zwykłej pielęgniarki, dogadzała mi w kapryсах, jak mogła najlepiej, chociaż strojenie dobrych min do złej gry nikomu nic sprawia przyjemności. Ale po co to wszystko robiła? Okazała brak doświadczenia, więc musi przyjąć ciężar konsekwencji. Dopiero teraz dostrzega, ile komplikacji mogliby uniknąć, gdyby od początku postępowali zgodnie z utartymi procedurami. Bo co na to powie kapitan rakiety? Słyszała o nim, że jest wyrozumiały. Jednak interpretacją tego skandalicznego czynu może zająć się komisja powołana do zwalczania dywersyjnych planów. Wszystko teraz zależy od reakcji doktora Ostarholda, przed którym powinienem dać dowód szczerzej skruchy.

Przyprowadziła go do mnie po kilku minutach. Zanim weszli do kajuty, zatrzymali się w korytarzu, skąd usłyszałem ich podniesione głosy. Lekarz wahał się, czy wrócić po sanitariuszy.

— A gdzie on leży? — zapytał.

Anga nacisnęła klamkę. Rzuciła mi krótkie spojrzenie przez nieznacznie uchylone drzwi i zerknąwszy na podłogę obok koi, jakby czymś nagle zaniepokojona, zatrzasnęła je szybko przed doktorem.

— Cały czas tutaj, pod schodami do segregatora złomu i makulatury.

— Na tej gołej stalowej płycie?

— Nie, na workach ze szmatami. Ale niech mi pan wybaczy ten przykry widok i zapach. Mimo wszystko również tutaj utrzymałabym porządek, gdyby codziennie nie grzebał w tych śmieciach i nie znosił ich do swego legowiska.

— Przecież tam nie ma wodociągowej instalacji!

— Jest w sąsiedniej komorze.

— Czy złamał kran na przelotowej rurze?

— Gorzej, bo zerwał plomby przy strażackim hydrancie. Na szczęście nic odkręcił go do samego końca.

Weszli. Pielęgniarka bez słowa zabrała się do przenoszenia moich rzeczy z podłogi na półki. W lekarzu rozpoznałem brodatego mężczyznę, który w dniu katastrofy Tomahawka zawołał z pokładu Arki: „Brak miejsc!”, a potem raz jeszcze próbował zepchnąć nas do morza absurdalnym pytaniem: „Czy mam tu ludzi układać jak sardynki w puszcze?”

Podczas gdy przypominałem sobie tamto powitanie, wariat zajrzał

do łazienki, zamknął jej drzwi na klucz i schował go do kieszeni.

— Dlaczego nie chciał pan przenieść się stąd do izby chorych? — spytał lodowatym tonem.

Po usłyszanej przez drzwi rozmowie dyskusja z nimi nie miała już w zasadzie sensu. Mimo to spróbowałem:

— Czyżby Rayt nie poinformował was, że jestem spadkobiercą Arki? Zostałem jej właścicielem po moim ojcu, do którego kiedyś należał ten statek. W najbliższym porcie zapoznam kapitana z odpowiednimi dokumentami. Położyłem się w tej kajucie, gdyż wróciłem do swego domu i mam prawo mieszkać w nim tam, gdzie mi się podoba.

Mówiłem bez przekonania, jakbym zwracał się do ludzi umyślowo upośledzonych. Już z miny rzekomego doktora mogłem wywnioskować, ile nowych spięć wywoła to oświadczenie. Uśmiechał się z politowaniem. Lecz. czego oczekiwałem? Zrozumienia? Nonsens. Wykluczałem przypadek, by przyszło ono ze strony wariata ubranego w lekarski kitel.

— A poza tym zmartwieniem na co się uskarżamy? — Mrugnął do pielęgniarki i podsunął ironicznie: — Pewnie na brak indywidualnego basenu, bo nasz zbiorowy, napełniony przed tygodniem, jest zbyt zatłoczony dla milionera poszukującego wygod i komfortu.

Co za brednie! Panowałem nad sobą z największym trudem. Korciło mnie, żeby natychmiast wyrzucić go z kajuty. Nie liczyłem na pomoc Angi, ktoś jednak w końcu musiał jej otworzyć oczy. Wiła się przecież w szponach tego paranoika.

— Czy wiesz — spytałem — jakie przyjęcie na dziobie statku zgotował mi twój przełożony?

Podeszła do koi.

— Chyba tłumaczył się brakiem wolnych łóżek.

— Tak!

— I co z tego?

Przez chwilę nie mogłem dobyć z siebie głosu.

— Więc znajdujesz przyjemność w służbie pod rozkazami takiego kata?

— Jeśli nie przestaniesz ubliżać panu doktorowi, pośle sanitariuszy po kaftan bezpieczeństwa.

To należało przewidzieć: skoro ich zaślepienie w urojeniu było wynikiem zmywy, oboje traktowali mnie zgodnie z wymaganiami swej

psychiatrycznej manii, czyli tak solidarnie, jak personel szpitala dla umysłowo chorych. Postanowiłem niczemu się tutaj nie dziwić: konsekwencja w działaniu cechować może również paranoików przekonanych o ważności odgrywanej roli, także w odniesieniu do misji duchowej naprawy świata. Mimo wszystko miałem zamiar ubliżyć im nadal, bo brak sił nie pozwalał mi inaczej usunąć ich z kajuty. Fizycznie byłem bezradny jak dziecko. Przeklinając w myśli skrajne osłabienie i niesprawność nogi, szukałem wzrokiem kija, by bronić się nim w razie ataku sanitariuszy, jeżeli faktycznie zwerbowali ich do swojej groteskowej szajki.

Tymczasem Anga szukała czegoś w przyniesionej torbie.

— Zmienić ci opatrunek? — spytała niewinnym głosem.

— Nie ruszaj mnie! — ostrzegłem. — Jesteś równie jak on bezduszna, a i w bezczelności wtórujesz mu znakomicie.

— Co ci znowu strzeliło do głowy?

— Udajesz, że nie wiesz? — Sięgnąłem po kij i wróciłem z nim na posłanie. — To właśnie ten konował zepchnął mnie z drabiny, kiedy przed tygodniem — u kresu sił — wspinałem się do was na burtę Arki.

Anga nic nie powiedziała. Przyglądała się doktorowi ze zdumieniem w oczach.

— To kłamstwo! — ryknął. — Wtedy na trapie nikogo nie dotykałem. Popchnął go jeden z tamtych dwóch pilotów, którzy przywlekli tego dezentera do naszego oddziału.

— Jakiego dezentera?

Słowo to dzwoniło mi w uszach od czasu spotkania z załogą Arki.

— O panu mówimy — wyjaśnił.

— Ja jestem dezenterem?

— A jak nazwać kogoś, kto pod pozorem psychicznej choroby ucieka z odpowiedzialnego posterunku?

Patrzyłem nań z uśmiechem zażenowania. Aby bez słów dać mu dowód lekceważenia, spróbowałem przybrać maskę obojętności, lecz po chwili twarz odmówiła mi posłuszeństwa i ułożyła się w grymas rozpaczony, wyrażając uczucie bardziej przykre niż niesmak wywołany popisami jakiegoś błazna. Kim był i do czego zmierzał ten żalony dziwak? Przypominał cyrkowego kłowna, który w daremnym trudzie rozbawienia ponurej widowni dawno już stracił panowanie nad

bzdurami produkowanymi przez swój chory umysł.

— Współczuję panu — powiedziałem. — Gdybym brał serio oszczerstwa wariatów, zareagowałbym inaczej na te wszystkie brednie.

— Siebie radzę żałować.

— Mnie nic nie dolega.

— Na pewno! — zwrócił się do Angi w oczekiwaniu jej poparcia: — Czy jemu coś dolega? Nic najzupełniej! Poza kontuzją kolana i osłabieniem po przebytej grypie to prawdziwy okaz zarówno fizycznego, jak i psychicznego zdrowia.

— Więc o czym mówimy?

— Właśnie o ostatnim fakcie.

— Że jestem przy zdrowych zmysłach?

— Oczywiście.

— Skoro to ustaliliśmy, wynoście się z kajuty.

Rozłożył ręce w geście zaskoczenia.

— Teraz z kolei udaje pan idiotę. Niedobrze! Trzeba się wreszcie na coś zdecydować: kogo pan w końcu przed nami symuluje, wariata czy kretyna?

— Precz!

— Powoli!

— Jazda stąd, bo zdzielę kijem!

— Głupcze! — wtrąciła się Anga. — Będiesz tego żałował. Czy jeszcze nie pojmujesz, że grozi ci sąd polowy i że twój los zależy tylko od dobrej woli pana doktora?

— Przeceniasz znaczenie mojej roli — sprostował skromnie fałszywy lekarz. — Decyzja w jego sprawie zapadnie na konsylium psychiatrów w obecności ordynatora. Niemniej treść pierwszego orzeczenia nabiera tutaj wagi i należy opracować je wnikliwie, zanim komisja wojskowa poprosi mnie o dalsze wnioski. Pacjent — a stwierdzam to przy nim celowo — podejrzany jest o świadome i uporczywe uchylanie się od powszechnego obowiązku obrony ziemskiej cywilizacji. Swój plan haniebnego dezercji realizuje pod pozorem poważnej choroby psychicznej. Jeżeli symulacja zostanie mu udowodniona, wyłonią się też podstawy do oskarżenia go o dokonanie zamachu dywersyjnego. Przy okazji — niejako na marginesie starych sporów o powodzenie nadzwyczajnego lotu i wokół selekcji kandydatów

do naszej galaktycznej misji — warto ocenić poziom umysłowy tego sabotażysty: czy osobnik o dostatecznej wiedzy z zakresu konstrukcji pocisków międzyplanetarnych — a przecież dyletanci razem z tchórzami powinni byli zostać na Ziemi — mógłby oczekiwać, że zapas wody z hydrantu Arki spoczywającej w komorze Tomahawka wystarczy nie tylko do zatopienia tej małej rakiety ratunkowej, ale też i do zniszczenia materiału wybuchowego zajmującego ładownie całej torpedy?

Już prawie nie nadążałem za tymi majaczeniami. W ciszy, która zapadła po ostatnim zdaniu, szczególnie ostro dźwięczało jedno niedorzeczne słowo. Aby zatrzymać na czymś uwagę, powtórzyłem je machinalnie:

— Torpedy... — Naraz przypomniałem sobie: — O waszych doświadczeniach z nimi i o egzaminach na pilotów dowiedziałem się od Rayta. Więc odgrywacie przede mną scenę ze szpitala dla obłąkanych w ramach psychologicznego testu?

— Przeciwnie: to pan przed nami odgrywa sceny, za które grozi zwyczajny stryczek. Ostrzegam jednak, że nikt tu nie zdoła wyjść spod kontroli i ścisłej obserwacji.

W uchylonych drzwiach ukazała się głowa jakiegoś starszego mężczyzny.

— Przepraszam, doktorze — powiedział. — Szukają was. Nie idziecie na obiad?

— Może wejdzie pan na chwilę — odparł mój oprawca i cofnął się w odległy kąt kajuty, dyskretnym gestem zapraszając tam nieznanego, jakby nie chciał spotkać się z nim w pobliżu koi. — Zaraz wychodzimy.

Anga bez słowa wyszła na korytarz.

W drodze do doktora przybysz zatrzymał się przy mnie.

— Kto to jest? — spytał z błyskiem zaskoczenia w oczach.

— No, niech pan profesor popatrzy — rzekł doktor nieco nerwowym tonem. — Prawdę mówiąc, nie pamiętam jego nazwiska. Musiałbym zajrzeć do rejestru chorych. Kilka dni temu uderzył telefonistkę, a ponieważ już wcześniej awanturował się i plótł androny o cyklonie w kosmicznej próżni wokół Tomahawka, przyprowadzili go do nas z podejrzeniem o halucynacje. Jak pan widzi, wbrew swemu przeznaczeniu Arka zmienia się powoli w szpital psychiatryczny.

5.

Dość już miałem dusznego wnętrza kajuty. Dokuczala mi w niej przykra woń pozostawiona tu przez Ostarholda lub może zapach jego towarzysza; w każdym razie był to ślad obcego potu, nieuchwytny w normalnych warunkach. Jeszcze bardziej dręczyły mnie odgłosy życia moich sąsiadów: nie tylko donośne hałasy, ale i ciche trzaski czy nagłe podejrzane szmery szarpały mi nerwy równie boleśnie, jak karabinowe strzały. Przy tych przejawach zmysłowej nadwrażliwości cierpiałem też coraz bardziej na zaburzenia w układzie pokarmowym: chociaż od wielu dni nic prawie nie jadłem, w całym ciele czułem jakieś przewlekłe zatrucie, a szczególnie silnie ból brzucha i mdłości, narastające falami aż do kolejnej próby zwymiotowania.

Po przebytej chorobie, a zwłaszcza po wizycie tych żalosnych psychopatów, którzy dodając sobie powagi samozwańczymi tytułami, przeżywali swe urojenia w dosyć licznym, jak widać, zespole, znużony jałowymi sporami postanowiłem wyjść na pokład, by porozmawiać z prostymi marynarzami i odetchnąć tam wreszcie świeżym powietrzem. Musiałem zobaczyć, jaki jest poziom wody w zalanej ładowni i czy Rayt nadał właściwy kierunek najpilniejszym pracom przy remoncie statku. Mimo poważnej wątpliwości, czy mój pierwszy oficer potrafił przemówić załodze do rozsądku, byłem dobrej myśli, lecz kładąc rękę na klamce stwierdziłem ze zdziwieniem, że drzwi są zamknięte na klucz. Rozgniewany na stukniętego medyka kopałem je dopóty, aż usłyszałem czyjeś kroki i podniesiony głos:

— Co to za hałasy?

— Niech pan poszuka klucza i otworzy z tamtej strony, bo ktoś przypadkiem zamknął mnie w kajucie.

— I dobrze zrobił. Pozostaniesz tu do czasu zwołania komisji. A może wolisz karcer?

Nieznamy roześmiał się beczelnie i odszedł w milczeniu, kiedy poleciłem mu przywołać pielęgniarkę. Anga długo nie przychodziła z obiadem. Gdyby raz otworzyła drzwi, byłbym wolny — i pewnie dlatego lekarz nie pozwolił jej przynieść posiłku o zwyczajnej porze.

Wyciągnąłem się w koi, zbierając siły do kolejnego starcia, którego zresztą nie powinienem się bać. Miałem tu przecież do czynienia z przeciwnikami równie niepoważnymi, jak dla człowieka obdarzonego dobrym wzrokiem ludzie niewidomi: potęga ich wiary w narzucony im przez kapitana urojony obraz naszego otoczenia mogła mnie irytować lub — gdyby mi nie przeszkadzali — budzić mój podziw, lecz w rozprawie z faktami obiektywnej rzeczywistości nie mieli żadnych szans. W zasadzie więc zmuszony byłem do lekceważenia tych fantastów, należało jednak ograniczyć ich zabawy, bo jak uczy doświadczenie, do wiecznego snu szaleńcy sypią sobie piramidy z ofiar poszarpanych trybami złudzenia, w jakim trwali całe życie.

Resztę dnia spędziłem na przeglądaniu starych dokumentów. Szukałem dowodów swego pokrewieństwa z Deanem Nevazarem. Szperając w drobiazgach pozostawionych tu przez matkę, między pożółkłymi papierami rozrzuconymi bezładnie w licznych skrytkach kajuty znajdowałem listy i fotografie oraz inne pamiątki świadczące o długotrwałości mego pobytu na Arce. Obok prezentów otrzymanych od ojca były wśród nich moje pierwsze zeszyty szkolne, rysunki, jakieś kwity i rozliczenia. Do zdjęć pozowałem razem z rodzicami. Przesyłki pocztowe ojciec adresował do matki. Koperty pieczętowane datownikiem miały dziś wartość cennych dokumentów. Odbieraliśmy je w wielu portach, gdyż ojciec — wciąż czymś zajęty — rzadko spędzał wakacje na fregacie, za to pisał do nas często. Wszystko pozostało tutaj, ponieważ schodząc na ląd nie przypuszczaliśmy, że Arkę widzimy już po raz ostatni. Teraz — w mojej sytuacji — z treści korespondencji prowadzonej przez rodziców wynikało wiele faktów istotnych dla sprawy.

Anga przyszła późnym wieczorem. Rozmawialiśmy przez zamknięte drzwi. Było jej bardzo przykro, że nie może podać mi kolacji. Ponadto przeproszała mnie za niewłaściwe postępowanie doktora, który zabrał jedyny klucz do mojej kajuty. By ten klucz odzyskać, kilka razy odwiedziła upartego lekarza i nawet gdzie indziej szukała pomocy, niestety daremnie. Nie umiała określić terminu zebrania się komisji, była jednak przekonana, że następnego dnia wiele wyjaśni.

Spać położyłem się wkrótce po rozmowie z Angą, lecz w nocy obudził mnie ostry zgrzyt klucza obracanego w zamku. Zасыpiając

myślałem o komisji, pierwszy raz bez ironii, dlatego ten zwyczajny dźwięk — oczekiwany po wieczornym nastawieniu na jej przybycie — we śnie zabrzmiał mi w uszach równie przykrym echem, jak złowroga wiadomość o locie kosmicznej torpedy i bardziej jeszcze niedorzeczne oskarżenie Ostarholda.

Nim podniosłem się z pośłania, usłyszałem pisk otwieranych drzwi i zobaczyłem w nich sylwetki trzech mrocznych, postaci: majaczyły na tle oświetlonej ściany korytarza. Jedna z nich szybko podeszła do mnie. W ciemności nie widziałem twarzy, poczułem tylko, że nocny gość podaje mi coś do ręki. Z bijącym sercem nacisnąłem kontakt lampy: w kajucie stał jakiś młody Indianin. Podczas gdy wpatrywałem się w niego, nieznamy trzymał palec na ustach. Nakazując tym gestem milczenie, wyciągnął drugą rękę w stronę półotwartych drzwi, mrugnął znacząco, po czym zgasił światło i z ciemnej kajuty bez słowa wyszedł na korytarz do czekających go tam towarzyszy.

Kiedy odeszli, rozwinąłem wciśnięty mi do dłoni papier i usłyszałem brzęk upadającego klucza. Na kartce było kilka zdań:

Tenevis

Wojna wisi na włosku. Nikomu ani słowa o mnie! I nie zabijaj białych, jeśli nie jest to konieczne: ci idioci są potrzebni do maskowania obiektu. Wkrótce do ciebie zadzwonię.

marszałek Sharp

Nie byłem specjalnie zaskoczony, bo kogoś, komu już raz usiłowano wmówić, że jest członkiem załogi galaktycznej torpedy, trudno wprowadzić w jeszcze większe zdumienie. Ostatnio nie słyszałem o groźbie wojny, za to w zdaniu: „I nie zabijaj białych, jeśli nie jest to konieczne” rozdrażniło mnie milczące założenie, że do takich czynów miałem jakieś skłonności. Owszem, ze strony matki byłem wnukiem Tenevisa (i pewnie na to pokrewieństwo liczył ten czerwonoskóry), ale również należałem do rodziny Nevazara.

W korytarzu panowała cisza i tylko z góry dobiegał miarowy oddech morza. Stojąc w otwartych drzwiach, raz jeszcze spróbowałem skupić się nad kartką. Obok dziwnego uzasadnienia: „ci idioci są potrzebni do maskowania obiektu” zastanawiało ostatnie zdanie: „Wkrótce do ciebie zadzwonię”. Czyżby na fregacie zainstalowano telefony? Nie widziałem ich dotąd. I wreszcie zagadkowe słowa: „marszałek Sharp” w podpisie. Nazwiska nie znałem. Ale — marszałek? Nie domyślałem się nawet, co to wszystko znaczy. W każdym razie klucz wręczony mi razem z kartką

pasował zarówno do drzwi łazienki, jak i kajuty.

W drodze na pokład, zwłaszcza przy pokonywaniu stromych schodów, noga znowu dokuczała mi w kolanie. Przeszedłem powoli na dziób fregaty i wróciłem wzdłuż drugiej burty, nie spotkałem tam jednak żadnego marynarza. Nikt nie pełnił wachty przy kole sterowym, które obracało się swobodnie w rytm kołysania fal. Wiał lekki wiatr, ocean pokrywała zasłona nieprzeniknionej nocy. Końce porwanych drabin i złamane wierzchołki masztów ginęły w ciemności. W blasku okrętowej latarni widziałem tylko gołe reje na tle czarnego nieba. Przyglądałem się im z niedowierzaniem, nie dostrzegając nigdzie ani skrawka płótna. Statek spał, a przecież załoga miała czas rozwinąć przynajmniej część nowych żagli. Dlaczego jeszcze nie były gotowe i czemu oficer nie zameldował mi o tym?

Zaskoczony rozmiarami mrocznej pustki w górze, doznałem krótkotrwałego zaniku pamięci: nie mogłem sobie przypomnieć, o czym ostatnio rozmawiałem z Raytem. Więc nie powiedziałem mu, ile nadziei pokładam w szybkim opanowaniu groźnej sytuacji! Lecz czyżby sam nie dość zdawał sobie sprawę z powagi naszego położenia? Spodziewałem się ujrzeć statek gotowy do drogi, a zobaczyłem go w stanie równie opłakanym, jak pierwszego dnia. Również na pokładzie panował stary nieporządek: splątane liny, jakieś połamane meble, wojskowe lub więzienne prycze, nosze zawałone butelkami po lekarstwach, zardzewiały rower i tablica ze szkolnej klasy oraz inne rzeczy, bezużyteczne na morzu, nadal zajmowały wiele cennego miejsca. Nawet stosu worków z piaskiem, tak niedorzecznego tutaj, nikt dotąd nie zrzucił do wody. A co tu robił ten absurdalny betonowy mur? Uderzyłem pięścią w ciemny masyw ściany: tylko samobójca szukający grobu gdzieś w mule na dnie oceanu mógł obciążyć swój statek takim balastem.

Myśląc o mentalności byłego kapitana Arki i o jego dziwacznym zbiorze, zbliżyłem się do strzaskanej przez burzę szafy, wokół której spacerowała jakaś kobieta.

— I jak panu mija ta pierwsza noc na wolności?

Szła dalej przed siebie z nisko pochyloną głową. W półmroku widziałem jej plecy i nie byłem pewien, kogo zapytała, ale gdy kopnąłem w spróchniałe drzwi szafy, podbiegła do mnie bardzo czymś zaniepokojona.

— Uwaga na osy!

Okrzyk swój zaakcentowała spojrzeniem nieruchomych oczu, zbyt długim, zwłaszcza że mierzyła nim z twardym wyrazem twarzy, zbliżając ją do mojej w milczeniu, aż cofnąłem się o krok, byle nie dopuścić do zderzenia.

Wtedy powróciła do przerwane go spaceru.

— Gniazdo jest w bieliźniarce — wyjaśniła swobodniejszym tonem po drugim okrażeniu szafy, po trzecim zaś dorzuciła już całkiem łagodnie: — Osiedliły się tam jak pod dachem na jakimś strychu. Czy to nie śmieszne?

— Skąd pani wie, że zostałem uwięziony, a następnie oswobodzony? — zmieniłem temat, wracając do pierwszego jej pytania. — Mniejsza o osy.

— A do czego służą grypsy? — Wyrzała ostrożnie spoza rogu szafy. — Los każdego przybysza wywołuje zainteresowanie i wymianę informacji między celami; zresztą kontakty nawiązujemy również podczas spacerów. Ale tu nie wolno stać! — Pchnęła mnie w plecy przy kolejnym zwrocie. — Niech pan chodzi dookoła w regulaminowej odległości, bo mogliby nas zobaczyć z wieży wartowniczej: cały dziedziniec jest kontrolowany. O tam! — Uchyliła jedną ze złamanych desek.

Zamiast do wnętrza szafy spojrzałem w stronę bocianiego gniazda, dokąd nie docierał blask pokładowej latarni. Naraz poczułem jakiś niepokojący zapach. Duszny powiew ciągnął od strony rufy, gdzie powietrze było zamglone.

— Pan je lekceważy — kontynuowała kobieta. — Obcemu trudno wyobrazić sobie, ile te osy sprawiają nam radości. W pogodne dni dolatują aż do naszej kraty. Obserwacja ich życia to czasem jedyne lekarstwo na te długie, smutne godziny. Alicja także przepada za nimi i właśnie dlatego, że wyrzała przez okno, dostała wczoraj dwie doby karceru.

— Dwie doby karceru — powtórzyłem z roztargnieniem. Patrzyłem na sine smugi dymu, które wiatr leniwie rozmiatał po kątach. — A za co?

— No, przecież powiedziałam: wyrzała przez okno. Wszystko zależy od kaprysu strażnika. Ale pan u komendanta mógłby to wyjaśnić... chociaż moja siostra nie liczy na pomoc.

Ostatnie zdanie wymówiła z charakterystyczną dla silnego wzruszenia zmianą intonacji głosu, co zapowiadało, że zaraz zacznie płakać. I faktycznie: po krótkiej próbie opanowania nerwów ukryła twarz w dłoniach.

— Chyba nie zrozumiałem, o czym pani mówi. Więc za takie czyny karze się aresztem?

Patrzyłem dalej w kierunku rufy. W tej akurat chwili podejrzana chmura uniosła się na wysokość burty, ukazując mi wreszcie swe źródło: dym leciał ze szpar między deskami pokładu. Spoza kolejnego kłębu wyłoniła się postać klęczącego tam mężczyzny. Poszedłem ku niemu, nie dowierzając własnym oczom.

Pełzające tu i ówdzie sine pasma dymu wprawiały mnie w stan podniecenia graniczący z paniką, jeszcze bardziej jednak zdumiewało zachowanie starego człowieka, a przede wszystkim — jego kamienny spokój. W chłodnej koncentracji uwagi na wykonywanej pracy przypominał majsterkowicza pochylonego nad modelem jachtu: zbierał z pokładu strzępy szmat oraz kawałki lin i drewna (większe klocki ciosał na cienkie kliny) i razem z innymi śmieciami bez pośpiechu wbijał je ostrym końcem młotka do dymiących szczelin. Kiedy po raz drugi szarpnąłem go za ramię, wyjaśnił na migi, że jest głuchoniemy. Zresztą i tak niewiele miał do powiedzenia. Wszystko mógł wyrazić prostymi gestami, toteż pokazał kilka narzędzi ciesielskich, które określały jego specjalizację na statku. Podczas odgrywania tej pantomimy nadał swej twarzy grymas fachowca urażonego w zawodowej dumie: gdyby mówił, spytałby pewnie, o co mi właściwie chodzi, skoro do obowiązków cieśli okrętowego należało uszczelnianie szpar między deskami pokładu, by do płonącego wnętrza rufy nie dopuścić świeżego powietrza.

Wszak czynił rzecz oczywistą, a robił to solidnie i nie bez rutyny, jakby na zatykaniu tego rodzaju dziur spędzał tutaj całą służbę. Po zapchaniu kolejnej szpary podniósł się powoli, rozprostował kości i ruszył do następnej.

6.

Wiadomość o ogniu na rufie przyniesiona do jednej z mijanych po drodze kajut (przez otwarte drzwi dostrzegłem w niej dużą grupę ludzi) na nikim nie wywarła większego wrażenia. Co prawda, w pierwszej chwili, kiedy wpadłem tam z okrzykiem „pożar!” (powtórzyłem go kilkakrotnie, gdyż obecni nie od razu zrozumieli, że ogłaszam alarm), prawie wszyscy spojrzeli na mnie ze swych krzeseł za stołami i — czego można było się spodziewać — przez pewien czas milczeli w oczekiwaniu na bliższe informacje. Zanim pokonałem ból kolana urażonego w biegu po schodach, kilka osób wyszło na korytarz. W atmosferze dalekiej od paniki ktoś przywołał woźnego (a on co mógłby tu robić?), ktoś inny poszedł w głąb statku, aby na miejscu zbadać sytuację. Po krótkiej wymianie zdań należało przypuszczać, że pozostali ruszą tam również: przecież nie musiałem nikomu tłumaczyć, do czego wkrótce doprowadzi pożar tłumiony na zagraconej rufie przez samotnego majstra. Zorganizowana akcja powinna mu pomóc i tego byłem pewien, ale właśnie wtedy, gdy odezwałem się znowu, już po kilku moich słowach, po bliższym wyjaśnieniu, gdzie widziałem dym i w jakich odkryłem go okolicznościach, wszyscy — zamiast biec na pokład lub do zagrożonej ogniem strefy — powrócili do kajuty, a w niej — do zajęć przerwanych moim alarmem.

Ośrodkiem ogólnego zainteresowania przestałem być równie nagle, jak się nim stałem w momencie wejścia do kajuty. Począwszy od tej chwili obecni — bardziej lub mniej ostentacyjnie — unikali mego wzroku. Gdy chciałem iść gdzie indziej, by wśród marynarzy poszukać kogoś nieobojętnego na los Arki, jakiś jednoręki, wysoki mężczyzna podsunął mi wolne krzesło. Osłabiony zawrotami głowy bez namysłu usiadłem obok niego. Ze zmęczenia już ledwie trzymałem się na nogach i nawet bierna obserwacja otoczenia przychodziła mi z pewnym trudem.

Gdyby nie fakt, że pomieszczenie to znajdowało się w kadłubie statku, nie nazwałbym go kajutą — takie było obszerne. Widocznie — aby uzyskać przestrzeń o rozmiarach sali — przy ostatnim remoncie fregaty rozebrano kilka ścian dzielących przyległe do siebie kajuty.

Wszędzie rzucały się w oczy dokonane przez nowych użytkowników zmiany, a wśród nich najbardziej osobliwe: kraty w oknach (zamiast firanek) i żelazne drzwi (w miejscu drewnianych). Nastrój tak strzeżonej sali nie przypominał jednak ponurego klimatu w jakimś zakładzie karnym — raczej przeciwnie: bliższy był swobodzie atmosfery lekcji szkolnej prowadzonej przez nadzwyczaj pobłażliwego nauczyciela, który, dopóty toleruje nieuwagę uczniów, ich lekceważący stosunek do wykładowcy, aż traci w końcu kontrolę nad zachowaniem całej rozwydrzonej klasy.

Nad panującym wokół hałasem dominował głos starca, który podkreślał słowa miarowymi ruchami ręki uzbrojonej w kawałek kredy. To właśnie ta kreda przyciągała wzrok, przywołując obraz szkolnej tablicy, zaś jej złożony ruch, mimo psychicznej dekoncentracji zapatrzonego bezmyślnie widza — bez możliwości oceny merytorycznego ciężaru głoszonej tu tezy — dawał mu dobre pojęcie o liczbie i kształcie wybojów na drodze rozumowania, po jakiej się ona toczyła. Mówca stał samotnie pod oknem, skąd wytrwale zwracał się do wszystkich, wcale nie speszony jaskrawym faktem, że nikt nań nie patrzy ani go nie słucha, większość zebranych siedziała bowiem plecami do okien i podczas tamtej tubalnej oracji prowadziła przy stołach lokalne rozmowy, pozostali natomiast — jeśli sądzić z kamiennego wyrazu ich twarzy, dramatycznie obojętnych na wszelkie idee — trwali w pustce duchowej nieobecności.

Przez pewien czas cierpliwie przysłuchiwałem się sąsiadom to z prawej, to znów z lewej strony, w czym donośny bas starego mówcy bardzo mi przeszkadzał. W rozmowach przewijały się wątki spraw abstrakcyjnych, całkiem oderwanych od rzeczywistości naszego żalosego rejsu, a gdy te niepraktyczne, jałowe medytacje dotykały kogoś, zaraz wybuchały jakieś bezprzedmiotowe spory. Na ogół polemici przekrzykiwali się wzajemnie, odpierając ataki oponentów przekleństwami bądź energicznymi gestami i nie dopuszczając ich do głosu, choć sami — oprócz demonstracji głupich póż i min — nie mieli nic do wyrażenia. Mimo najlepszych chęci nie pojmowałem, o czym tu się mówi. Przeszkadzało mi w tym odczuwane w całym ciele bolesne napięcie, które wywoływał nadmiar napływających zewsząd zbyt silnych dla mnie bodźców zmysłowych.

Głęboką czerń nieba za oknami kłuły oślepiające ostrza gwiazd, agresywniejsze tej nocy i bardziej jadowite niż kiedykolwiek. Spomiędzy płyt pod sufitem w rogu sali sypał się na podłogę suchy piasek niewiadomego pochodzenia. Zapatrzony weń jak w strumień czasu ustawionej tu na urągowisko klepsydry, pomyślałem: „przeciek” i uprzytomniłem sobie przyczynę swego podświadomego niepokoju, która — ujawniona nagle — rozpałała we mnie atak złości na samego siebie i na wszystkich wokoło: więc wyszedłszy na pokład głównie w tym celu, by zbadać skutki potopu w ładowni na dziobie, zaaferowany dymem na rufie, o tamtym — być może jeszcze groźniejszym niebezpieczeństwie — zupełnie zapomniałem! Ponieważ nadal nie miałem siły wstać i wspinać się po schodach na zdrętwiałych nogach, aby ostudzić przyśpieszone tętno, policzyłem na dłoni tabletki uspokajające Angi i połknąłem kilka z nich, bo jedna już nie wystarczała. Zanim proszki zaczęły działać, patrzyłem na otoczenie przez zygzak rozcinającej mi pole widzenia żółtej plamy, jaka pozostaje w oczach po zbyt długim wpatrywaniu się w słońce czy po salwie błyskawic dostrzeżonej w mroku lub — właśnie! — na skutek bezsilnego gniewu. Zapewne nie brak tu było podniet do równie zaskakujących, jak i przykrych wzruszeń, które w mym umyśle — na pozór tak chłodnym — wywoływały nieprzyjemne wrzenie, a w układzie nerwowym — napięcie wybuchu, powstrzymywanego wciąż ogromnym kosztem. I czyżby to one (jeśli nie trucizna podawana mi w jedzeniu) — te chroniczne zgrzyty, wkrótce po każdym przyptywie energii doprowadzały mnie do ogólnego wyczerpania, do znużenia cielesnego przy pełnej sprawności psychicznej, większego zresztą rano niż późnym wieczorem i w nocy, kiedy z reguły nie mogłem zasnąć, czyżby to one, te beznadziejne zmagania z chorymi umysłowo ludźmi, z którymi — choć irytowali mnie do granic wytrzymałości — musiałem się w końcu uporać, by przeżyć, ta niemożliwa do wygrania walka ze skostniałymi tutaj absurdalnymi postawami wobec grożącego nam wszystkim śmiertelnego niebezpieczeństwa zamiast porazić mi rozum szalejącym wokoło obłędem, co wcale nie byłoby dziwne, przyprawiała mnie o tak fatalne samopoczucie fizyczne?

— Nigdy nie dobijemy do żadnego brzegu — rzekł niespodziewanie mój jednoręki sąsiad.

Rzucił to przed siebie — w przestrzeń, jakby tylko do niej — do

pustki w przerwie między stołami — skierować można było tak pesymistyczny sąd o naszym rejsie. Zaświtał mi nagle promyczek nadziei. Spojrzałem nań życzliwie, zaskoczony nieco i niepewny, czym najtrafniej rozwinąć ten sensowny temat. Z oczu patrzyło mu całkiem przytomnie, więc byłbym go zaraz wciągnął do rozmowy, ale nim wyważyłem odpowiedni morał, wokół nas zaległa podejrzana cisza.

Wszyscy wpatrywali się w róg kajuty, gdzie klęczał z fajką w ustach zwrócony twarzą do ściany długowłosey, stary Indianin, znany mi już z pierwszego dnia pobytu na pokładzie Arki. W tej zagadkowej pozie trwał tam od dłuższego czasu i musiał kryć się za plecami kobiety siedzącej w inwalidzkim wózku, bo zauważyłem go dopiero teraz.

Pod oknem rozległ się trzask rozbijanej kredy, którą histerycznym gestem cisnął o podłogę staruszek, widząc, że przemawia bez należytego szacunku ze strony słuchaczy.

— Powtarzam po raz wtóry — wycedził przez zaciśnięte zęby. — Marszałek do tablicy!

Kobieta ze sparaliżowanymi nogami przetoczyła ku niemu swój ruchomy fotel i prosząc o głos ręką wzniesioną do góry, obejrzała się ukradkiem w stronę czerwonoskórego.

— Gdyby pan profesor przynajmniej raz sam przez godzinę poklęczał na grochu, toby się panu też zrobiło przykro. Każdy wie, jak ciężko wstać po takiej karze.

— Czy ja Klementynie udzieliłem głosu?

Rozejrzała się bezradnie.

— Bo pan to zawsze tylko innych pyta!

— Dość! Ustalmy coś wreszcie bez krnąbrnej dyskusji: tak czy nie?

— Nie.

— Więc niech telefonistka wraca do swej ławki i czeka na wezwanie do odpowiedzi.

W czasie tej osobliwej wymiany zdań, tak rażących przybysza infantylnym brzmieniem, stary Indianin wygrzebał się z kąta i niezgrabnym krokiem podszedł pod okno, gdzie chwiejne ciało starał się ustabilizować w wojskowej postawie zasadniczej. Patrzyłem nań z zażenowaniem. Zatem to był ów tajemniczy „marszałek Sharp”, którego list razem z kluczem do mojej kajuty przyniósł mi jego młody posłaniec: jak wszyscy wokoło, może tylko z wyjątkiem jednorękiego kaleki, nie

budził uznania swoim zachowaniem, ale skądinąd byłem mu wdzięczny za oswobodzenie.

Już wcześniej uprzytomniłem sobie, że postać tutejszego „nauczyciela” również nie jest mi zupełnie obca: poznałem go po doskonale łysej głowie, do czego nie musiałem urodzić się z talentem spostrzegawczości. On to przecież podczas farsy odgrywanej przez Ostarholda w obecności Angi zajrzał przypadkiem do mojej kajuty i spytał: „Co to za jeden?”, na co stuknięty medyk odparł nonszalanckim tonem: „Niech pan profesor popatrzy!”

— No! — huknął teraz w stronę zataczającego się marszałka. — Udowodnij, że pilnie słuchałeś mojego wykładu. Co było tematem naszej dzisiejszej lekcji?

Po kilku minutach milczenia wódz wskazał palcem swe ściśle zwarte usta, następnie rozchylił wargi, ukazując silnie dociśnięte zęby, i zbliżył do nich obie pięści z wyrazem niezłomnej zaciętości w oczach.

— Nic nie powie! — wykrzyknęła chroma telefonistka. — Przecież to widać: on już do śmierci nie piśnie ani słówka!

— A ja ci przysięgam, że wszystko wyśpiewa — zapewnił gniewnie rozjuszony belfer i z groźną miną zwrócił się do upartego ucznia. — Natychmiast powtórzysz, o czym wam mówiłem, a jak nie, to gadaj, kto ci dał alkohol, bo inaczej zaraz powrócisz do kąta!

Inwalidzki wózek przetoczył się dookoła stołu.

— Nigdy! I nie pomogą tu żadne tortury: Palec na Cynglu nie puści panu profesorowi pary, choćbyście żywcem wysmażali go na wolnym ogniu!

— Czy ktoś udzielił ci zezwolenia na wygłaszanie dziecinnych horoskopów?

— Ale ja wiem, jak się skończy ta heca!

— I ja wiem! Bo jeśli Klementyna swym ustawicznym podpowiadaniem nie przestanie zakłócać toku mojej wychowawczej pracy, to dam rektorowi przygotowany już wniosek o przeniesienie jej do innej uczelni.

— Przepraszam.

W trakcie wygłaszania ostatniej pogróżki staruszek żwawym krokiem przyskoczył do drzwi, jak gdyby istotnie zamierzał spenetrować statek w poszukiwaniu jakiegoś rektora. Tam jednak zreflektował się

widocznie, że taki blef w zabawie grozi przeciążeniem struny, bo kiedy niesforna studentka — wycofując swój wózek — ustąpiła mu z drogi, powrócił spokojnie pod okno uzbrojony w kijek do wskazywania obiektów na ściennej mapie.

— Więc kto powtórzy, co było tematem na-szej dzi-siej-szej lek-cji?
— wyskandował tonem zawodowej rutyny.

W kajucie nadal panowała cisza.

— Kamizelka do tablicy!

Obejrzałem się za siebie. Dwa stoły dalej siedział znany mi typ, którego łatwo mogłem skojarzyć z użytym, przez profesora przezwiskiem, ponieważ jak wtedy przed wejściem do mesy — gdzie podczas ogólnej prezentacji prowokacyjnie nazwał mnie „dezerterem” — miał na sobie korkowy pas ratunkowy. Zakrwawionego opatrunku również nie zdjął z głowy od tamtego czasu.

Mogłoby się wydawać, że po dotychczas oglądanych scenach nic już we mnie nie wywoła większego niesmaku. Nieustanny wzrost napięcia zmierzał tu jednak do ujawnienia jeszcze ciemniejszych sił i do wyzwolenia ich w odrażającym akcie jakiejś psychologicznej orgii. W nastroju irracjonalnego zagrożenia znowu powstawało pytanie o granice nerwowej wytrzymałości.

Po ostrym wezwaniu: „Kamizelka do tablicy!” wszyscy zwrócili się w stronę skrzepowanego pasem, małego i suchego człowiczka. Twarz wykrzywił mu grymas niehumanitarnej wprost nienawiści. Nagle — nasuwając obraz komiksowych „dymków” — rozległy się w kajucie dwa przeciągłe dźwięki: „pang!” i „puch!”. W ułamku sekundy między nimi przywołany uczeń znalazł się pod oknem, dokąd doleciał torem odpalonego za stołem pocisku. Odgłos „pang!” pozostał przy jego wywróconym krześle i brzmiał jeszcze w przestrzeni, gdy „pole siłowe” profesora wydało amortyzacyjny odgłos „puch!”, powstrzymując impet wściekłego uderzenia w próżnię, po którym Kamizelka, popielaty na twarzy i wyprężony jak struna w postawie na baczność przed nauczycielem, jednym tchem wyrzucił z siebie bezładny ciąg:

— Ty... ty pacholku analfabety, ślepy tłumaczu głuchoniemego kretyna! Jak ja ci zaraz.... o... pluję na twoje wykłady! Gówniarzu taki owaki! A pokaż mi choć świadectwo ukończenia pierwszej klasy, domokrażny filozofie z nielegalnym wykształceniem! Ty postrachu

starych dziewic, wieczne utrapienie wykidajłów, pętaku szukający wolnych słuchaczy! I ty mi tu będziesz rozkazywał? Ja ciebie zniszczę! Pan jeszcze nie wie, kim ja jestem!

Opluty egzaminator cofnął się o krok. I wtedy nastąpiły dwie najbardziej zdumiewające sceny. Prowokatorem pierwszej był Kamizelka, występujący dotąd w roli groźnego piniacza: naraz, wbrew wszelkiej logice rozwoju wypadków, a zwłaszcza na przekór wymowie poprzedniego wystąpienia, podszedł do najbliższego krzesła i — opuściwszy spodnie — położył się na nim gołym siedzeniem do góry; inicjatorem drugiej — dopiero co zwymyślany i zarazem oczekiwany egzekutor kary, który po odliczeniu kilkunastu kijów, wymierzonych sumiennie, lecz z przykrością praczącej nieprawdopodobnie brudy, zapewne by pokryć tym swoje zmieszanie, sam przystąpił zaraz do powtórzenia tematu minionej lekcji, czym z kolei wywołał w klasie taki efekt, jaki zwykle daje ostry terkot dzwonka ogłaszającego koniec zajęć.

W kajucie zapanował poprzedni bałagan. Jak widać, rzekomy profesor budził tu niekiedy respekt, ale swój autorytet opierał wyłącznie na cielesnych karach. Stosował je przy okazji repetycji „przerobionego materiału”; bez nich nikt by nań w ogóle nie zwrócił uwagi. Refleksjami tymi podzieliłem się z jednorękiem sąsiadem. Kiedy przyznał mi słuszność, spróbowałem indagować dalej:

— A czy nasz profesor rzeczywiście ma coś wspólnego z głuchoniemym? Kamizelka nazwał go pachółkiem tamtego.

— Ma! — odparł głośniej, przekrzykując hałas. — Jest jego pomocnikiem.

— O! więc to uczeń zwykłego cieśli okrętowego. Po prostu czeladnik!

Zaraz poczułem poprawę nastroju. Byłem już na dobrej drodze do pełnego odprężenia, gdy kolejne wezwanie znowu ścięło mi krew w żyłach:

— Spadkobierca do tablicy!

— To uzurpator! — ryknął Kamizelką.

Zatoczyłem wzrokiem w kręgu głuchego milczenia, nie zerknąwszy nawet w jego kierunku.

— Tak! — potwierdziłem mocnym głosem. — Właśnie

spadkobierca! I dlatego, że nim jestem, a mniejsza już o to, czy legalnie przypisałem sobie prawo do władzy na Arce, w godzinie jej zagłady, więc w obliczu śmierci, napadany przez wariatów otoczonych idiotami, skazany na was w bezkresie morza — sam pośród błaznów! — ogłaszam koniec tej maskarady. Nazwijmy wreszcie rzeczy po imieniu! Przywróćmy słowom pierwotne ich znaczenie! Czy jest między wami ktoś odpowiedzialny, kto ma bodaj cień świadomości naszego rejsu?

— Świadomość naszego rejsu — powtórzył powoli bas pod oknem i zaraz zadudnił retorycznie: — A któż jej nie ma? Wszak wszyscy o nim myślimy. Dlaczego jednak nazywasz go „naszym”? Czyż każdy los nie jest innym rejssem? Epitety pomijam, ale w twym ataku na nas roi się również od niekonsekwencji. I tak oto apelujesz do wszystkich o wykluczenie metafor z opisu ogólnej sytuacji, a sam — pod naciskiem upodobania do mglistych przerośnięć — operujesz nimi niemal w każdym zdaniu. Ponadto, akcentując gotowość do działania dla wspólnego dobra, w głębi duszy masz na myśli tylko swój interes. Bo jakim prawem zamiast zapytać skromnie: „Czy jest wśród was ktoś, kto ma świadomość mojego rejsu?”, mówisz z szerokim gestem: „naszego rejsu”, więc używasz liczby mnogiej, tutaj, na wydziale CEPI tej uczelni — w Centrum Eksperymentalnym Psychologii Indywidualistów — gdzie liczba ta jest zbiorem pustym?

— Dowcipnie to sobie uroiłeś! Lecz co wam pomogą te brednie o uczelni, kiedy razem pójdziemy na dno?

— Powoli, symulancie! — wtrącił się Kamizelka. — Nie na dno i wcale nie razem! Najpierw trafi do karceru nasz nowy dezertor, bo żadne uniki nie zwiódą komisji lekarskiej na czele z doktorem Ostarholdem.

Kretyńskie wyskoki tego obleśnego typu drażniły mnie coraz bardziej. Przysiągłem sobie jednak nie poniżać się w dyskusji z takimi kreaturami.

— Spokój tam! — uciszył go profesor. — Czyś nie zauważył, że spadkobierca ignoruje każde twoje słowo? Jest nowym studentem i choćby dlatego należy mu się małe wprowadzenie.

— Tak — przyznałem skwapliwie, bardzo zaskoczony zmianą tonu w niskim głosie czeladnika cieśli. — Istotnie, należy mi się wyjaśnienie, lecz nie tyle małe, co całkowite. Między innymi muszę się w końcu dowiedzieć, kto bez mojej zgody wydaje tu stale te absurdalne zakazy i

nakazy, a potem — w przypadku nieposłuszeństwa — samowolne wyroki. Na przykład: doniesiono mi wczoraj, że pasażerom Arki nie wolno wyglądać przez okna...

Nikt już mnie nie słuchał. Profesor stał w otwartych drzwiach, skąd skinął do jednorękiego inwalidy. Obaj wyszli na korytarz.

Pozostałem sam na uboczu gromady igrającej sobie z widmem wody i ognia. Czułem się bezradny, odkąd profesor ponownie i tym razem ostatecznie stracił kontrolę nad wszystkim, co się działo w jego klasie. Nawet ten pedagogiczny maniak, zwariowany wprawdzie, ale przecież zapoznany z tutejszymi zwyczajami, przestał w niej panować, kiedy zaraz po słowach: „Czyż każdy los nie jest innym rejssem?” odłożył swój dydaktyczny kijek. Nie chodziło tu zapewne o zwyczajny strach przed batem, Kamizelka bowiem z perwersyjną wprost rozkoszą poddał się karze publicznej chłosty. W sali trudno było nie tylko rozmawiać, ale i w ogóle wytrzymać, głównie z powodu zamieszania i wrzawy rozpętanej przez kilka bardzo czymś podekscytowanych osób. To one wodziły teraz rej niemal w całym towarzystwie.

Przy środkowym stole siedzieli też pasażerowie nie związani niczym z pozostałymi wariatami. Nie umiałem określić, w czym tkwi sedno duchowej odrębności tej grupy, ludzie ci jednak również zewnętrznie wyglądali nieco inaczej. Przypatrując się im z największym natężeniem uwagi, po raz pierwszy odniosłem to niepokojące wrażenie, że nasza wymiana zdań z czeladnikiem cieśli toczyła się tutaj nie *ponad* ich głowami, w co dotąd wierzyłem pełen zarozumiałości, ani nawet nie *obok* równolegle prowadzonej tam dyskusji, tylko w paśmie jej zakłóceń: na *niższym poziomie wtajemniczenia*, w głębokim podkładzie jakiejś rzeczywiście istotnej i właśnie przez nich rozpatrywanej sprawy. W zachowaniu ich było coś zagadkowego, co swoim ostrzem przeszywało mnie na wylot: jakby to oni nas tolerowali, podobnie jak dorośli, którzy pobłażając dzieciom, przerywają czasem poważne rozmowy i patrzą w milczeniu na niewinne figle.

Takiego mniej więcej doznałem wrażenia. A gdy odczułem, że jest ono przykre, natychmiast przyskoczyłem do drzwi i wypadłem na pusty korytarz, aby czym prędzej otrząsnąć się z tej szalonej myśli.

7.

Podczas melancholijnych powrotów do opuszczonego niegdyś domu trafiają się przypadki zaskakujących odkryć, które naruszają ustalone od lat wyobrażenie o jego wyglądzie. Odkrycia te następować mogą przy zderzeniu faktów obserwowanych z oczekiwanymi, na linii styku między „jest” a „było”, w pełnej napięcia i wzruszenia chwili, kiedy wzrok „przybysza z przyszłości” pieści kształty rozpoznawanego otoczenia, napotykając w nim — zamiast lub obok starych — elementy zupełnie nowe, na pozór nie znane, a jak się często okazuje, nie obce! tylko zapomniane. I w tym lapidarnym „jak się okazuje” przejawia się cała moc przeżywanego olśnienia, potężna siła obronna przed rozczarowaniem; jest bowiem tak, że gdy ów przybysz z przyszłości konstatuje świętokradcze zmiany w budowie swego minionego świata i buntuje się przeciwko niepowetowanym stratom, nierzadko — również pod wpływem lokalnej wizji — w jego pamięci spada jakaś zasłona; bywa więc, że świadomość dociera do utajonej warstwy dziejów, a ilekroć to następuje, dochodzi zarówno do rekonstrukcji cennych zasobów pamięci, jak i do ich wzbogacenia.

W masywie zabudowy drugiego pokładu Arki, gdzie się włóczyłem w poszukiwaniu cieniów przeszłości, co pewien czas doznawałem takiego właśnie olśnienia. Najpierw miałem wątpliwości w stosunku do zmian w układzie korytarzy — nieuzasadnione, jak się okazało, potem nasunęły mi się bezpodstawne zastrzeżenia co do lokalizacji kilku drzwi i okien, aż w końcu, po rozproszeniu wielu niepewności, zatrzymałem się przy schodach, których tu kiedyś wcale nie było. Musiałem pogodzić się z widocznym faktem, że znaczna część statku została przebudowana.

Poza wyraźnym spadkiem napięcia na skutek działania tabletek uspokajających czułem też silne zawroty głowy i coraz większą senność. Kolejny jej atak obezwładnił mnie na pierwszym stopniu schodów. Usiadłem na nim, myśląc o powrocie do kajuty, ale gdy oparłem się o ścianę, prawie natychmiast straciłem świadomość.

Od dawna nie spałem tak długo i niespokojnie zarazem: budzony okresowymi podrygami ciała, po których serce zaczynało mi bić bardzo

szybkim rytmem, co we śnie zawsze wywołuje popłoch i jest szczególnie przykre, to znów nękany okrzykiem „Uwaga!”, powtarzanym przy uchu przez kogoś nieobecnego, obracałem się na podłodze z jednego boku na drugi, przekonany o konieczności przerwania tego koszmaru i równocześnie niezdolny do zmiany miejsca wypoczynku. Męczyłem się tak chyba przez kilkanaście godzin, bo zapadła kolejna noc, kiedy ostatecznie otworzyłem oczy. Ten długotrwały półsen nie poprawił mi samopoczucia: nadal byłem obolały i na domiar złego rozdrażniony, zwłaszcza że wszystkie dolegliwości kładłem na karb nieodpowiedniego leku.

Podnosząc się z podłogi, usłyszałem znajome głosy i zobaczyłem profesora „psychologii indywidualistów” idącego obok jednorękiego inwalidy. Na mój widok obaj zatrzymali się przy schodach.

— To ja skazany jestem na was w bezmiarze tej teoretycznej pustki — poskarżył się łysy czeladnik głuchoniemego cieśli swemu niepełnosprawnemu rozmówcy na zakończenie jakiegoś wywodu. — Co się zaś tyczy naszego spadkobiercy — zmienił temat spojrzawszy na mnie — to jego nieświeży wygląd świadczy pewnie o złej kondycji fizycznej spowodowanej trapiącymi go zaburzeniami układu vegetatywnego. Może to być prosty skutek braku jakiegokolwiek zajęcia albo wprost przeciwnie — nadmiernego wikłania się w problemy z zasady nierozwiązywalne. Wszystkiemu można zaradzić. Ponieważ neuroza, inaczej niż psychoza, nie należy do chorób zakaźnych, co by pan powiedział o propozycji natychmiastowego zatrudnienia w charakterze woźnego w mojej uczelni?

— Serio pan to mówi?

Tak, bo gdyby pan nie przyjął tej skromnej posady, Clifson sam będzie musiał znieść ze strychu tablice do naszej sali wykładowej. Jak uczy doświadczenie, tutejszym studentom trzeba kłaść wszystko czarno na białym... jeśli łopata nie wchodzi im do głowy. Stanowisko woźnego nie koliduje z prawami wolnego słuchacza. Ja mam chory kręgosłup i żadnych ciężarów dźwigać nie mogę. A zawsze co trzy ręce, to przecież nie jedna.

Wskazał pusty rękaw swetra zwisający z ramienia kolegi. Przy despotycznym sposobie bycia poza twardym błyskiem oczu nie miał nic podejrzanego w wyrazie twarzy. Przyglądałem mu się bacznie, czujny

wobec groteskowej formy jego urojenia, które cechowała wielka pewność siebie, nie złamana przez nikogo i nie oparta na niczym prócz owej tablicy szkolnej — dostrzeżonej między gratami pokładowego bałaganu.

— I sądzi pan poważnie, że pod wpływem pierwszego lepszego złudzenia porzucę myśl o ratowaniu Arki, by zająć się umeblowaniem pańskiej wyimaginowanej klasy przeznaczonej dla nieświadomych swego losu wariatów?

— Od razu widać, jakie spustoszenie w podstawowym aparacie pojęciowym wywołać mogą wagary, którymi zlekceważył pan kilka moich ostatnich lekcji. Luki w pańskim elementarnym wykształceniu zasługiwałyby na ekspozycję w jakimś psychologicznym lamusie osobliwości, gdyby nie były tak bardzo klasyczne. Po pierwsze — a bez tego „primo” nie będziemy dalej mówić — wariatów w ogóle nie ma! Czy wyrażam się dość jasno? — Popatrzył gniewnie dookoła siebie. — I nigdy ich nigdzie nie było, przynajmniej z obiektywnego punktu widzenia. Bo kogo w praktyce nazywamy wariatem? Doprawdy, przecież każdego, kto nie przyjmuje naszej wizji świata! A on nam z kolei odmawia zdrowych zmysłów, z czego by wynikało, że pomyleni są dosłownie wszyscy. Zatem to puste kiedy indziej słowo dopiero wtedy nabiera znaczenia, gdy posługujemy się nim w sensie subiektywnym i zarazem względnym. Przy tym truizmie wychodzi też na jaw inny obiegowy banał: człowiekiem dobrym jest dla nas każdy, kto wspiera nasze złudzenia.

— Ja pańskich nie będę wspierał.

— I nie ma potrzeby.

Odwrócił się do Clifsona. Ruszyłem chwiejnie w kierunku mesy, gdzie gwałtem zamierzałem pokonać swój długotrwały brak apetytu, to znaczy zjeść coś mimo nieustannych mdłości, ale już w połowie schodów uświadomiłem sobie, że z pozostałymi marynarzami mogę mieć jeszcze większe kłopoty. Z prostymi i zarazem upartymi ludźmi trudno się czasem dogadać nawet w najbardziej oczywistych sprawach, a ów inteligentny maniak bredził przynajmniej w ramach ogólnie przyjętej logiki. Gdybym mu tylko zdołał wybić z głowy głupie mrzonki o wyższej uczelni, mógłby mi pomóc w trudnym dziele ratowania szalonej załogi.

Tymczasem trzeba go było przyłapać na jakiejś niekonsekwencji. Nadal rozmawiał z Clifsonem. Usiadłem na stopniu schodów i zapytałem

spoza poręczy:

— Więc swych studentów nazwie pan normalnymi uczniami, skoro wariatów w ogóle nie ma?

— Normalny pochodzi od „normy”! — rozżłościł się na dźwięk tego słowa.

— A czy to moja wina?

— W ostateczności — zgoda: bez norm faktycznie trudno byłoby się obyć. Stosujemy je zatem przy produkcji nitów, a nie w odniesieniu do osobowości ludzkiej, która takich wzorców wcale się nie boi. Bo przecież mówiąc człowiek „normalny”, mamy na myśli „przeciętny”, czyli „najczęściej spotykany”, a to już znaczy „pospolity”. Nie trzeba tu chyba podkreślać, że zarówno obelgi „wariat”, jak i zniewagi „człowiek pospolity” używamy zwykle w znaczeniu pogardliwym. Słowa te wyrażają nasze uczucia w stosunku do kogoś, należy je zatem rozpatrywać w kategoriach emocjonalnych, a nie racjonalnych. Nie! Wśród waszych kolegów nie ma wariatów ani tym bardziej ludzi pospolitych. Jedno, co wam systematycznie zarzucam, to chroniczny brak uwagi na wszystkich moich wykładach, które podstawom tejże uwagi, bo właśnie przeglądowni „ogólnej teorii uwagi”, niemal w całości poświęcam. I tak stanąłem przed zagadnieniem...

— Pytam, czy pana zdaniem ludzie ci są zdrowi psychicznie! — przerwałem mu szorstkim tonem, przyciskając go wreszcie do muru.

— W tym też nie widzę żadnego problemu. Ale poruszył pan inny temat. By wiedzieć bowiem, czy ktoś jest zdrowy, należy o to zapytać jego.

— I to już wystarczy?

— Tak, jeśli nie zatai prawdy.

— Czyżby? Więc według pana, każdy psychopata, którego zachowanie zdradza określone anomalie, zdaje sobie sprawę ze złego stanu swych władz umysłowych, słowem, sam dobrze wie, że jest chory psychicznie?

— Oczywiście.

— Tego nie oczekiwałem! I pan, taki filozof, psychoterapeuta prawie, po szumnej zapowiedzi przewrotu w poglądach na tajemnice ludzkiej duszy daje mi raptem dowód tak czystej, po prostu dziecinnej naiwności?

— Bynajmniej.

— Przecież powiedział pan z naciskiem, że aby wiedzieć, czy ktoś jest chory, wystarczy go o to zapytać.

— Tak i przy tym twierdzeniu upieram się dalej.

— Lecz kiedy psychopata wbrew diagnozie specjalisty uznaje się za człowieka w pełni zdrowego i szczerze czuje się pokrzywdzony jego fałszywym rozpoznaniem...

— Wtedy faktycznie nie jest psychopatą — dokończył. — Opinia psychiatry w sprawie domniemanych zaburzeń osobowości pacjenta nie może pomijać podstawowej prawdy, że każdy z nas sam najlepiej wie, czy mu coś w ogóle dolega.

— A co miałoby dawać nam pewność psychicznej choroby?

— Jedynie cierpienie! Wszak psychopatia znaczy „cierpienie duszy”.

— Zatem ktoś, kto nie cierpi psychicznie, ma prawo uznawać się za zdrowego?

— Owszem, ma je! A to po prostu z tego powodu, że nic lepiej nie informuje człowieka o stanie jego duszy i ciała niż własne samopoczucie. Każdy z nas jest zdrowy lub chory w takim czasie oraz stopniu i zakresie, w jakim dobrze czy źle się czuje zarówno psychicznie, jak i fizycznie.

— Panie kapitanie!

W głębi korytarza ukazała się para niewidomych pasażerów Arki. Kobieta prowadziła mężczyznę. Szła obok niego, badając okolice ostrożnymi ruchami białej laski. To ona zawołała w naszym kierunku. Oboje mieli na oczach ciemne okulary. Zanim dotarli do schodów, profesor przypomniał sobie o ważnym odczycie i mimo mojego sprzeciwu ruszył na pokład.

— Czy Patryk Tenevis jest jeszcze tutaj? — spytała kobieta.

Zwróciła twarz ku górze, skąd dobiegał odgłos kroków szalonego wykładowcy.

Zbliżywszy się do zagadkowej pary, dałem znak Clifsonowi, aby został przy nas.

— Poznaliśmy pana po głosie — wyjaśnił ociemniały mężczyzna, kiedy przedstawiłem się im jako nowy kapitan. — Na takie przypadkowe spotkanie liczyliśmy od czasu pańskiego oświadczenia skierowanego do załogi w dniu przybycia na statek. Treść tamtego wystąpienia analizowaliśmy wielokrotnie. Popieramy je bez żadnych zastrzeżeń.

Trudno mi wyrazić, ile pokładamy w nim nadziei, chcemy tylko zapewnić pana o swej. pełnej lojalności. Mamy zaszczyt...

— Uspokój się, kochany — wtrąciła się jego partnerka. — To jest mój mąż, Robert Kalm, a ja nazywam się Lisetta. Jesteś zbyt podekscytowany i dlatego chaotyczny, pozwól więc, że wszystko po kolei sama panu kapitanowi opowiem.

— Ależ pan kapitan nie będzie tracił czasu na wysłuchiwanie banalnej historii. Sam dobrze wie, że dawniej trudno nam tu było porozumieć się z kimkolwiek, bo do chwili jego przybycia otaczał nas nieopisany zamęt. W ogarniającej ludzi nieprzyjaznej atmosferze daremnie szukaliśmy jakiegoś oparcia. Mimo wielu prób nawiązania kontaktu z innymi pasażerami Arki i szczerzej chęci zrozumienia ich, nie pojmowaliśmy, co się tutaj dzieje. Dopiero pan kapitan, wskazując przyczyny ogólnego zamieszania, przywrócił nam wiarę w sens dalszych wysiłków. Czy musisz mu przeszkadzać w pełnieniu odpowiedzialnej służby?

— Radzisz mi zachować obojętność, kiedy poczucie zagrożenia każe włączyć się do akcji ratowniczej?

— Pozostaw ten obowiązek sprawnym marynarzom, którym przecież — o czym świadczy ich zapał — wcale nie brak dzielności. Przy podziale funkcji między uczestników rejsu pan Tenevis rozważył już pewnie możliwość skorzystania z naszej skromnej pomocy. W każdej chwili gotowi jesteśmy służyć mu swymi siłami, ale nie zatrzymuj go, tylko się zastanów, o ilu sprawach powinien nieustannie myśleć i jak wiele energii pochłania kierowanie tak licznym zespołem.

Wpatrywałem się z napięciem w twarz ociemniałych pasażerów. Clifson, którego zapytałem pałającym wzrokiem, jak zareagować na te wszystkie, być może nieświadome kpiny, uprzedził mój wybuch spokojnym wyjaśnieniem:

— Oboje nie orientujecie się w aktualnej sytuacji, wkrótce jednak pan Tenevis poczuje się lepiej, a wtedy będzie mógł zaopiekować się wami.

Tak powiedział, za co w końcu należało go pochwalić, bo to była zwyczajna, naturalna reakcja zdrowego człowieka, do jakiej już od dawna nie byłem zdolny. Takt i opanowanie jednorękiego inwalidy robiły na mnie bardzo dobre wrażenie. Ale przy tych zaletach charakteru

musiał mieć w swej konstrukcji psychicznej jakieś zagadkowe odchylenie, skoro gotów był zostać pomocnikiem woźnego w tej absurdalnej uczelni.

— Masz słuszność — przyznałem. Uścisnąłem Kalmom dłonie i ominąwszy ich w ciasnym przejściu, kulejąc na sztywnej nodze, zbliżyłem się do Clifsona. — Jeśli myślisz o moim zdrowiu fizycznym i samopoczuciu, o którym tak wojowniczo rozprawiałem z czeladnikiem cieśli, to faktycznie jest ono w opłakanym stanie, co również i jemu rzuciło się w oczy. Ponieważ orientujesz się tu w wielu sprawach, wiesz pewnie, kto mógłby dać mi leki na kolano i mdłości, a zwłaszcza na nerwy. W tych okolicznościach, kiedy los statku waży się na ostrzu przytomnej i zarazem stanowczej decyzji, nie wolno mi jej podjąć, dopóki nie odzyskam siły w takim przynajmniej stopniu, aby móc nie tylko wydawać polecenia, dryfujące potem ospale gdzieś w próżni, ale też czuwać nad ich wykonaniem. Skorzystałbym z recepty kogoś doświadczonego, byleby tylko spoza szajki tamtego konowała Ostarholda.

— Poza zespołem powołanym przez ordynatora nie ma tu żadnego dyplomowanego, specjalisty. Ale gdyby zraził się pan do medycyny oficjalnej, warto spróbować u jednego z tych kontrowersyjnych uzdrowiaczy, bioenergoterapeutów czy innych hipnotyzerów, tolerowanych na dolnym pokładzie, gdzie praktykują razem z nieszkodliwymi znachorami, których (z punktu widzenia absolwentów poważnych uczelni) można by nazwać paraterapeutami. Nigdy ich nie brak, gdy istnieje wielkie zapotrzebowanie na różnego rodzaju usługi lecznicze. I nasz profesor należy do tego barwnego grona. Zastanawiam się, czy zdaniom głoszonym przez niego nie przypisuje pan przypadkiem nadmiernego znaczenia.

— A ty co o nim myślisz?

— Oczywiście, samopoczucie człowieka najlepiej mu mówi o chwilowym stanie jego duszy i ciała. Rzecz w tym jednak, że swej euforii wywołanej jakimś sugestywnym złudzeniem nie sposób przecież utrzymać długo bez świadomie czynnej troski o przyszłość. Więc czyż działanie na własną zgubę, przy doskonałym skądinąd samopoczuciu, może być przejawem psychicznego zdrowia?

— O to mi właśnie chodziło! Słuchaj uważnie, co ci teraz powiem, bo

mam wrażenie, że zostałem otruty i może wkrótce stracę przytomność, a wtedy jacht byłby wydany w objęcia jakiejś maniakalnej lub depresyjnej psychozy, czyli na pastwę zbiorowej halucynacji. Musimy stawić jej opór, licząc na pomoc zdrowych ludzi, choć niewiarygodna lekkomyślność marynarzy nie nastraja zbyt optymistycznie. Coś każe mi wierzyć, że jesteś nie mniej inteligentny niż zrównoważony, niezwykle odporny na stres psychiczny, słowem, jesteś kimś, kogo daremnie szukam już od dłuższego czasu. Ponieważ przy posiadanych przymiotach umysłu i woli — podobnie jak Rayt i Kalmowie — należysz też do rzeczników walki z ogarniającym załogę szaleństwem, z pełnym zaufaniem do twych zdolności powierzam ci funkcję swego drugiego zastępcy na Arce.

Poruszył się niespokojnie.

— Czy nie przecenia pan moich kwalifikacji?

— Nie, bo pierwszym mianowałem Rayta, a jemu także daleko jeszcze do ideału oficera, który by miał doświadczenie rutynowanej kadry. Nad manewrami statku wymagającymi fachowej wiedzy sam będę czuwał za pośrednictwem nowego bosmana, zwerbowanego już pewnie przez Rayta. Skontaktuj się z nim natychmiast i razem wyciągnijcie odpowiednie wnioski. Przy mojej pomocy obaj zresztą moglibyście się wiele nauczyć; w końcu idzie mi tu głównie o pozyskanie autorytetu wśród obcych ludzi, co też leży w ich interesie i do czego potrzebne jest jedynie wasze psychologiczne poparcie.

— Więc udzielimy go panu. Najpóźniej jutro rano... albo wieczorem, bo najpierw muszę spotkać się z kimś w bardzo pilnej sprawie.

— Co to takiego?

— Wolałbym o tym nie mówić.

Przyjrzałem się mu z niedowierzaniem.

— Jak ty to sobie w ogóle wyobrażasz? Wachty wypełnione towarzyskimi zebraniem, a służba w antraktach? Więc istnieją tu sprawy pilniejsze niż Arka?

Naraz z pokładu — jak gdyby w ironicznej odpowiedzi na moje pytanie dobiegł okrzyk zniecierpliwionego profesora:

— Clifson! Tablica przygniotła mi palec! Jesteś tam jeszcze na dole?

Inwalida drgnął i kilkoma skokami dotarł do połowy schodów, skąd zmierzył mnie nagle spojrzeniem pełnym rozpaczliwego wahania.

— Niech mi pan pomoże — szepnął.

Gdzieś daleko w głębi statku rozszedł się stłumiony pogłos, jakby ktoś w mieszkalnym bloku zatrzasnął drzwi windy.

— A w czym? — spytałem lodowatym tonem po sekundzie dzwoniącej ciszy. — W ratowaniu palca twego pryncypała czy starej posady, bez której, jak widać, nie możesz się obyć?

Gdy w milczeniu wspiął się na kolejny stopień, zatrzymałem go ruchem ręki.

— Odchodzisz, ponieważ nie jesteś w stanie pojąć, dlaczego ja jej nie przyjąłem, choć tego nikomu nie trzeba tłumaczyć. Lecz gdybyś został drugim oficerem na moim statku, to znaczy u kogoś, kto upadł tak nisko, że z kolei wyczerpał swe ambicje na stanowisku woźnego u pomocnika cieśli, niechby nawet ów pomocnik, czyli wasz „profesor”, mówił głosem intelektualisty — czy wtedy nie czułbyś się upokorzony?

Wyrzuciwszy to z siebie jednym tchem, blady z gniewu zszedłem na dolny pokład i lawirując w tłoku między grupami ludzi zajmującymi ławki oraz miejsca pod ścianami, ledwie świadom ich obecności przecisnąłem się w boczny korytarz.

8.

Szukałem ustronnego miejsca — jakiegokolwiek, byleby tylko nie wystawionego na widok publiczny — gdzie bez posądzenia o pijaństwo mógłbym natychmiast zwymiotować, znowu bowiem — czy to na skutek zaduchu panującego w głównym korytarzu, który był wypełniony zagadkowym tłumem, czy raczej pod wpływem podejrzanych tabletek Angi — poczułem szczególnie silne mdłości.

Chwiałem się tak bez sensu między dwiema ścianami bocznego korytarza, aż gdzieś w jego końcu, ponaglony gwałtownym skurczem żołądka, wtargnąłem czym prędzej do najbliższej kajuty i dalej (nie patrząc wokół siebie) przez otwarte drzwi łazienki — prosto do umywalki. Jak się okazało po kilku minutach, mimo ataku torsji nie miałem czym wymiotować, zaś upiorny rezultat foniczny tej gastrycznej niemocy, efekt spowodowany palcami wciskanymi przemocą do gardła, dotarł do mej świadomości dopiero w momencie, gdy czerwony na twarzy z daremnego wysiłku, załzawiony i opluty, uniosłem wreszcie głowę na wysokość lustra i obok swego umęczonego wizerunku zobaczyłem w nim odbicie jakiejś jasnowłosej, niezwykle czymś zasmuconej dziewczyny.

Stała nieruchomo na dnie wanny, ubrana w kurtkę od pizamy i dzinsy zmoczone od butów do połowy łydek. Nic nie powiedziała, ani nawet jakimś gestem bądź znaczącym spojrzeniem nie skomentowała mojej skandalicznej napaści. Chociaż miała prawo się oburzyć — i ten fakt najwcześniej rzucił mi się w oczy — reakcja jej (jeśli brak odruchu zasługuje na miano reakcji) prawie wcale nie odpowiadała rodzajowi incydentu. Takie zachowanie krępowało mnie jeszcze bardziej, lokatorka kajuty nie była bowiem rozgniewana albo co najmniej zaskoczona, lecz tylko — właśnie! — posępna.

Umyłem twarz pod strumieniem wody ciekącej z kranu odkręconego już przez kogoś wcześniej i powoli skierowałem się ku drzwiom, ale tuż przed nimi — czując zawrót głowy i brak koordynacji ruchów — usiadłem ciężko na krawędzi wanny. Przez dłuższy czas nie miałem siły podnieść się z miejsca.

Poza lekkim drzeniem ciała wspartego ramieniem o ścianę, dziewczyna również nie dawała znaku życia. Mogło się wydawać, że zastygła w postawie dezaprobaty wobec gwałtu dokonanego przed nią na wszelkich wymogach estetyki, a może faktycznie doznała szoku, bo zaniemówiła tak demonstracyjnie, jakby nienaturalnie długim, nieledwie wyniosłym milczeniem — uprzedzając kierunek spodziewanej obrony — chciała wyrazić swój wstręt i brak tolerancji dla tego rodzaju wizyt; z drugiej jednak strony nie miałem podstaw do takiej interpretacji jej dziwnego zachowania, gdyż wzrokiem — bez żadnego wyrazu — patrzyła nie na mnie, tylko wprost przed siebie: ślepa i głucha, niema i nieczuła, skamieniała w skrajnej obojętności na wszystko.

Po kilku pozostawionych bez odpowiedzi pytaniach i równie jak one delikatnej próbie oderwania chorej od ściany skojarzyłem sobie jej stan z owymi (mijanymi gdzieś w korytarzu) osobliwymi postaciami, które nasuwały obraz typowego schizofrenika: może i ona nie całkiem jasno przyjmowała fakt mojej obecności w łazience. Psychopatów o podobnym usposobieniu i fizjonomii rozpoznałem wśród pacjentów wyglądających przytomnie. Tam to pewnie — według informacji Clifsona — przyjmowali ci różni paraterapeuci.

Na myśl o bliskim kontakcie z nimi — nie bez nadziei na rychły powrót dobrego samopoczucia — pogrążyłem się w nastroju wyobrażonej wizyty u psychoanalityka i ani się spostrzegłem, gdy po przeprowadzonym w zadumie rachunku ostatniego okresu życia tak głęboko wszedłem w klimat tej wizyty, że zacząłem mówić na głos, jakbym chciał podnieść na duchu tę beznadziejnie zmartwioną czymś dziewczynę lub zwracał się ze swymi kłopotami do słuchającego obok spowiednika. I tak resztę nocy strawiłem na wspomnieniach spędzonego tu dzieciństwa i na szczegółowej analizie bieżącej sytuacji, akcentując przede wszystkim optymistyczne jej strony i wyjaśniając obszernie, czym dla mnie jest Arka, cały następny dzień natomiast przespałem chyba gdzieś przy wannie, nieświadom miejsca ani upływającego czasu, bo znów za oknem panowała ciemność, kiedy usłyszałem jakieś głosy.

W korytarzu za uchylonymi drzwiami mignęły mi ciemne okulary Kalmów. Przywoływali „pana kapitana”. Powiedzieli, że jestem poszukiwany przez doktora Ostarholda. W jego imieniu pytała też o mnie pielęgniarka Anga. Wprowadziłem ich do łazienki i przy osłupiałej

dziewczynie, która nadal — mimo widocznego wyczerpania — podpieraa ścianę w tej samej niemal, niezłomnej pozie, naradziłem się z nimi, w jaki sposób ten psychiatryczny problem rozwiązać bez udziału okrętowego lekarza i jego siepaczy-sanitariuszy. Od czasu awantury wywołanej przez doktora kojarzyłem sobie z nimi kaftan bezpieczeństwa. Psychopatka straciła kontakt z otoczeniem przed wieloma godzinami. Nie wiedziałem, co teraz byłoby mniej drastyczne: czy zostawić ją w spokoju, aż sama dojdzie do siebie lub znużona ostatecznie osunie się na dno wanny i zaśnie, czy w równie dobrej intencji przełamać jej opór gwałtem i zaraz przenieść na łóżko do kajuty. W ogóle nie miałem jasnej koncepcji postępowania ze wszystkimi ludźmi na statku. Kalmowie pozostali w łazience, obiecując, że raz jeszcze spróbują przemówić chorej do rozsądku, ja zaś wyszedłem w poszukiwaniu pomocy.

W drodze do głównego korytarza z trudem rozpoznawałem dobrze znane miejsca. Nowi armatorzy statku nie oszczędzili mi wymyślnych tortur w postaci niepotrzebnych remontów i jeszcze bardziej zbędnych przeróbek. Konstrukcyjne innowacje, obce skutniczej tradycji i niczym nie uzasadnione, jak na przykład grube, stalowe podpory i masywne grodzie, wmontowane w kadłub w celu wzmocnienia starych belek, swym wielkim ciężarem musiały pogrążyć w morzu lekką niegdyś fregatę do głębokości zanurzenia wojennego okrętu. Przy tych wszystkich zmianach atmosfera dolnego pokładu miała w sobie coś z klimatu zatęchłego podziemia: zewsząd ziało chłodem i zapachem mokrego, zmieszanego z piaskiem cementu, którym ochlapane były ściany i stropy, co heblowanym deskom nadawało wygląd szorstkich betonowych płyt..

Od poprzedniego wieczora liczba pacjentów oczekujących na wizyty u paraterapeutów prawie wcale nie uległa zmianie. Widać pozamedyczne usługi lecznicze cieszyły się na Arce znacznym powodzeniem. Może była to pora największego nasilenia przyjęć albo okresowej przerwy w praktykach znachorów, w każdym razie ogólny obraz zatłoczonego wnętrza nie robił na przybyszu dobrego wrażenia: z jednej strony korytarza ciągnął się rząd ludzi podzielonych na kolejki o różnej długości, ustawione pod wejściami do gabinetów, z drugiej — szereg ławek okupowanych przez indywidua o powierzchowności

włóczęgów. Reszta obecnych kręciła się ospale między drzwiami, na których brakowało jakichkolwiek informacyjnych wywieszek. Pod ścianami stały walizki, zaś postacie siedzące lub leżące na ławkach zaopatrzone były w koce i żywność. Niekiedy gdzieś rozlegało się chrapanie, brzmiące tym donośniej, im cichsze stawały się rozmowy. Podłoga zaśmiecona była resztkami jedzenia i niedopałkami. Przez szarą mgłę tytoniowego dymu przebijało się z góry światło jarzeniówek, rzucając siny blask na spocone ręce, nie ogolone brody mężczyzn i rozmazane makijaże kobiet. Niemal wszystkie twarze miały ten charakterystyczny wyraz, jaki nad ranem — po nie przespanej nocy wśród bagaży — przyjmują podróżni w poczekalni dworcowej lub po wielu godzinach jazdy w dalekobieżnym pociągu.

Spojrzenia chorych zdradzały znużenie. Wpatrywałem się w ich rysy w poszukiwaniu kogoś bardziej przytomnego, kto by mi powiedział, gdzie — obok przypadków zwyczajnej nerwicy — leczy się też ataki ostrej hysterii lub swoistej katalepsji, którym mogła ulegać dziewczyna z wanny, i czy w ogóle istnieją tutaj tak wąskie specjalizacje. Z pytaniem o to miałem zamiar zwrócić się do rezolutnego mężczyzny w kolejarskiej czapce na głowie. On jeden nie spoczywał ani chwili. Kręcił się między pacjentami, udzielając im informacji, lakonicznych wprawdzie, lecz widocznie wyczerpujących, bo wszyscy mu się kłaniali jak ekspertowi obytemu z problematyką służby zdrowia. Robił wrażenie człowieka świetnie zapoznanego z tymi ludźmi, więc przy okazji wyjaśnienia wątpliwości natury medycznej postanowiłem wypytać go obszernie o stosunki panujące wśród pasażerów na dolnym pokładzie, jednak doszło tylko do wzajemnej prezentacji, gdyż w odpowiedzi na moje słowa (nie zawierające więcej treści ponad to, kim jestem i jak się nazywam) mężczyzna rzucił dwucyfrowy numer:

— Dwadzieścia trzy.

Zaledwie to powiedział i odszedł nieco dalej, a już z drugiej strony ktoś inny znowu zawrócił mu głowę.

— Co to za liczba? — podniosłem głos z niedowierzaniem. — Na jakiej podstawie z nazwiska obcego pacjenta rozpoznaje pan rodzaj jego choroby?

— Nazwisko nie ma żadnego znaczenia, skoro jest pan kapitanem, jeśli dobrze usłyszałem.

— Jestem nim. to znaczy kapitanem Arki...

— Ten drugi fakt także jest tu obojętny, kapitanów bowiem razem z innymi oficerami i generałami aż do marszałka włącznie przyjmuje bioenergoterapeuta w dwudziestym trzecim przedziale, co już raz powiedziałem. Czy zapisać to panu dla pamięci?

— Tam znajduje się elitarny gabinet — dorzucił cicho ktoś z boku.

Zbity z tropu i zły na wszystkich wokoło powróciłem do pierwszej kolejki. Wprawdzie nikt otwarcie nie zareagował pustym śmiechem, ale w obu głosach czaił się zamaskowany powierzchownym spokojem ciężki ładunek kpiny, w każdej chwili gotowy do wybuchu. Czułem, że ci wariaci bawią się tam moim kosztem. Na dolnym pokładzie z nikim więc poważnie nie można było mówić o problemach Arki. Raz jeszcze spojrzałem w zatłoczoną czeluść korytarza.

Miejsce na pierwszej ławce zajmowała samotnie kobieta w moim wieku. Miała na sobie rozpięty gruby kożuch i wysokie, zimowe buty. Ciało jej (bez żadnego widocznego defektu) nie nosiło śladów wyczerpania. Siedziała swobodnie z nogami elegancko skrzyżowanymi jedna na drugiej i zerknęła ku mnie badawczo. Przed drzwiami naprzeciwko nikt inny nie czekał.

Miałem wątpliwości, czy brak długiej kolejki przed gabinetem dobrze świadczy o lekarzu, ale gdy usiadłem obok tej kobiety, ona pierwsza zapytała z ożywieniem w głosie:

— Pan do logikoterapeuty Nguyena?

Popatrzyłem na drzwi z głębokim namysłem.

— Być może do niego.

— Nie ma pan pewności?

— Szukam rady kogoś, kto zna się na nerwicy. Czy ten znachor ma o niej bodaj mgliste pojęcie?

Stężała jak roztopiony wosk przelany do zimnej wody i zaraz zmieniła się w jeden kłębek nerwów.

— Czy się zna? — wykipiała ze złym błyskiem w oczach. — Ależ jest on psychoterapeutą o najwyższej klasie! I niech mu pan nie wymyśla od głupich znachorów, bo szarlatani... — wskazała łokciem rząd drzwi i naraz, zapewne pod wpływem mimicznej reakcji sąsiadów, ostygła do temperatury pokojowej. — Zauważyłam — podjęła po chwili egzaltowanym tonem — że pan bardzo chromy. Kulawych leczą magiczni

chirurdzy w tamtym końcu korytarza. Niech pan się pofatyguje do nich, bo Nguyen nic tu nie poradzi. Mój lekarz skupił się wyłącznie na problemach duszy.

— To się świetnie składa. Ja również chciałbym najpierw przywrócić równowagę swemu systemowi nerwowemu, co zapewne szybciej postawi mnie na obie nogi niż tamci magiczni chirurdzy. Dopóki nie odzyskam dobrego samopoczucia, mniejsza o moje kolano. Wspomniała pani uprzejmie, że profesor Nguyen jest wytrawnym logikoterapeutą. Niezawodnie dam dowód pożałowania godnej ignorancji, bo ani się domyślałam znaczenia tej zagadkowej specjalności. Przed zasobem wiedzy profesora Nguyena — uprzedzając doświadczenie — pochylałam się z głębokim szacunkiem. Lecz czyżby metoda jego terapii była logiczniejsza od innych?

— Trafił pan w sedno i zarazem chybił! Co się tyczy psychologicznej wiedzy Nguyena, pochwalonej zdawkowo a priori, to istotnie nie brak panu pewnego wyczucia. Ale gdy idzie o ów piekący tytuł naukowy wymierzony mu dwukrotnie w policzek bez podstawy do takiej zniewagi, to ostrzegam równie stanowczo, jak i przy „znachorze”, żeby pan mojemu nauczycielowi nie ubliżał także od żadnych „profesorów”. Po prostu pan Nguyen nie życzy sobie, aby go tak nazywano.

— Dobrze, że w porę zostałam uprzedzony. A swoją drogą to dziwne. Od wielu miesięcy bardzo źle, z każdym tygodniem coraz gorzej znoszę towarzystwo obcych, a ostatnio również i znajomych ludzi. Dopóki mogłam, unikałam ich bardziej lub mniej konsekwentnie. Nie w tym rzecz, abym miał coś przeciwko innym w ogóle; zauważyłam tylko jakieś niepokojące symptomy: albo oni nieustannie irytują mnie swym absurdalnym stosunkiem do elementarnych spraw i szarpią mi nerwy kpinami, wystawiając na pośmiewisko, albo ja z kolei denerwuję ich wbrew swej intencji, to znaczy bez świadomego powodu. Dla poparcia tej tezy mógłbym przytoczyć wiele przykładów. Jest tu małżeństwo darzące mnie pełnym zaufaniem i szacunkiem. Ludzie ci nie szczędzą słów uznania dla mojej wytrwałości w walce, lecz słowa te — wypowiedane przez nich w najlepszej wierze — brzmią zawsze w mych uszach jak gorzka ironia, miałyby bowiem obiektywną wartość, gdyby padały z innych ust. Niekiedy przenika mnie dotkliwe uczucie, że podobnie jak oni poruszam się w świecie po omacku: nie jestem w stanie przewidzieć z

góry reakcji mieszkańców Arki. Jak powiedziałem, sprawiam im przykrość wbrew swej intencji. Nie leżało to przecież w moim interesie, by panu Nguyenowi ubliżyć już na progu tej wizyty, gdzie waży się, być może, mój niepewny los. Ale nigdy nie odgadłbym, iż jest on tak wrażliwy na punkcie tytułów! Przez całe życie zatapia się człowiek w marzeniach o zdobyciu jakiegoś zaszczytu i nie śni mu się nawet — teoretyczna choćby — możliwość istnienia tak skromnych ludzi, jak pani lekarz i nauczyciel w jednej osobie. Mógłby być wzorem do naśladowania...

Poruszyła się nerwowo, jak gdyby zamierzała wstać i zmienić miejsce, byleby usiąść gdzieś dalej od takiego impertynenta.

— Jakże fałszywie tłumaczy pan motywy zmuszające mego lekarza do odrzucania profesorskiego tytułu! Co upoważniło pana do tak pokrętnej i perfidnej ich interpretacji? Skromność! — Roześmiała się z politowaniem, gotowa już do kolejnego ataku. — A któż tu mówi o skromności? Nie znajdzie pan nigdzie bardziej niż on pewnego siebie i — co za tym z reguły idzie — zarozumialszego człowieka. Otóż pan Nguyen pyszni się brakiem formalnego dyplomu, choć z jego opinii o sobie nic takiego nachalnie nie wynika! To przecież ta pewność siebie i wypływająca z niej siła pozwalają mu odrzucić wszelkie protezy, którymi inni podpierają stale swe chwiejne mniemanie o własnej wartości. Nie kieruje nim żadna mierna skromność, wskazana we wzorach dla każdej fachowości — jak pan to próbuje mu imputować — lecz głębokie i uzasadnione rezultatem pracy poczucie dumy z faktu, że wszystko, co wie i rozumie, zawdzięcza autentycznemu talentowi oraz samodzielnym studiom, kontynuowanym wciąż w gabinecie.

— Uniosła się pani niepotrzebnie, gdyż tak czy inaczej jego przykład budzi moje szczere uznanie. Im dłużej dyskutujemy, tym większa rośnie we mnie pewność, że czekam pod właściwymi drzwiami. Wśród skrajnych nastawień wokół pytania, co jest przejawem rozkwitu ambicji, a co symptomem jej zwyrodnienia, zdarzają się jednak i pośrednie przypadki. Znam tutaj pewnego, bardzo już łysego czeladnika cieśli, którego tytuł ten (narzucony mu przez złośliwe otoczenie) ani ziębi, ani grzeje, po prostu spływa zeń jak woda, a on nic sobie nie robi z tego, między nami mówiąc, całkiem głupiego, ale — przyznajmy to w końcu bez hysterii — dość niewinnego przezwiska.

Replika pacjentki Nguyena nie dotarła już do mojej świadomości,

ponieważ tuż za rogiem bocznego korytarza rozległ się płacz jakiejś kobiety, a w tych warunkach trudno mi było skupić się nad szczególnymi argumentami elokwentnej entuzjastki logikoterapeuty i równocześnie myśleć o ogólnej sytuacji na Arce.

9.

Podczas pobytu na dolnym pokładzie (podobnie zresztą jak i dawniej w swej kajucie), czy to pogrążony w majakach przy wannie, zerkając czasem z lękiem przez drzwi uchylone na korytarz, czy też w pełnej niespodzianek drodze do gabinetów, słyszałem nieraz wstrząsające jęki dryfującego na falach statku oraz inne, nie mniej podejrzane odgłosy, wydawane przez ludzi i świadczące o niepokoju niektórych jego pasażerów. Gdzieniegdzie zdarzały się dziwne incydenty i powstające na zagadkowym gruncie drobne zatargi bądź ostre konflikty, które w normalnych warunkach zwracałyby uwagę otoczenia, skłaniając je do jakiejś interwencji, a tutaj mijały zwykle bez wyraźnego echa.

Na tle kilku innych tego typu scen, rozgrywających się w kolejkach przed, zamkniętymi drzwiami, dramat kobiety płaczącej nie opodal nas nie wywarłby na mnie silniejszego wrażenia, gdybym jej nie rozpoznał, kiedy wyszła spoza rogu korytarza. W pierwszej chwili uprzytomniłem sobie zaledwie fakt, że już raz z nią rozmawiałem, ale nie pamiętałem, o czym i w jakich okolicznościach. Na mój widok podeszła szybko do ławki i pochyliwszy głowę nad moim ramieniem, szeptała coś gorączkowo, coraz ciszej — w najgłębszej tajemnicy. Zakłopotany nedorzecznnością opowiadanej historii nie miałem odwagi przerywać jej pytaniami, ona zaś — mimo świeżych łez — śmiało patrzyła mi w oczy.

Mówiła o słodkiej niewiedzy cechującej każdego przybysza. Podobno zapytałem, czy za taki czyn, jakiego dopuściła się Alicja, karze się aresztem. Otóż kara ta nie podlega dyskusji; idzie tylko o to, jak ją sobie wyobrażam, skoro zamiast użyć właściwego terminu, zamykam ten drażliwy temat niewinnym słowem przeniesionym z życia na wolności. Trzeba cały wyrok odsiadywać w celi, by mieć prawo karcer nazywać aresztem! Z relatywnego punktu widzenia może mi przyznać słuszność: jest on tym dla tutejszego skazańca, czym dla człowieka spoza murów byłby nasz zakład karny. Gdy chodzi o swobodę ruchów, pobyt w celi, a zwłaszcza spacer na dziedzińcu — to istna sielanka w porównaniu z okrutnym karcerem. Bo niechbym spróbował wytrzymać w nim choć

kilka godzin: z jednej strony strop, sięgający poniżej wysokości ramion, z drugiej — beton pod warstwą lodowatej wody. Nie sposób tam prosto stać ani usiąść, ani się położyć. I w tym ciemnym lochu jej siostra, Alicja, dusi się już od kilkudziesięciu godzin! A strażnik zamknął ją tam jedynie za to, że wyglądała przez okno na osy latające przy kracie ich wspólnej celi.

Po ostatnim zdaniu przypomniałem sobie resztę: była to więc ta spotkana na górnym pokładzie psychopatka, która w szczątkach szafy porzuconej wśród innych gratów odkryła gniazdo os. Brała mnie teraz za kogoś protegowanego przez strażników. Zauważyła, że po więzieniu poruszam się dość swobodnie, co tłumaczyła dobrymi stosunkami z komendantem. Liczyła na moje poparcie u niego. Kiedy zażądałem, aby mi wskazała, gdzie przebywa jej siostra, po długim namyśle — i nie bez wahania! — zaprowadziła mnie do swej kajuty i otworzyła drzwi łazienki.

Wszystko stało się jasne, jeśli nie liczyć jednego, drobnego wprawdzie, ale dla ustalenia sprawców tej hecy bardzo istotnego szczegółu: kto po raz drugi zatkał korkiem i napełnił wannę? Poprzednio nie było w niej wody, chociaż dziewczyna stała w mokrych butach, co wtedy zauważyłem. Czy zrobiła to sama Alicja, masochistycznie torturująca siebie urojeniami o winie i karze, całkiem już teraz sina z wycieńczenia, czy raczej jej siostra — okrutna, lecz zrozpaczoną swym sadyzmem hipnotyzerka, a może... nieobecni w tej chwili Kalmowie? Ostatnie przypuszczenie zakrawało na nonsens.

Wyprowadziłem starszą siostrę z kajuty i wróciłem do łazienki. Dziewczyna wyszła z wanny na ostry rozkaz, aby opuściła karcer, następnie poszła posłusznie za mną do głównego korytarza i dopiero na ławce przed gabinetem Nguyena straciła świadomość, zasypiając natychmiast na moim ramieniu.

Ta ponura, schizofreniczna szopka pomimo szczęśliwego zakończenia (choć i temu optymizmowi brakowało podstaw) bardzo mnie znów wyczerpała: miałem jakiegoś nerwowego kaca, nieproporcjonalnie wielkiego w stosunku do wagi całej sprawy. Przynaglany do decyzji ostrym bólem głowy, myślałem o porzuceniu tej kłopotliwej wariatki i powrocie na górę do swojej kajuty. Ale czy tam czułbym się lepiej i mniej byłbym bezsilny w oczekiwaniu na ostateczny

upadek Arki?

Tymczasem w korytarzu zrobiło się luźniej: niektórzy bioenergoterapeuci już dawno powrócili ze wspólnej kolacji i przyjęli większość chorych. Nie wszyscy jednak byli dość gorliwi w pełnieniu swej medycznej misji, bo drzwi naprzeciwko naszej ławki — tak jak i kilka innych, pod którymi również formowały się kolejki — nadal pozostawały zamknięte.

— Czy jest ktoś teraz u naszego lekarza? — zwróciłem, się ostrożnie do jego wiernej pacjentki.

— Nie — odpowiedziała zatopiona w myślach nad notatnikiem wspartym na kolanie.

— Więc jeszcze nie wrócił z kolacji?

Przez kilka minut pisała coś zamasyście i dopiero po postawieniu ostatniej kropki oderwała wzrok od grubego zeszytu.

— Pan Nguyen jada u siebie. W ogóle nigdy nie opuszcza swego gabinetu.

Zagłębiła się w lekturze drugiego brulionu, wertowanego w przerwach między bieżącymi notatkami.

— To bardzo ciekawe — zauważyłem chłodno. — Ale czy wie, że już od dłuższego czasu czekamy tu na możliwość złożenia mu wizyty? Zapewne pukąca pani do niego.

— Nie, bo mój lekarz nie reaguje na takie hałasy.

— Jak mam to rozumieć? Więc czy nie przyjmuje? Kiedy siadałem obok pani, kierowałem się jedynie powierzchownym spostrzeżeniem, że przed tymi drzwiami kolejka jest najkrótsza, a z rozmowy wynikało...

— Domyślam się z łatwością, iż u progu pierwszej wizyty stawia pan swemu, potencjalnemu uzdrowicielowi gniewny zarzut haniebnej opieszałości! A czy wcześniej nie radziłam zwrócić się o pomoc do magicznych terapeutów? Ale niech pan popatrzy najpierw na tamte dwie długie kolejki: jak wytłumaczyć tak dziwny na pozór fakt, że poszkodowani przez los ludzie gromadzą się w nich już dzisiaj, bez żadnej pewności, czy jutro w ogóle zostaną przyjęci, skoro — jak pan to trafnie powiedział: „powierzchnie rzecz biorąc” — mogliby wejść zaraz do sąsiednich gabinetów, gdzie też czynione są próby usuwania wszelkich dolegliwości? Nie na każdego widać działa magiczna moc dotyku rąk określonego bioenergoterapeuty! Więc kiedy pojawia się

brak wiary w zdolności jednego magnetyzera, chory przenosi swe nadzieje na drugiego, który jest w danym okresie najbardziej oblegany. O wartości jego metody lub o sile biopola ma prawo sądzić z niewymiernej liczby uzdowień, lecz do zdobycia jednodniowej popularności wystarczy czasem niesprawdzona pogłoska o cudzie lub nawet przypadkowe, zatrzymanie się grupy przechodniów pod jakimiś drzwiami, co z reguły prowadzi do szybkiego powstania trwałej kolejki. Takie i tym podobne czynniki wpływają następnie na podjęcie kolejnej decyzji, u jakiego lekarza znów spróbować, nikomu jednak nie dają gwarancji, że po wizycie u niego doczeka się wkrótce spodziewanej poprawy. Wielu praktyków terapii niekonwencjonalnej to ludzie o opinii dziwaków, zaś tamci dwaj znachorzy należą do najbardziej chimerycznych postaci. Z punktu widzenia medycyny oficjalnej można im zarzucić absolutnie wszystko: od braku elementarnego wykształcenia, wyrażającego się nonszalancją w traktowaniu naukowych zdobyczy, aż po nieodpowiedzialny stosunek do rygorów systematycznej pracy. Aby usprawiedliwić swe lenistwo, lekarze ci uciekają się do różnych wybiegów; bywa, że w oczekiwaniu na powrót natchnienia (po wyczerpaniu magnetycznego fluidu — jak to się u nas barwnie nazywa) czy z powodu okresowej anemii bioenergetycznej albo po prostu wskutek kapryśnego widzimisię godzinami kręcą się po okolicy bezproduktywnie, a potem tygodniami nie otwierają swoich gabinetów. Zapyta pan ze słusznym oburzeniem, jak można dopuścić do takiego skandalu i dlaczego ordynator nie zmusza ich do sumiennosci w pełnieniu medycznej służby, a ja z kolei pana zapytam, dlaczego do niej nie zmusza na przykład nas: wszak oni też nie są profesjonalistami. Po wyczerpaniu środków zawodowej medycyny chorzy nie mają dużego wyboru i stąd ta ich wielka determinacja. Ale niech pan nie wnioskuje o wartości lekarza z długości kolejki do jego gabinetu!

— Co się tyczy mechanizmu powstawania popularności znachorów, to prawdopodobnie ma pani rację: nie znam tutejszego środowiska dostatecznie dobrze, by polemizować na ten mglisty temat. Lecz przecież pan Nguyen — siedząc tam stale za zamkniętymi drzwiami...

— ...nie może nic wiedzieć o naszym istnieniu? — dokończyła celnie.
— Sza! Oby nie dosłyszał tej przykrej uwagi, bo musiałby się zaraz poważnie obrazić! On miałby o nas nie wiedzieć? Jakże głęboko los

przeżarł pana jadem neurotycznej niewiary we wszystko! Oczywiście, w odróżnieniu od szarlatanów lekarz mój (stwierdzam to na jego korzyść) nie przypisuje sobie zdolności jasnowidza ani telepaty. Mimo to — choć przez drzwi nie może nikogo zobaczyć — stanie w nich natychmiast, kiedy tylko znajdzie czas, gdyż o każdej porze gotów jest udzielić nam pomocy. Do gabinetu nigdy nie pukam, aby mu nie przeszkadzać w oryginalnej i pilnej pracy nad rozwiązaniem tajemnicy zaburzeń psychicznych. Przypadkowa wizyta mogłaby zakłócić tok jego analiz w jakimś przełomowym momencie. O swej „teorii bezpieczeństwa” wiele mi już mówił, . akcentując stale, jak bardzo go ona pochłania.

— Jeżeli dobrze zrozumiałem, pan Nguyen poświęca się głównie pracy naukowej, a chorych przyjmuje w przerwach między teoretycznymi rozważaniami.

— A czy praktyka byłaby skuteczna bez jakiejkolwiek myśli przewodniej? Niech pan rozejrzy się wokół siebie i spróbuje zrozumieć cały ten galimatias.

— Bardzo mnie cieszy, że nie uszedł on również i pani uwagi. Może przy pomocy tego terapeuty zdołam wreszcie nawiązać kontakt psychiczny przynajmniej z niektórymi pasażerami Arki i zdobyć autorytet wśród członków jej załogi.

— Autorytet — powtórzyła w zamyśleniu. — Więc powodem pańskiej neurozy jest brak powszechnego uznania. Ciekawa jestem, skąd u pana tak silne pragnienie władzy.

— Wnioskuje pani z pozorów. Mój stan nie jest efektem daremnego dążenia do dominacji nad innymi, jak to pani błędnie usiłuje wytłumaczyć, lecz rezultatem zabójczego zderzenia radości i rozpacz. Pierwsze uczucie wypływa z nadziei obudzonej w chwili znalezienia statku, drugie: — z niemożności konstruktywnego porozumienia z ludźmi rujnującymi go na moich oczach. Jak się wydaje, do swego domu powróciłem po latach jedynie w tym celu, aby być świadkiem jego zagłady poprzedzonej aktami wymyślnej profanacji. Chce mi pani wmówić kompleks panowania nad morskim transportem wariatów, a ja — w chwili katastrofy Tomahawka — marzyłem jedynie o tym, by nie spotkać nikogo na opuszczonym niegdyś statku i spędzić na nim resztę życia w całkowitej samotności. Bo musi pani wiedzieć, że Arka — to moja własność prywatna. Zaakcentowałem te słowa, gdyż w życiu takiego jak

ja podróżnika (widocznie do prawdy tej dochodzi się dopiero w pewnym wieku) nie ma nic bardziej osobistego niż jego przeszłość, trwale związana z określonymi miejscami i przedmiotami, które w sentymentalnym nastroju chciałby zabezpieczyć przed unicestwieniem, a które inni — jak bezkształtną masę w ciągłym procesie przemiany materii — ścinają dzielnie z powierzchni ziemi i ugniatają swymi spychaczami. O zdobycie władzy nad marynarzami nie zabiegam z przywódczego powołania, tylko z okresowej konieczności. Poza rejsem do najbliższego portu, gdzie powinni dotrzeć we własnym interesie i gdzie zaraz ich pożegnają, nie ma między nami żadnej wspólnej sprawy. Ale żeby tam dopłynąć, musimy dojść do porozumienia. Tymczasem nie wiem, jakim językiem mówić do tych obłąkanych ludzi. Wystarczyłoby mi zdobyć kilkunastu sprzymierzeńców. Cała nasza nadzieja w psychiatrycznej pomocy pana Nguyena, który umiałby im może wytłumaczyć, że ocean nie toleruje fikcji i że lekceważenie obiektywnych praw egzystencji ludzkiej doprowadzi ich wkrótce do zguby. A na czym polega istota jego metody?

Zajrzała do trzymanego na kolanach notatnika.

— Aby docenić wartość odpowiedzi na to pytanie, musiałby pan najpierw zapoznać się z ogólnymi poglądami mego lekarza na zjawisko odchylenia od psychicznej normy. Oto jego

TEORIA BEZPIECZEŃSTWA

Wszystkie zaburzenia psychiczne dzieli on na dwie grupy: neurozy (czyli choroby nerwowe) i psychozy (choroby psychiczne), przy czym nie zajmuje się przypadkami o podłożu organicznym, oligofrenii zaś wcale nie zalicza do zaburzeń. Na marginesie tego podziału warto zauważyć, że gdyby niedorozwój umysłowy traktować jako chorobę, wszystkie istoty opóźnione w rozwoju w stosunku do człowieka, a więc zwierzęta, należałoby nazwać chorymi. Oczywiście, neuroza lub psychoza może towarzyszyć też oligofrenii, ale nie musi.

Neuroza (inaczej nerwica) — to zaburzenie czynności ośrodkowego układu nerwowego oraz niektórych narządów bez ich organicznego uszkodzenia. Jest ona skutkiem zbyt długotrwałego lub silnego nacisku wywieranego na układ nerwowy człowieka najpierw przez jego świadomość, co potem prowadzi do stresu podtrzymywanego nieustannie w podświadomości. Celem tego psychicznego nacisku, który

również podczas snu wywołuje cielesne napięcie, jest mobilizacja wszystkich sił organizmu do rozwiązania jakiegoś problemu: rzeczywistego lub urojonego, efektem negatywnym natomiast — okresowe wyczerpanie sił i rozstrojenie fizjologicznych mechanizmów. Do stopniowego zaniku zaburzeń neurotycznych i do pełnego odprężenia we śnie dochodzi w przypadku, kiedy na jawie aktywność chorego jest znaczna i *subiektywnie* skuteczna, więc kiedy zmiana drogi do celu daje mu poczucie przyrostu bezpieczeństwa.

Psychoza (inaczej psychopatia) istnieje w trzech głównych odmianach. Przypadki lekkie, bo pośrednie między dwiema skrajnymi jej formami, obejmuje psychoza maniakalno-depresyjna, która charakteryzuje się okresowymi zmianami nastroju w cyklu od dużej ekscytacji do dużej stagnacji. To wahadło samopoczucia oscyluje powoli między nadmiarem i niedomiarem pobudzenia emocjonalnego, nie zatrzymując się jednak dłużej przy jego odchyleniach ekstremalnych. W przedziale maksymalnego pobudzenia stabilizuje się psychoza maniakalna, czyli paranoja, występująca w postaci konstruktywnej lub destruktywnej (w obu przypadkach jest to długotrwała i wielka ekscytacja, żenująca lub niebezpieczna dla otoczenia), zaś w przedziale pobudzenia minimalnego — psychoza depresyjna, to znaczy schizofrenia (długotrwała i wielka stagnacja, szczególnie przykra dla chorego).

W odróżnieniu od koncepcji psychoanalitycznej (akcentującej motywy seksualne) teoria bezpieczeństwa wychodzi z założenia, że wszystkie postawy w zachowaniu człowieka, każdy przejaw jego psychicznej czy fizycznej aktywności można wytłumaczyć w sposób prosty i zarazem naturalny, przypisując mu działanie pod wpływem jednego tylko motywu: jest nim pragnienie przyrostu bezpieczeństwa. Wcale nie pragnienie stałego braku zagrożenia, w co się niemal powszechnie wierzy, lecz właśnie przyrostu bezpieczeństwa, ma bowiem ono wiele poziomów. Pragnienie to nadaje kierunek reakcjom pod naciskiem głodu i strachu oraz instynktu seksualnego, pobudza lub tłumi dążenia do własnej mocy, stoi więc na czele tych wtórnych popędów, które błędnie rozpoznano jako niezależne i pierwotne motory życia. Niedosyt bezpieczeństwa towarzyszy nam zawsze — również w okresach, gdy nie odczuwamy bezpośredniego zagrożenia.

O samopoczuciu człowieka i jego stosunku do otoczenia — obok

wielkości pobudzenia emocjonalnego — decyduje zatem poziom bezpieczeństwa, który jest funkcją skuteczności działania ocenianej subiektywnie. Diagram wszystkich nastrojów, jakim ulegają ludzie, dogodnie jest przedstawić w układzie współrzędnych prostokątnych, gdzie na osi poziomej stopniować możemy wielkość pobudzenia emocjonalnego, począwszy od skrajnej stagnacji aż do równie skrajnego ożywienia, zaś na osi pionowej — poczucie bezpieczeństwa, rozpoczynając od stanów zagrożenia. Szczebki poczucia stagnacji oraz zagrożenia (w odróżnieniu od szczebki ożywienia i bezpieczeństwa) mają znaki ujemne. Jeżeli intensywność każdego z czterech omawianych uczuć wyrazimy na skalach stopniami od umiarkowanego przez znaczny i duży do wielkiego (po cztery licząc zawsze od środka układu), to na każdej z obu osi otrzymamy osiem przedziałów, co na płaszczyźnie daje sześćdziesiąt cztery kwadraty szachownicy całego pola nastrojów. Pierwsza ćwiartka tej szachownicy (obszar w jej prawym górnym rogu) — to pole euforii, a trzy pozostałe (licząc zgodnie z obiegiem wskazówek zegara) — to pola frustracji, apatii i wreszcie — spokoju.

W kwadratach leżących na obu przekątnych szachownicy zlokalizowane są stany psychiczne, przez jakie — przynajmniej w krótkotrwałym doświadczeniu — przechodzi prawie każdy człowiek. Przekątna pola spokoju przekreśla tylko kwadrat środkowy d5 szachownicy, poczucie stagnacji nie może bowiem stworzyć nastroju dużego bezpieczeństwa. Dlatego w polu spokoju wszystkie kwadraty są puste z wyjątkiem tego pierwszego, który wyraża poczucie umiarkowanej stagnacji i umiarkowanego bezpieczeństwa. Niedobór pobudzenia emocjonalnego stwarza w nim nastrój flegmatyczny. Mówimy tu o pogodnej ociążałości i chłódzie w kontaktach towarzyskich, o słabych i krótkotrwałych reakcjach uczuciowych.

Gdy wzrost pobudzenia prowadzi nas do aktywności subiektywnie skutecznej, przechodzimy kolejno przez cztery kwadraty leżące na przekątnej pola euforii (od e5 do h8). W pierwszym odczuwamy nastrój sangwiniczny (lekkie ożywienie i poczucie umiarkowanego bezpieczeństwa), w następnym, gdzie poczucie ożywienia i bezpieczeństwa jest już znaczne, ogarnia nas nastrój twórczy w postaci pasji kontrolowanej przez intelekt, dalej, w poczuciu dużego ożywienia i zarazem bezpieczeństwa, pojawia się nastrój maniakałny, prowadzący

do bezkrytycznego transu (na przykład do grafomanii, dla której — wobec braku refleksyjnego hamulca — nie liczy się jakość, lecz ilość), a w czwartym kwadracie, przy poczuciu skrajnego ożywienia i wielkiego bezpieczeństwa — nastrój ekstatyczny, nietrwały stan fanatycznego uniesienia lub nawet przyjemne halucynacje. W polu euforii jesteśmy optymistami. Podczas kontaktów towarzyskich mamy dobre samopoczucie. Nasze reakcje uczuciowe są silne i krótkotrwałe.

Kiedy efektem przyrostu pobudzenia jest aktywność subiektywnie nieskuteczna, człowiek ma poczucie coraz większego zagrożenia. Jego stan psychiczny klasyfikujemy w czterech kwadratach na przekątnej pola frustracji (od e4 do h1), począwszy od lekkiego rozdrażnienia poprzez nastrój choleryczny (neuroza w fazie czynnej) i histeryczny (wściekłość lub panika) aż do reakcji kataleptycznej (okresowe drętwienie różnych części ciała). Jest to pole dalszej upartej aktywności mimo doznanego rozczarowania. Reakcje uczuciowe są tu silne i długotrwałe. Dominuje w nich napięcie, strach i poczucie wrogości..

Zarówno w ćwiartce pierwszej, jak i drugiej całego pola nastrojów, człowieka cechuje aktywność na ogół proporcjonalna do wielkości pobudzenia. Jeżeli jednak — wskutek zbyt dużej porażki — doznaje on hamowania emocjonalnego, to wykazuje pasywność i okresowy brak inicjatywy. Miejsca dla czterech stopni takiego stanu psychicznego znajdujemy w kwadratach na przekątnej pola apatii (od d4 do a1), poczynając od lekkiego przygnębienia poprzez melancholiczny zastój (neuroza w fazie biernej) i depresyjny splin aż do bezsilnej udręki nastroju samobójczego. Taki człowiek jest ponury i nietowarzystki. Przenika go pesymizm, lęk wypływający z nieokreślonego źródła oraz poczucie winy. Jego reakcje uczuciowe są słabe i długotrwałe.

Po wytyczeniu kierunków, które prowadzą do trzech krótkotrwałych stanów skrajnych, jakimi są ekstaza, katalepsja i bezsilna udręka, warto zapytać o miejsca dla chronicznych zaburzeń o cechach psychozy. Schizofrenik ma poczucie wielkiej stagnacji, zasklepia się więc w kwadracie a3 szachownicy, gdzie mimo znacznego zagrożenia — w obawie przed jeszcze gorszym samopoczuciem — pozostaje bierny niekiedy aż do osłupienia. Obsesja mitotwórcza jako paranoja konstruktywna zajmuje kwadrat h6, zaś obsesja prześladowcza jako paranoja destruktywna — kwadrat h3. Między tymi dwiema psychozami

maniakalnymi możliwe jest również okresowe wahanie. Wśród paranoików łatwo też rozpoznać dwa charakterystyczne, bo skrajniejsze typy: wesołego kabotyna żyjącego stale w nastroju dużego bezpieczeństwa (h7) oraz ponurego furiata, który ciągle awanturuje się w poczuciu dużego zagrożenia (h2). Obu cechuje gonitwa myśli i chorobliwa ekscytacja.

10.

Patrzyłem w zatłoczoną czeluść korytarza, skąd ktoś przywoływał mnie po nazwisku. Dopiero teraz, gdy niemal wszystkie twarze zwróciły się w naszym kierunku, przyszło mi nagle do głowy, że siedząc tu w przejściu pod gabinetem, wyczerpany chorobą i pozbawiony sojuszników, więc praktycznie bezbronny, wystawiam się na łatwy łup siepaczom tego groźnego szaleńca — doktora Ostarholda. Samozwańczy lekarz okrętowy nie porzucił przecież myśli o ściganiu wyimaginowanych symulantów, a kto wie, ilu zwolenników zdołał już zgromadzić wokół swej obłądnej idei kosmicznego lotu. Gdybym został zauważony, posłuszni mu sanitariusze w każdej chwili gotowi byłiby zawlec mnie przed oblicze komisji powołanej do zwalczania jego przeciwników nazwanych dezertarami, a tam — według zapowiedzi tego psychopaty — po groteskowej rozprawie czekał mnie „zwyyczajny stryczek”.

— Konduktor woła kogoś do telefonu — powiedziała studentka Nguyena. (Nie znała jeszcze mojego nazwiska).

Rzeczywiście, ponad głowami ukazała się twarz człowieka w kolejarskiej czapce, który wyszedł zaraz spoza grupy pacjentów i ruchem czerwonej chorągiewki wskazał mi drzwi dwudziestego trzeciego gabinetu. Ruszyłem ku nim w przekonaniu, że dzwoni Ostarhold albo ta jego fałszywa pielęgniarka — Anga, ale kiedy podniosłem słuchawkę z zamiarem milczenia, gdybym usłyszał medyka, rozległ się w niej głos jakiegoś starszego mężczyzny:

— Tenevis, mówi marszałek Sharp. Dostałeś mój list? Wysłałem ci go przez pośłańca.

— List?

W tej chwili Alicja, która we śnie uczepiła się mego ramienia i też stanęła przy telefonie, przysunęła się do mnie tak blisko, jakby zamierzała wziąć udział w rozmowie z Indianinem. Ponieważ dorównywała mi wzrostem, usta jej sięgały do mikrofonu, a ucho do słuchawki. Rzecz jasna, aby coś zrozumieć, musiała oprzeć skroń o moje czoło. I tak wchłaniałem zarys jej profilu promieniujący ciepłem z

niepokojącej odległości, aż obróciła twarz, muskając mi nosem policzek.

Zaraz doznałem tego pobudzenia, o jakim mówiła pacjentka logikoterapeuty. Klasyfikowało mnie ono na jednym z dolnych pół szachownicy nastrojów: po kilku sekundach przyjemnego ożywienia jak bicz zazdrosnego pogromcy pojawił się w nim paraliżujący lęk i mdłe poczucie winy.

— Widziałeś na własne oczy, do czego są zdolni — zadudnił głos z gorącej szczeliny między naszymi twarzami. — Gotowi zastraszyć mi wszystkich żołnierzy, by znaleźć wśród nich wtajemniczonego pełnomocnika i zmusić go do ujawnienia strategicznych planów. Niech no tylko dopadnę tego padalca, który im zdradził mój stopień wojskowy! Podejrzewasz kogoś?

— Nie.

— Mimo paskudnej dekonspiracji nie pisałem nikomu ani jednego słowa. Skończyło się na upokorzeniu, co sobie powetujemy, kiedy już nie trzeba będzie kryć naszego sztabu generalnego w zasłonie dymnej pensjonatu dla obłąkanych. A tamtego łysego agenta sam wbiję na pal w dniu ogłoszenia powszechnej mobilizacji!

„Marszałek do tablicy!” — przypomniałem sobie. Więc to był głos Palca na Cynglu, jak go nazwała Klementyna ze swego inwalidzkiego wózka. Wówczas milczenie wodza pobudzało do szczerego śmiechu. Kiedy zbuntowany przeciwko szkolnemu pytaniu: „Co było tematem dzisiejszej lekcji?” zaciskał zęby przed czeladnikiem cieśli uzbrojonym w profesorski kijek, brał udział w beztroskiej zabawie i na tle szokującego występu Kamizelki przypominał potulnego niedźwiedzia, ale teraz ział autentycznym gniewem, zmieniony w rozjuszonego byka.

— A posłańca rozpoznałbyś? — spytał ostrym tonem, jakby przewidując z góry, że go nie pamiętam — zamierzał zdegradować mnie za tak karygodny brak orientacji.

— Doręczyciela twojej kartki i klucza?

— O nim właśnie mówię! Skazałem go na śmierć, bo spiskował od dłuższego czasu.

Alicja zmarszczyła czoło.

— Będę musiał poskromić tego groźnego wariata — powiedziałem do niej, myśląc o marszałku.

— I ja tak uważam — zgodził się Palec na Cynglu. — Ktoś musi to

zrobić, bo trudno tu o bardziej jaskrawy przypadek karkołomnego pomieszania zmysłów. Szczęnięca ambicja rozpałała w nim żądę górowania nad weteranami. Niczym nie umie się zadowolić. Ponieważ ma duże zdolności techniczne, po okresie próbnym w roli adiutanta powierzyłem mu funkcję promotora operatorów głównego ekranu, ale on sięga po najwyższe dystynkcje i kto wie, czy nie zmierza do zamachu stanu. Demoralizuje mi ludzi w przededniu spodziewanej agresji. Gdyby tak nie było, nie przewracałby w głowach moim generałom swoimi kretyńskimi planami obrony kraju. Krótko mówiąc, chce nas doprowadzić do zguby. Leży teraz obok ciebie — w dwudziestym trzecim bunkrze, na wspólnej pryczy dyżurnych. Rozpoznasz go łatwo wśród sześciu śpiących tam oficerów. Ma stopień pułkownika i wygląda na dwudziestolatka. Nie zdoła opuścić twierdzy, dopóki tajfun zasypuje wejścia nowymi zwałami piasku. Ale nie zwlekaj do rana z wykonaniem tego wyroku, bo uprzedzony przez kogoś mógłby przekopać się między betonowymi blokami i ukryć na pustyni, gdzie patrol białych zmusiłby go prędko do ujawnienia naszej tajemnicy. Sztylet znajdziesz w szufladzie pod aparatem. Uważaj, aby nie zbudzić pozostałych operatorów. Udowodnij wreszcie, po czyjej stoisz stronie! Czy jesteś gotów?

Alicja położyła dłoń na mikrofonie.

— Patryk, uciekajmy do portu! Komendant jest kapryśny i łatwo ulega sugestiom strażników. Może zmienić zdanie po kilku minutach. Nikt tu nie jest pewny darowanej wolności, dopóki na zawsze nie zniknie mu z oczu. Ile to już razy zawracał z drogi ułaskawionych przed chwilą straceńców! W porcie znam miejsce, gdzie moglibyśmy się ukryć. Chcesz zrzucić z siebie ten koszmarny ciężar?

Stałem na skrzyżowaniu absurdalnych pytań, między młotem a kowadłem wszelkich możliwych nonsensów.

Otaczały nas masywne, betonowe ściany; z niskiego stropu miejscami sypał się suchy piasek. Widziałem go przecież nie po raz pierwszy, a korytarze też nosiły brudne ślady cementowej zaprawy. Ciekawe, kto i w jakim celu zamaskował tak cały dolny pokład?

Oczy dziewczyny pałały uniesieniem. Wyglądało z nich bezgranicznie szczere, doprowadzone do ekstazy przekonanie, że do portu wystarczy przenieść się myślami i że bez pomocy Arki natychmiast mogłaby mnie tam zaprowadzić. Trzeba było tylko pokonać w sobie ten

dziki schizofreniczny upór!

I pokonałem go: powiedziałem „tak!”, odrzuciwszy wszelkie jałowe medytacje, po raz pierwszy w życiu idąc za impulsem wiary w moc najprostszych słów, lecz zapominając o ręce Alicji, która aby mnie w swej naiwnej dobroci pogładzić po włosach — sekundę wcześniej odkryła mikrofon.

— Więc polegam na tobie! — huknął mi w ucho bardzo już zniecierpliwiony marszałek Sharp.

Odłożył słuchawkę, zanim sprostowałem to nieporozumienie. Alicja miała zatroskaną minę. Pchnąłem ją w stronę drzwi, aż zatoczyła się pod ścianę pijana swymi portowymi złudzeniami.

— Rozumiesz, na co mnie skazałaś? — podniosłem głos, zły na cały świat. — Jeżeli Indianin mówi, że polega na kimś, to jest tak, jakby zawarł z nim przymierze na życie i śmierć. I biada każdemu, kto by zdradził jego zaufanie! Ponieważ nie mam zamiaru przebijać nożem tego stukniętego pułkownika, do czego się jednak zobowiązałem, tamten stary bałwan ma teraz prawo rozplatać mi głupi łeb. Wynoś się stąd i nie stawaj więcej w zasięgu mojego wzroku, bo przez ciebie stoczyłem się na krawędź szaleństwa!

Krzywy korytarz (nazwany przez Sharpa „bunkrem”) składał się z czterech połączonych ze sobą narożników kwadratu i przebiegał wokół jakiegoś ukrytego poza murem okrągłego pomieszczenia. W planie tej zagadkowej zabudowy okrąg wpisany w kwadrat stykał się niemal z jego bokami i dlatego przez wąskie przesmyki trudno tu było precyzyjnie się do kolejnych, obszerniejszych segmentów. Stolik z telefonem stał w pierwszym rogu bunkra, przy drzwiach, za którymi raz jeszcze spotkałem wzrokiem zgaszone spojrzenie Alicji, w drugim — wisiała na ścianie pokryta bezpiecznikami i przełącznikami duża tablica rozdzielcza. Zatrzymałem się przy niej zaintrygowany nagłą zmianą zielonego oświetlenia na czerwone, ale ponieważ nic się nie stało i nadal wszędzie panowała cisza, wszedłem do trzeciego narożnika, gdzie w poprzek jednej pryczy spało sześciu stłoczonych Indian.

W najmłodszym z nich rozpoznałem marszałkowskiego adiutanta: leżał z otwartymi oczami i na mój widok — jak wtedy w kajucie, gdy przyniósł mi kartkę od Sharpa — położył zaraz palec na ustach. Trawiła go widać obsesja tajemnicy, bo jakby kryjąc coś przed kolegami, oddalił

się od nich i spytał mnie szeptem, czy przyszedłem zobaczyć ich satelitarny ekran.

— Ekran satelitarny? — powtórzyłem bez większej emocji, gotów do przyjęcia każdej niespodzianki.

— Uruchomiłem go na zlecenie sztabu generalnego — wyjaśnił z odcieniem dumy w głosie. — Pozwala określić rozmieszczenie stanowisk ogniowych oraz ruchy wojsk obcych i naszych na terytorium całej wyspy. Kamera satelity śledzi je z góry, a obraz przekazuje na centralny ekran.

Otworzył drzwi do okrągłej, niczym nie umeblowanej salki, pośrodku której na gołej podłodze leżała druga grupa Indian. Było ich trzech, lecz w pierwszej chwili, kiedy weszliśmy do środka, nie przyjrzałem się im uważniej, pochłonięty poszukiwaniem rewelacyjnego ekranu. Obróciłem się wokół siebie kilkakrotnie, nie dostrzegając go jednak nigdzie — ani na suficie, ani na panoramicznej ścianie. Zanim uświadomiłem sobie; o co tutaj chodzi, nastąpiła zmiana zespołu dyżurnych: nowa trójka obserwatorów, odpoczywająca dotąd, zajęła miejsce poprzedniej. Chłopak nazywany przez Sharpa „promotorem operatorów ekranu” dyrygował nimi z wielkim przejęciem. Klęknąwszy na podłodze — nie odrywając od niej oczu — wydobył z kieszeni duże szkło powiększające i wcisnął mi je do ręki bez żadnych wyjaśnień.

Dopiero teraz zauważyłem, że przedmiotem nieustannej obserwacji Indian jest właśnie brudna i podrapana butami podłoga. Wszyscy powoli czołgali się po niej, zapatrzeni w rysy i inne defekty, to bez przyrządów optycznych, to znów przez lupy przykładane do oczu, jakby w poszukiwaniu zaginionego łebka od szpilki. Gdy idzie o liczbę drobnych detali, istotnie było tu na co popatrzeć, zwłaszcza z punktu widzenia malarstwa abstrakcyjnego, ponieważ obraz podłogi — odnawianej co roku lakierem o innej barwie i zdzieranej systematycznie nogami przechodniów, a ostatnio tak bardzo zaniedbanej, że wszystkie stare warstwy farby wyglądały miejscami spod nowych — dawał w efekcie złudzenie bogatej w szczegóły, różnokolorowej mapy jakiegoś terenu.

— Tutaj leży nasza twierdza — oświadczył adiutant, stuknąwszy palcem przy ciemnej plamie wielkości paznokcia.

Wskazując granice całej pustyni, przeszedł na czworakach kilkanaście metrów. Zmuszony gestem do zbadania manewru jednej z nieprzyjacielskich dywizji, przyłożyłem swe szkło powiększające do

rozniecionej butem grudki piasku i zobaczyłem kilka ziarenek w postaci imponujących głazów. W połowie opisu militarnej sytuacji zmieniłem nagle temat rozmowy, gdyż w końcu chłopak zaczął mnie nieznośnie nudzić.

Odwiedziłem ich przecież jedynie po to, aby mu powiedzieć, że stary wódz odkrył jego spisek i żeby miał się przed nim na baczności. Po streszczeniu mojej rozmowy z Sharpem zapytałem ostrożnie, czy słyszał coś o groźnym położeniu Arki. Oczywiście, nie miał o nim zielonego pojęcia. Chociaż rozkazy wydawane wariatom prowadziły tylko do nerwowego rozstroju, poleciłem mu na pożegnanie, by razem ze swymi wesołymi operatorami zgłosił się jutro rano do Rayta, który da im na pokładzie pożyteczniejsze zajęcie. W jaki sposób ci wszyscy ludzie hipnotyzowali się wzajemnie aż do tego stopnia, że stracili świadomość rzeczywistości? Nie przeszkadzałbym zabawom w manewry, gdyby rywalizacja wokół urojonych stanowisk nie pochłaniała tak wiele energii: cała załoga trwoniła siły na paranoiczne przedsięwzięcia, podczas gdy statek nie mógł się doczekać elementarnej remontu..

Przyzwyczajony już do dyżurów młody fanatyk ekranu nie miał zamiaru zabrać się do konstruktywnej roboty. Kiedy po ostrej wymianie zdań nastroszył się na podłodze jak kogut przygnieciony kolaniem, zapytałem go o samopoczucie. Jak każdy człowiek doskonale zdrowy, nie od razu zrozumiał, o co mi właściwie chodzi. Musiałem więc wypytywać dalej: czy odczuwa bolesne napięcie w całym ciele, niepokoje, zatrucie i ogólne znużenie — aż w końcu pojął i stwierdził kategorycznie, że nic takiego mu nie dolega.

I Palec na Cynglu — mimo podeszłego wieku — też pewnie był z siebie dość zadowolony. Zatem każdy coś miał: oni doskonale samopoczucie, a ja — słusność we wszystkim. Taka ocena sytuacji doprowadziła mnie do nowego ataku mdłości. W bezokiennej kajucie panował nieznośny zaduch. Musiałem wyjść szybko na górny pokład, spojrzeć na gwiazdy i otwarte morze, by odetchnąć tam wreszcie świeżym powietrzem.

11.

Cały następny dzień przespałem w swej kajucie, gdzie też zjadłem resztki obiadu pozostawionego przed kilkoma dniami, a późnym wieczorem powróciłem do korytarza — na dolny pokład. W obawie przed pacholkami doktora wolałem nie pokazywać się w mesie. Godziny spędzone w samotności nie przywróciły mi równowagi ducha. Przygnębiony rozbijającym wyznaniem adiutanta, zadowolonego z siebie mimo klinicznego obłądu, raz jeszcze w czasie czterdziestu lat życia usiłowałem odpowiedzieć sobie na podstawowe pytanie: co jest w nim ważniejsze — szczęście czy słusność?

Bo jaką wartość miała racjonalna interpretacja świata, wszelkie zbudowane na gruntownej wiedzy i poparte logicznymi argumentami niepodważalne racje, razem z cennym poczuciem realnej rzeczywistości, skoro prowadziły mnie do nieustannej udręki, podczas gdy pogodę ducha mogło przynieść życie pogrążone we śnie paranoicznego szaleństwa? Ale gdybym doszedł do ostatecznego wniosku, że od prawdy ważniejsze jest szczęście, czy zdołałbym je osiągnąć w jednej z tych nieświadomych swego losu grup — bez pełnego poczucia słusności? Przecież nie mogłem tego dokonać! Nie byłem bowiem w stanie wywołać w sobie złudzeń, na których opierał się ich fanatyczny byt.

W korytarzu nadal panował tłok. Pacjenci wierni kapryśnym znachorom stali w dwu długich kolejkach od poprzedniego wieczoru, ale nie brakowało też i nowych twarzy, chociaż trwały klimat z kolejowego wagonu tworzyły przede wszystkim znane mi już indywidua o powierzchowności włóczęgów, okupujące swymi bagażami miejsca pod ścianą naprzeciwko szeregu drzwi.

Podchodząc do gabinetu logikoterapeuty Nguyena, zobaczyłem Kalmów dyskutujących z jego studentką. Na ławce przy nich leżała Alicja.

— Zamiast wylegiwać się tu całymi dniami, poszłabyś lepiej do swego portu, gdzie jest bezpieczniej i zapewne wygodniej — zauważyłem złośliwie.

— O porcie nie rozmawiajmy, bo jeszcze raz mógłbyś „stoczyć się na krawędź szaleństwa” — zacytowała mnie z przekornym błyskiem w

oczach. — Jestem wypoczęta, ale gdy wszedłeś, musiałam położyć się gdziekolwiek.

— Czy już tak źle wyglądam, że na mój widok zrobiło ci się słabo?

— Nie wyglądasz najgorzej, ale mimo to nie chciałam powitać cię w pozycji pionowej. Przecież ostrzegłeś mnie wczoraj, żebym nie stawała więcej w zasięgu twego wzroku!

Przyjrzałem się jej z niedowierzaniem. Skąd taka zmiana w usposobieniu? Czy to była ta sama, najpierw śmiertelnie ponura, następnie narwana dziewczyna, która w łazience robiła wrażenie zaawansowanej schizofreniczki, u podczas telefonicznej rozmowy — nieobliczalnej panikarki, gotowej wyskoczyć za burtę i biec do portu przez ocean?

— Panie kapitanie! — odezwał się Kalm. szukając mnie swym białym kijem między tobołkami jakiegoś podejrzanego przybysza. — Gdyby pan wiedział, ile zawdzięczamy pańskiej obecności na statku! Brakowało nam właśnie takiego wilka morskiego. Teraz dopiero czujemy...

— ...jak szybko płyniemy! — dokończyła jego niewidoma partnerka. I zaraz zawtórowała mu śpiewnie: — Mężne serce, dzielna dłoń pokonały morza toń!

Usiadłem obok Alicji. O ile jej duchowa przemiana mieściła się jeszcze w granicach psychologicznego prawdopodobieństwa, o tyle nie uzasadnione niczym innym jawne kpiny Kalmów można było złożyć tylko na karb ich fizycznego kalectwa.

— Pani Lisetta ma duże zdolności rymotwórcze — wyjaśniła mi studentka Nguyen. — Wracajmy jednak do przerwane go wykładu. Pan Robert zapytał o genezę zaburzeń nerwowych. Otóż — zdaniem mego terapeuty — należy jej szukać w naturze mechanizmów biologicznych, więc w odruchach bezwarunkowych, ukształtowanych w czasie milionów lat ewolucji.

Otworzyła jeden ze swych notatników i przeczytała:

„Kiedy jakiś ssak (bo chodzi tu o wszystkie stworzenia należące do tej gromady) czuje się zagrożony, to znaczy, gdy nagle staje przed problemem, którego rozwiązanie — jak wykazały doświadczenia zebrane przez setki tysięcy pokoleń — sprowadzało się najczęściej do skutecznego ataku lub ucieczki, w jego ciele zachodzi wiele zmian

fizjologicznych mających na celu przygotowanie całego organizmu do gwałtownego wysiłku. I tak, w wyniku aktywności wegetatywnego systemu nerwowego następuje przyśpieszenie pracy w układzie krążenia: krew (zaopatrzona w duże dawki cukru i adrenaliny) przemieszcza się ze skóry i trzewi do mózgu i mięśni, wzrasta jej ciśnienie, a czas krzepnięcia ulega skróceniu, wzmagają się też wytwarzanie czerwonych krwinek. Równocześnie ustają procesy trawienne oraz ruchy żołądka i jelit przesuwające pokarm.

Wszystkie te zmiany (obok innych) doskonale przygotowywały organizm do walki o życie w warunkach pierwotnych, natomiast w naszych czasach, kiedy większości zagrożeń nic można już usunąć metodami bezpośredniego ataku lub ucieczki, prowadzą na ogół do zaburzeń wegetatywnych. Stare mechanizmy działają nadal, zawsze jednakowo i automatycznie, nie licząc się z bogactwem współczesnych problemów”.

Uniosła twarz sponad zeszytu i kontynuowała tonem rutynowanego wykładowcy, zadowolona z liczby przygodnych słuchaczy:

— Jak już powiedziałam, celem psychicznego nacisku, wywieranego przez podświadomość człowieka na jego ciało, jest mobilizacja wszystkich sił organizmu do rozwiązania jakiegokolwiek subiektywnie ważnego problemu, zaś ujemnym skutkiem — okresowe rozstrojenie fizjologicznych funkcji w przypadku, gdy stres jest zbyt silny albo chroniczny. Nacisk psychiczny działa tak na zagrożonego, jak farmakologiczny doping na sportowca, który chce osiągnąć nadzwyczajny wynik, neuroza bowiem to choroba ludzi ambitnych. Umiarkowany opór stawiany gwoździowi przez deskę sprzyja planom uzbrojonego w młotek konstruktora, prowadzi go jednak do frustracji, kiedy jest nadmierny.

— Należy zatem przyłożyć swe ostrze do tego miejsca w konstrukcji świata, gdzie nie ma zbyt twardego sęka? — domyśliła się konformistycznie i tym razem prozaicznie pani Lisetta.

— Tak, bo niemal każdy opór można po prostu ominąć, jak kolejne drzewo w lesie, wcale nie rezygnując z obranego kierunku, w którym liczy się tylko nasze poczucie bezpieczeństwa.

— A macie je tutaj? — spytałem impulsywnie, zataczając wzrokiem dookoła siebie, zirytowany tonem ich radosnej gawędy. — Spodziewam

się, że Nguyen nie podziela pani poglądów w tej istotnej kwestii, bo inaczej nie czekałbym dłużej na jego łaskawe przyjęcie.

— Niech się pan uspokoi i czeka cierpliwie. Mój lekarz nie podziela żadnych obcych mu poglądów. Gdyby je przyjmował od swoich pacjentów, musiałby się ubrać w kaftan bezpieczeństwa! Ale wróćmy raz jeszcze do sytuacji neurotyka na szachownicy pola nastrojów. Aby ją zrozumieć, trzeba najpierw wiedzieć, że w odróżnieniu od typowego sangwinika, skłonnego do okazywania swych uczuć, neurotyk, żyjący zwykle w nastroju cholerycznym, niemal zawsze je ukrywa. Dlatego jego codzienne usposobienie — przy potocznej klasyfikacji temperamentów — łatwo mylimy z usposobieniem flegmatyka (reagującego słabo), z którym jednak nie ma nic wspólnego. Właśnie z powodu większej wrażliwości emocjonalnej unika on sytuacji wywołujących w nim bolesne przesterowanie układu nerwowego.

Każdy człowiek dąży do wzrostu swego poczucia bezpieczeństwa, by doszło ono do stanu przyjemnej euforii. Stanu tego nikt nie może osiągnąć bez pobudzenia emocjonalnego, które jest warunkiem koniecznym przyrostu bezpieczeństwa (lecz go nie gwarantuje!) i które prędzej czy później (po każdym okresie zastoju) automatycznie pojawia się w układzie nerwowym człowieka. Pobudzenie emocjonalne przychodzi w formie znanego wszystkim ożywienia skłaniającego do aktywności psychicznej i fizycznej. Rezultaty działalności poddawane są ocenie własnej oraz otoczenia w kategoriach sukcesu lub porażki. Każdemu subiektywnemu, sukcesowi towarzyszy przyrost poczucia bezpieczeństwa i ożywienia, podtrzymujący aktywność w obranym kierunku i zmierzający po przekątnej pola euforii aż do stanu ekstatycznego uniesienia, porażka natomiast — w zależności od charakteru człowieka — wywołać może jeden z dwóch efektów: reakcję osłabienia bodźców w układzie nerwowym albo ich silnego wzmocnienia.

Hamowanie emocjonalne następuje tu najczęściej i zapobiega komplikacjom. W tym przypadku pojawia się jednak niedosyt bezpieczeństwa, a przy trwałym nastawieniu tego typu — niemiłe poczucie ustabilizowanej rezygnacji.

W drugim przypadku mamy do czynienia ze wzmocnieniem nacisku emocjonalnego, który po kolejnej próbie przełamania oporu

doprowadzić może do okresowego wyczerpania sił, a później przynieść poczucie zagrożenia w postaci bezprzedmiotowego lęku. Typowymi dla chronicznego neurotyka są przebiegające w nim i z reguły ukrywane przed otoczeniem ostre reakcje choleryczne. Tłumi je w sobie, bo jak uczy doświadczenie, wybuchy nie poprawiają jego sytuacji. Podświadomy upór nie daje mu ani chwili wytchnienia w walce z zagrożeniem ze strony świata i zmusza go do nieustannej mobilizacji sił, zarówno na jawie, jak i we śnie. Jako człowiek ambitny nigdy w pełni nie jest z siebie zadowolony, a ponieważ stawia sobie wysokie wymagania, surowo ocenia rezultaty swej działalności. Z zasady też odnosi się nieufnie do każdej próby nawiązania z nim przyjaznego kontaktu i do pomocy ze strony kogoś życzliwego, kto ma dobre intencje.

— Znakomicie to pani ujęła! — wykrzyknął Kalm.

— A co tak bardzo przypadło panu do gustu? — zainteresowała się studentka Nguyena i zarazem moja karykaturzystka.

— Ostatnie zdanie.

— Czyżby tylko ta jedna myśl?

— Tak.

— I nic więcej? — wypytywała dalej z infantylnym niedosytem pochwał.

— Ostatnie zdanie, bo pan kapitan rzeczywiście jest bardzo nieufny. Nadal nie dowierza faktowi, że od czasu, kiedy przybył na statek i dokonał tu tak wielu korzystnych zmian, wzrosło nasze poczucie bezpieczeństwa. Jego neurotyczny brak zaufania sprawia nam dotkliwą przykrość. Prawda, Lisetto?

— Niestety — potwierdziła.

Spróbowałem przebić się wzrokiem przez ciemne szkła jej okularów i dostrzegłem poza nimi mroczny zarys otwartych oczu. Kiedy wstawałem z ławki, ożywił je kolejny szydarczy błysk.

— Chcecie mnie dobić, czy rozśmieszyć dalszym ciągiem tych beczelnych kpin?

— Oto klasyczna, modelowa wprost sytuacja! — ucieszyła się studentka Nguyena. — Typowa reakcja neurotyka na przyjazny odruch ludzi gotowych podać mu rękę: zawsze znajdzie jakiś powód, by ich od siebie odepchnąć. Nie można go nawet pochwalić, bo w każdym słowie uznania wietrzy zaraz postępek. A przecież jest samotny i cierpi z tego

powodu! Kolejnym sprzymierzeńcom zarzuca brak orientacji w świecie, dostrzegając w nich symptomy głupoty lub ślepoty. Szuka poparcia doskonałego, a przy tym jest niecierpliwy jak dziecko. Czy dla swej sprawy musi pan wszystkich *natychmiast* pozyskać?

— Właśnie natychmiast!

— Radziłabym, uważać, bo z takim impetem wskakuje się zwykle w kaftan bezpieczeństwa.

— I pani też straszy mnie tym ciasnym strojem? Nie jest to tylko moja osobista sprawa!

— Tym lepiej! Więc niech pan dla niej zdobywa zwolenników i nie odstrasza ich podejrzeniami o bezczelne kpiny.

Podczas gdy wahałem się jeszcze, czy reagować dalej na te życzliwe kazania i niewykonalne instrukcje, obok nas przeszła grupa ludzi ubranych w ratunkowe kamizelki. Wtedy spostrzegłem, jak beznadziejnie jałowa stała się ta abstrakcyjna dyskusja, i postawiłem diagnozę pacjentce Nguyena: nic by jej nie brakowało do pełnego zdrowia, gdyby nie zawisała w doskonałej próżni teoretycznego uogólnienia, gdzie pławiła się w swej duchowej mocy z dala od imadła konkretnej rzeczywistości — poza zasięgiem szczęk aktualnej sytuacji. Do optymizmu na Arce potrzebna była widać jakaś szczególna struktura psychiczna.

W oczekiwaniu na nowy przypływ apatii usiadłem znowu i przez dłuższy czas czerpałem spokój z twarzy Alicji, którą nasze akademickie spory już dawno ukołysały do snu. Z dalszego ciągu dobrych rad studentki zapamiętałem tylko jedno zdanie:

— Jeśli zaś idzie o samopoczucie fizyczne, to jestem przekonana, że spoza tych drzwi — wskazała mi wejście do gabinetu Nguyena — wróci pan uzdrowiony, tak jak ja wróciłam zdrowa, by wam to powiedzieć.

Horoskop ten wywarł na obecnych bardzo duże wrażenie. Zwłaszcza zainteresował przybysza okupującego przejście tobołkami złożonymi naprzeciwko ławki. Poruszony sugestywnym brzmieniem przepowiedni, zarezerwował sobie miejsce w kolejce do logikoterapeuty. Zaraz też zapytał o zdanie studentki na temat kompleksów Edypa i Elektry w świetle głoszonej przez nią teorii bezpieczeństwa.

— Każdy z tych kompleksów jest przejawem dążenia do przyrostu bezpieczeństwa, czego nie dostrzegli twórcy psychoanalizy, widząc w

nich tylko motywy seksualne. Od pierwszej do ostatniej chwili życia człowiek szuka takiego partnera, który by mu zapewnił poczucie maksymalnego bezpieczeństwa. Najpierw znajduje go w jednym ze swych rodziców, ponieważ w doborze naturalnym liczy się zawsze różnica płci i poziomów samodzielności. Dwuosobowy układ bezpieczeństwa powstaje wówczas, gdy jedna ze stron dysponuje potencjałem zaufania i gotowa jest obdarzyć nim kogoś w swym odczuciu silniejszego, a druga — potencjałem samodzielności, która na ogół przychodzi z wiekiem, lecz nigdy nie, rośnie w próżni odosobnienia. Bo trzeba tu wyraźnie podkreślić, że dla tej drugiej osoby głównym źródłem siły dającej poczucie bezpieczeństwa jest podtrzymywane wciąż zaufanie ze strony słabszego partnera. Aby jednak zaufanie to mogło przekształcić się w uznanie, strona silniejsza musi zapewnić słabszej wyższy poziom bezpieczeństwa. Po trzydziestym lub po czterdziestym roku życia, kiedy człowiek staje się w pełni samodzielny, psychika jego domaga się zwykle zmiany partnera silnego na słabego. W pewnym stopniu potrzebę tę zaspokajają własne dziecko, jeśli zaś chodzi o znaczenie omawianych tu kompleksów w stosunkach między ludźmi nie spokrewnionymi, to wprawdzie obyczaj dopuszcza związek mężczyzny z dziewczyną, ale nie toleruje współżycia kobiety z chłopcem, co mści się później zwłaszcza na jego dalszym życiu. Więzy łącząca każdego członka jakiejś grupy z jej przywódcą również polega na stałej wymianie „impulsów bezpieczeństwa”, a do neurozy doprowadzić może przewlekły brak odpowiedniego poparcia.

12.

Między chorymi, którzy czekali w kolejkach do bioenergoterapeutów, byli też ludzie o widocznym kalectwie, a wśród i nich sparaliżowana Klementyna, wierna uczennica czeladnika cieśli. Codziennie kręciła się po korytarzu na swym inwalidzkim wózku. Tym razem zjechała na dolny pokład znacznie później niż poprzedniego wieczoru i mijając gabinet Nguyena, poprosiła mnie, abym jej pomógł precyzyjnie się przez tłum pacjentów pod drzwi kajuty cieśli okrętowego, gdzie wykładał jego pomocnik.

— Często bije pan telefonistki? — zapytała po drodze. — Jestem jedną z nich i wolałabym wiedzieć, w jakim pan dzisiaj jest humorze.

Pchałem oparcie wózka. Odwróciła się w fotelu i z uśmiechem spojrzała za siebie, sprawdzając, czy swym pytaniem wywarła dość silne wrażenie.

— Nie rozumiem, o czym pani mówi.

— Nie warto już tego ukrywać! Jako dyżurna musiałam złożyć raport doktorowi Ostarholdowi. Międzyplanetarna telefonistka Tomahawka zadzwoniła do mnie zaraz po pańskim napadzie.

— Więc zdążyła się pani poskarżyć? Ale nie uderzyłem jej, tylko odepchnąłem od radiostacji, bo nie chciała mnie połączyć z kapitanem Arki.

Wyjaśnienie to pozostało bez odpowiedzi, lecz nie warto go było rozwijać. Widocznie Klementyna żyła na granicy dwóch złudzeń: wcielając się w postać niedojrzałej uczennicy uniwersytetu reprezentowanego przez profesora, pozwoliła też narzucić sobie elementy wizji kosmicznego lotu, fikcji zmontowanej z gwiazd i kadłuba Arki przez lekarza okrętowego.

Gdy przetoczyłem jej wózek do rejonu wpływów czeladnika cieśli, nie pozwoliła mi przerwać wykładu swego pierwszego mistrza. Choć obecni w pobliżu pacjenci ledwie go tolerowali, profesor jak zwykle nie martwił się niedostatkiem uważnych słuchaczy. Zatrzymując przechodniów, przekonywał ich o kryzysie medycyny uczelnianej. Nie negował jej zdobyczy w zakresie chirurgii i na polu walki z

drobnoustrojami, irytował się tylko z powodu karygodnego lekceważenia przez dyplomowanych lekarzy mechanizmów psychosomatycznych.

— Za co im płacimy, skoro po wizycie czujemy się jeszcze gorzej? — spytał mnie na powitanie. — Zapatrzeni we wskazówki aparatów diagnostycznych, nie chcą przyjąć do wiadomości, że duchowy wpływ ujemny — dezorganizuje, a dodatni — reguluje wszystkie procesy zachodzące w ciele człowieka, nie doceniają potęgi tkwiącej w autosugestii i kontr sugestii. A przecież każdy jest hipnotyzerem i może być zahipnotyzowany, chociaż nie każdy da się zahipnotyzować każdemu!

— Mnie pan nie zahipnotyzuje — zastrzegłem się stanowczo, zły na niego za szopkę z tablicami szkolnymi, którą zbałamucił mi Clifsona.

— Tym gorzej dla pana!

Kiedy to powiedział, w drzwiach za nim ukazał się głuchoniemy cieśla. Zobaczyłem go po raz pierwszy od czasu, gdy uszczelniał w pokładzie dymiące szpary. Czeladnik przekazał mu jakąś wiadomość, po czym obaj znikli w kajucie. Myśląc o ich powiązaniu (porozumiewali się na migi), wróciłem do swej kolejki.

Pod gabinetem Nguyena czekał na mnie Clifson. Jednoręki inwalida przyszedł z dwoma Indianami, których zaraz poznałem, bo to oni huścili się na linie w dniu mego przybycia na statek. Przedstawił mi ich jako młodych marynarzy, zwerbowanych dziś do służby pod moimi rozkazami. Oświadczył, że po namyśle przyjmuje funkcję drugiego oficera i razem z Raytem gotów jest zaprowadzić tu nowy porządek.

Zaskoczony tak nagłą zmianą sytuacji, popatrzyłem krytycznie na czerwonoskórych chłopców: obaj byli muskularni, ale też zbyt niespokojni. Tak jak wtedy na pokładzie nadmiar energii zmuszał ich do wymiany szturczańców.

— Na skinienie pójdą w ogień — zapewnił z powagą mój nowy oficer.

Pod jego surowym spojrzeniem z widocznym trudem trzymali się w ryzach, tłumiąc w sobie chęć do dalszej zabawy w berka.

— Proszę o bilety do kontroli! — powiedział ktoś za moimi plecami.

Znałem ten głos. Mężczyzna w kolejarskiej czapce zasalutował i wyciągnął ku nam rękę uzbrojoną w przepisowy kasownik. Gdy Clifson

bez słowa podał mu jakiś kartonik, wariat zatrzymał na mnie badawczy wzrok.

— A pański bilet?

— Nie mam — odparłem w zamyśleniu.

Zastanawiałem się raz jeszcze, co wynika z faktu, że Rayt tak długo nie dał znaku życia.

— Więc wsiadł pan do pociągu bez ważnego biletu? — naciskał dalej, konduktor z urojenia.

— Co?

Odwróciłem się od niego, ale zaraz podszedł bliżej i trącił mnie swoim dziurkaczem.

— Za taki przejazd należy się opłata specjalna. — Sięgnął do raportówki. — Płaci pan?

— Odczep się od nas, pocziwy człowieku! — syknąłem u kresu wytrzymałości. — Omawiamy tu niezwykle pilne sprawy i ani mi w głowie śmiać się teraz z twoich kolejarskich dowcipów.

— Niech pan pokaże byle jaki świstek — poradziła mi na ucho studentka Nguyena. Wręczyła mu kartkę wyrwaną z notesu i dodała głośno: — Ja mam jego bilet!

Ale tym razem wariat nie dał się już nabrać.

— Ten pan oświadczył, że jedzie bez biletu, a ponieważ nie ma też zamiaru zapłacić kary... — odszedł i z odległości kilkunastu kroków dokończył groźnie: — Mamy sposoby na gapowiczów!

Po chwili zniknął w końcu korytarza. Studentka przybrała minę dezaprobaty.

— I co pan zrobił?

— Jak to co?

— Głupstwo! Zawoła tu zaraz innych konduktorów i zmusi pana do zapłacenia kary w realnej gotówce.

— Nikt mnie do niczego nie zmusi!

— Nie zapłaci pan?

— Wykluczone!

— Nie moja sprawa, ale w ten sposób straci pan jeszcze więcej. Upartego gapowicza zamyka się zwykle w przedziale konduktorskim, by go zwolnić dopiero po przybyciu policjantów, czyli teoretycznie na najbliższej stacji. Musi się jednak kiedyś okazać, że do tej stacji jest

nieskończenie daleko.

— I tak dotarliśmy do granic absurdu! Uśmiechnęła się tryumfalnie.

— Sam pan to wreszcie zrozumiał! A czy nie prościej było wyjąć jakikolwiek papierek, stary kwit czy choćby skrawek gazety (bo on nie wnika w takie szczegóły!) i pokazać mu równie lekko, jak inni?

— Aby go wprowadzić w błąd!

— Nie w błąd, lecz w nastrój bezpieczeństwa! Bo jeśli ten człowiek wyobraża sobie, że jest konduktorem, choć dla nas nim nie jest, to widocznie wykonywanie tej funkcji zmniejsza jego poczucie zagrożenia. Pewnie rola jakiegoś kontrolera jest dlań ważnym stymulatorem życia. W odgrywaniu jej znajduje antidotum na samotność. Więc dlaczego bez żadnej korzyści dla siebie sprawił mu pan przykrość? Przecież chodziło tu jedynie o zwyczajny gest życzliwości. Czyż wszelkie stosunki towarzyskie nie polegają właśnie na permanentnej wymianie takich gestów? Zaślepieni manią rozpraszania każdego złudzenia, znaleźlibyśmy się szybko w całkowitej izolacji: nikt by też nie dbał o podtrzymywanie naszych nadziei. Dlaczego w drobiazgach nic wybiera pan najprostszej drogi? Należało po prostu ominąć ten przypadkowy opór w celu koncentracji sił na istotnym kierunku. Nie pojmuję, jaki ma pan w tym interes, aby tego skromnego człowieka — który dotąd nie krzyżował pańskich planów i nawet nie miał zamiaru stawać nikomu na drodze, a który teraz w obronie swej wizji będzie pana prześladował (bo on musi się upierać!) — gwałtem wyprowadzać z błędu. Ale jest jeszcze czas na refleksję i możliwość rezygnacji z fałszywego stanowiska. Czy tak bardzo zależy panu na tych kilkudziesięciu dolarach?

— Mówi pani o geście przyjaznej tolerancji, lecz co by się z nami stało, gdybym ten uprzejmy gest powtórzył kilkadziesiąt razy, utwierdzając wszystkich w ich ślepych obłądziej? Wcale nie chodzi mi o pieniaczy upór, podtrzymywany dla czystej zasady sprzeciwu, tylko o pierwszy wyłom w murze otaczającego mnie szaleństwa!

Zaprzeciła ruchem głowy. Nic już do niej nie dotarło, jakby zamknęła się w jakimś odizolowanym świecie. W tej dopiero chwili — z ostrym wstrząsem rozpoznania rzeczywistej sytuacji — uświadomiłem sobie wyraźnie, gdzie jestem i o czym tu przez cały czas mówimy. Ta kobieta próbowała doprowadzić mnie do furii!

— Idziemy! — powiedziałem do Clifsona.

Zerwałem się z ławki i ruszyłem w boczny korytarz na oślep przed siebie — byleby dalej od miejsca, gdzie metodycznie usiłowano mnie przekonać, że poczucie bezpieczeństwa znajdę w kształtowaniu swej towarzyskiej ogłady, a nie w walce o byt Arki.

Po kilkunastu krokach chciałem zawrócić, aby poszukać byłego kapitana statku i rozmówić się z nim w podstawowych sprawach, ale zaraz — na myśl o bezcelowości naszego spotkania — poczułem silne znużenie. Nie wiedziałem, czy jest to rezultat zbyt raptownej mobilizacji sił w momencie, gdy po tak długim okresie beznadziejności zyskałem nagle zdecydowanych sprzymierzeńców, czy raczej destrukcyjny efekt kolejnego kazania studentki. Trudno tu było cokolwiek zrozumieć, zwłaszcza że od kilku miesięcy czułem się jednakowo źle przy każdym pobudzeniu, zarówno po otrzymaniu złej, jak i bardzo dobrej wiadomości. I tym razem musiałem się położyć, a ponieważ przechodziliśmy obok kajuty, w której mieszkała Alicja, wszedłem tam bez namysłu i ledwie rzuciwszy okiem na zajęte przez jej siostrę pościelenie, wyciągnąłem się na drugiej koi.

Clifson o nic nie zapytał. Tuż za nim weszli do kajuty jego młodzi marynarze, potem Alicja i Kalmowie. Razem z Raytem miałem więc sześciu zwolenników ratowania Arki, a praktycznie czterech, bo w przypadku Kalmów nie mogłem liczyć na czynne poparcie, Alicja zaś i jej siostra nadal żyły w innym świecie. Wszyscy rozlokowali się na fotelach wokół stołu, tylko Indianie zatrzymali się przy drzwiach, jakby w oczekiwaniu na moje rozkazy.

Wyglądali nieco poważniej niż podczas niedawnej prezentacji w korytarzu. Jeszcze raz spytałem ich o imiona, ale znów je zapomniałem, jak numery telefonów, które też ostatnio nie wchodziły mi do głowy.

— Czy wiecie, kto jest pierwszym oficerem Arki?

— Tony Rayt — odparli zgodnie.

— Więc poszukajcie go na statku i jeśli będzie trzeba, wyciągnijcie z łóżka. Niech się tutaj zamelduje.

Kiedy wyszli, przywołałem do siebie Clifsona. Musiałem się z nim naradzić przed podjęciem pierwszej decyzji.

Opowiedziałem mu historię Alicji i zauważyłem, że jej odchylenie psychiczne — obok wielu innych tego typu przypadków — mówi mi w zasadzie wszystko o mechanizmie każdego złudzenia. Nie byłem w

szpitalu psychiatrycznym i jako laik nie mam zamiaru analizować tamtejszych problemów. Wystarczy jednak codzienne spojrzenie na zainteresowania, poglądy i cele tak zwanych normalnych ludzi, by zawsze dostrzec w nich jakieś różnice sięgające niekiedy bardzo daleko. Na ogół zachowanie się człowieka, odbiegające nieco od środowiskowej normy, mieści się w granicach przyjętej tolerancji. I nie może być inaczej, brak doskonałej zgodności postaw jest bowiem nader banalnym zjawiskiem: nawet bliscy sobie ludzie nie żyją dokładnie tymi samymi sprawami, mają więc inne wizje świata. Ale co ich upoważnia do odrębnej jego interpretacji, skoro — przyjmijmy to bez dyskusji — jest on dany wszystkim w postaci obiektywnej? Najpierw prawo koncentracji uwagi na wybranym fragmencie rzeczywistości, a następnie zasada globalnego uogólnienia. Każdemu znany jest fakt, że jeśli pochłania go jakaś myśl, wszędzie znajduje jej potwierdzenie. Umysł tym bardziej traci kontakt z realnym światem, im silniej akcentuje w nim jakiś element, wypierając z obrazu otoczenia te składniki, które nie pozwalają uporządkować całości według obranej koncepcji.

I tak w pułapki fałszywej indukcji wpadają zarówno pochapni prostaczkowie, jak i najostrożniejsi geniusze: nikt nie potrafi oprzeć się pokusie jakiejś idealizacji. W przypadkach skrajnych dochodzi do stanów nazywanych chorobami psychicznymi, przy czym dążenie do wzmocnienia jednych i eliminacji innych aspektów rzeczywistości ma zawsze charakter obronny. Na przykład człowiek cierpiący z powodu swej apatii szuka dla niej usprawiedliwienia w otoczeniu (a nie w sobie, co jest naturalne, choć bardzo nie podoba się wszelkim moralistom), gdyż uznanie własnej winy prowadzi go do nerwicowego lęku, który (odkrycie to zawdzięczamy psychoanalizie) jest produktem wypartej wrogości. Pretensja do wszystkich wokoło lub żal skierowany pod konkretnym adresem nigdy nie działa tak destrukcyjnie, jak zbyt daleko posunięte przyznanie się do osobistej odpowiedzialności. Rzecz prosta, nie mówimy tu o aktach skruchy pozorowanej zwykle przed zewnętrznym sądem w celu zmniejszenia kary, tylko o powstaniu niebezpiecznego przekonania o swej niższości. Aby uwolnić się od ciężaru winy, pacjent pogrążony w głębokiej apatii korzysta z każdej sposobności ratunku przed nastrojem samobójczym i gotów jest dojść do przekonania, że zamknięto go w więzieniu, a urojenie to może w nim

powstać już na widok kraty lub innego symbolu ograniczenia wolności. Wtedy doznaje pewnej ulgi, ponieważ cierpienie płynące z poczucia krzywdy jest znacznie mniejsze niż tortury zadawane bezsilnym trawieniem wewnętrznej niemożności czynu.

Wskazałem Clifsonowi okno zabezpieczone przed włamywaczami i podsumowałem:

— W przypadku obu sióstr chodzi tu więc o zrzucenie odpowiedzialności za ich bierność w obliczu zagrożenia Arki. Mógłbym teraz postawić diagnozy innym pasażerom, ale zamiast tracić czas na subtelne analizy różnic między pozostałymi urojeniami, powiem ci wprost, co zamierzam zrobić.

Przypalił sobie papierosa, manipulując zręcznie zapałką i pudełkiem palcami jednej dłoni. Wróciwszy spod okna, gdzie podszedł, jakby chciał spojrzeć na gwiazdy lub sprawdzić moc wskazanej mu kraty, ponownie usiadł przy mnie na brzegu koi.

— Nie zapytał pan, dlaczego zrezygnowałem z pracy u profesora — zauważył.

— A czy musisz się z tego przed kimkolwiek tłumaczyć? Masz widać dobrze w głowie, skoro umiesz docenić zalety funkcji drugiego oficera i dostrzec jego przewagi nad woźnym.

— Owszem, w pewnym stopniu chodzi mi o awans. Lecz czułbym się oszukany, gdyby wkrótce wyszło na jaw, że panem kieruje tylko ambicja.

— Powiedz wyraźnie, czego oczekujesz.

— Już to powiedziałem: chciałbym dotrzeć do sedna naszych motywacji. Czy pan dąży wyłącznie do zdobycia władzy?

— I znów to nieufne pytanie, którym już raz studentka Nguyena próbowała wypaczyć sens moich wysiłków!

— Niech mi pan daruje: musiałem je w końcu postawić, gdyż życie na nieco wyższym szczeblu, ale znowu w pustce wypełnionej tym razem łańcuchem stanowisk, niewiele odbiega od egzystencji wśród logicznych konstrukcji, którymi usiłowałem podtrzymać swój byt, podczas profesorskich wykładów.

— Zdumiewające! Tak lekko podniosłeś ciężar naszej Arki do poziomu fantastycznych spekulacji tamtego wariata, jakbyś przestał polegać na świadectwie swych zmysłów i w ogóle zwątpił o jej istnieniu.

— Myli się pan. Ja nie przestałem wierzyć w realność Arki, jednak

obok pewności istnienia tego statku przenika mnie też świadomość wielkiego prawdopodobieństwa niemal wszystkich głoszonych tutaj teorii i razem z nimi psychiczna niemożność wyboru jakiegokolwiek drogi. Przy podejmowaniu prostej decyzji waham się tym dłużej, im wyżej wznosimy się nad drogowskazami prymitywnego racjonalizmu, który sens działania upatruje tylko w sprawnej przemianie materii.

— Zmartwiłeś mnie tym wyznaniem. Mimo swych walorów intelektualnych i trzeźwego spojrzenia na rzeczywistość, należysz więc do ludzi niezdecydowanych. A przecież kilka dni temu dałeś mi dowód nieprzeciętnej inteligencji.

— Niech pan jej zanadto nie chwali! To właśnie ona obok wspomnianej „trzeźwości spojrzenia” doprowadziła mnie do apatii, nazywanej też stanem impotencji twórczej. Sam pan zauważył, że w zasadzie wszyscy postrzegamy świat jednakowo, lecz każdy — w zależności od obranego punktu widzenia — mógłby wysuwać w nim na pierwszy plan inne elementy, aby interpretować go na swój własny sposób. Powiedziałem „mógłby”, rzeczywistość bowiem (wyrażam tu swoje zdanie) jest tylko tworzywem: otacza nas w postaci uległego materiału i w granicach praw przyjmuje taki kształt, jaki nadaje jej człowiek. W takim stosunku do niej tkwi też odpowiedź na pytanie, dlaczego nie wszyscy chcemy być kreatorami: paraliżuje nas znany egzystencjalistom lęk nieskończonej wolności wyboru. Szczycimy się umiejętnością dostrzegania w każdym stanowisku pewnej dozy słuszności i zdolność tę wyrabiamy w sobie dopóty, aż dochodzimy do pełnego obiektywizmu. Nasyceni nim, świadomi wielu możliwości działania chwytamy dłuto, lecz prędzej czy później — ogarnawszy raz jeszcze dany nam materiał i swe projekty bardzo krytycznym, trzeźwym spojrzeniem — odkładamy je zawsze z uczuciem niemocy, pozostawiając rzeczywistość w sferze nieokreślonej wartości potencjalnej. Choć nie możemy żyć w świecie pozbawionym formy, nie jesteśmy w stanie nadać mu żadnej postaci, każdy kształt bowiem wydaje się nam przejawem zbyt jednostronnego, subiektywnego zaślepienia.

Gdzieś daleko w głębi statku rozległ się stłumiony pogłos, jakby ktoś w mieszkalnym bloku zatrzaskał drzwi windy.

— Jeśli inaczej nie potrafisz rozwiązać tego problemu, spróbuj znaleźć między nami swe poczucie bezpieczeństwa. Przyjmujesz zatem

funkcję drugiego oficera, czy ją ostatecznie odrzucasz?

— To zależy od pańskiego stosunku do tolerancji. Chodzi mi o wszystkich pozostałych ludzi. Na przykład, jak zamierza pan postąpić w przypadku konduktora, gdyby nie zechciał zrezygnować z kontrolerskiej misji i nie dał się przekonać do służby w marynarce?

— Nikogo do niczego nie zamierzam zmuszać. Pomyśl rozsądnie: czy moglibyśmy mieć zaufanie do nowej załogi, gdybyśmy gwałtem wciągnęli do niej wszystkich upartych wariatów? Przecież nawet normalny człowiek, zmuszony do życia w obcym mu świecie, gotów postradać zmysły i z drugiej strony podpalić nam statek, a cóż dopiero taki rutynowany t szaleniec!

Alicja wyszła na korytarz i po chwili wróciła do kajuty.

— Masz zamiar spać na tej pryczy? — spytała, patrząc mi w oczy bardziej niż kiedykolwiek przytomnie.

— Nie. A chcesz się położyć?

W odpowiedzi spojrzała wymownie na Kalmów. Podczas naszej narady z Clifsonem niewidomi szeptali coś między sobą i uśmiechali się ironicznie. Wstałem z koi, aby zwolnić im miejsce, bo o tej porze trzeba już było pomyśleć o noclegu, tym bardziej że marynarze wysłani po Rayta nie wrócili jeszcze, a bez niego wolałem nie rozpoczynać żadnej akcji.

Na statku panowała cisza, tylko tuż obok szumiały dwa strumienie wody. To siostra Alicji, wychodząc z łazienki, pozostawiła odkręcone krany. Była naburmuszona, wyraźnie zła na nieproszonych gości. Przeszkadzaliśmy jej pewnie w hipnotyzowaniu Alicji. Zbliżyłem się do niej, aby zapytać, co myśli o naszej wizycie u nich, skoro wyobrażała sobie, że przebywa w celi. Nie chciała jednak wyrzeć spod kołdry. Tymczasem Clifson owinał się kocem i ulokował w fotelu. Nie umiałem zasnąć w pozycji siedzącej, a w ciasnej, dwuosobowej kajucie, na zastawionej meblami podłodze nie było wolnego miejsca. Przeniosłem puszysty dywan do łazienki i położyłem go obok wanny. Na tym pościu nie musiałem się niczym przykrywać, bo z rur pod ścianami promieniowało ciepło.

Zakręcając kran nad umywalką, spostrzegłem w lustrze odbicie Alicji.

Stała na progu łazienki. Myślałem, że położy się obok swej siostry,

ale po chwili weszła do środka, zamknęła drzwi i zatrzymała się przy mnie. Przez dłuższy czas patrzyła w milczeniu na strumień wody ciekącej do wanny, jakby czekała, co ja na to powiem, aż wreszcie zakręciła kran i wypaliła niespodziewanie:

— Komendant Kalm skazał mnie znowu na dwie doby karceru.

Stuknąłem się palcem w środek czoła.

— Wariatka! Zastanów się, co wygadujesz. Jeśli ci to odpowiada, nie mam nic przeciwko temu, abyś sobie wyobrażała, że jesteś skazana. Każdy w końcu ma prawo do jakiejś obsesji. Ale Kalm komendantem więzienia? Skąd raptem przyszło ci do głowy podejrzewać o to akurat człowieka zupełnie niewidomego? Nie brak tu przecież postaci odpowiedniejszych do odgrywania tej roli.

Usiadła na brzegu wanny.

— To ty jesteś ślepy! Nie orientujesz się wcale, jak wiele od niego zależy. Przenoszony codziennie z jednej celi do drugiej, dajesz się zwodzić różnym pozorom pod pierwszym lepszym pretekstem. Walczysz z cieniami, a on jest tutaj panem sytuacji i może sobie pozwalać na wszelkie ekstrawagancje. W pewnych wypadkach umie z nich zresztą wyciągać korzyści: czy to tak trudno udawać niewidomego, zwłaszcza dla kogoś, kto jest tak przebiegły i chce zobaczyć więcej niż inni? Wyrobiłeś sobie zdanie o nim na podstawie ciemnych okularów i białej laski. Co za naiwność! Odwiedził nas przecież pod koniec odbywania pierwszej kary. Pamiętasz? Kiedy wyszedłeś z karceru, obiecałam mu przekazać pięć tysięcy dolarów na jego prywatne konto, w zamian za co stworzył mi wczoraj okazję do ucieczki, ale — jak wiesz — z twojego powodu nie wykorzystałam tej szansy. Jest łakomy zarówno na pieniądze, jak i na kobiety, choć w oczach zwierzchników nie chce stracić opinii wzorowego komendanta. Aby go nie podejrzewano o zbyt bliskie kontakty z więźniarkami, w czasie inspekcji towarzyszy mu strażniczka, która chodzi z nim do kobiet w charakterze przyzwoitki. Może już zauważyłeś, że pani Lisetta jest bardzo złośliwa. Na mnie zawzięta się szczególnie. To ona wysunęła wniosek o powtórzenie kary, a komendant Kalm uległ jej z powodu niedotrzymania tamtej umowy.

Zaciekawiony fantazjami Alicji, uchyliłem drzwi i zajrzałem do kajuty. Po zgaszeniu światła położyłem się na dywanie. Kalmów faktycznie już tam nie było, z czego jednak nic istotnego nie mogło

wynikać. Widocznie wrócili do siebie, co. było naturalniejsze niż nocleg w obcej kajucie. Musieli przecież gdzieś tutaj mieszkać, a kontaktu ze mną szukali tylko dla towarzystwa.

Na zakończenie sporu o przekonania (jej zdaniem, narzucane innym nie zawsze dla ich własnego dobra) Alicja przypomniała mi wysunięty przez Clifsona postulat ogólnej tolerancji, jako warunek przyjęcia przez niego funkcji drugiego oficera. Po tym argumencie postanowiłem nie komentować więcej jej sposobu bycia, aczkolwiek respektowanie zasady swobodnego rozwoju pasji wszystkich wariatów zgromadzonych na Arce — w ramach wspólnego rejsu nie wydawało się wykonalne. Zasypiając zastanawiałem się, co teraz zrobi: mogła wrócić do swego łóżka (jeżeli Clifson jeszcze go nie zajął) albo jak poprzednim razem wejść w butach do wanny i znowu przez dwie doby stać po kolana w wodzie, dziwnym zbiegiem okoliczności przygotowanej tu jakby specjalnie dla niej w celu odbycia urojonej kary, na którą została skazana być może tylko jednym spojrzeniem swej nienormalnej siostry.

Zgodnie z moim skrytym życzeniem wybrała jednak trzecią możliwość, o czym dowiedziałem się dopiero nad ranem, kiedy zbudzony jakimś szelestem poruszyłem się i poczułem, że leży obok na dywanie, przytulając się do mnie w ciemności.

13.

Wieczorem następnego dnia — po kilku godzinach przespanych w łazience — z nieco lepszym samopoczuciem, ale za to głodny i zły na marynarzy Clifsona poleciłem mu, aby spróbował zjednać dla naszej sprawy innych, bardziej zdyscyplinowanych zwolenników. Werbunek nowej załogi i jej organizacja powinny opierać się na większej karności. Przy takim tempie wykonywania poleceń „nigdy nie dobijemy do żadnego brzegu”! Jeśli pamięta własny komentarz do chaosu panującego na sali podczas profesorskiego wykładu, przytaczam teraz tylko jego słowa. Ci chłopcy zapomnieli już pewnie, komu zdecydowali się służyć. Ja musiałem pozostać w kajucie do czasu, aż ustąpią sztywność i ból kolana, a on nie umiał upilnować swych ludzi, co powiedziałem mu otwarcie i na co odparł, że przecież sam wczoraj wysłałem ich po Rayta. Podobno pierwszy oficer dobrał już sobie bosmana. Tak czy inaczej trzeba tu było wszystkich zgromadzić w celu odbycia generalnej narady albo przynajmniej krótkiej konsultacji. Niezależnie od tego ktoś musiał przynosić mi z mesy regularne posiłki: chociaż nie byłem wielkim żarłokiem, w roli kapitana miałem prawo do codziennego jedzenia chyba nie mniejsze niż inni.

Siostry Alicji nie było w kajucie. Po wyjściu, Clifsona przez dłuższy czas siedziałem w fotelu naprzeciwko okna i patrząc w usiane gwiazdami niebo, myślałem o konsekwencjach minionej nocy, bezradny w obliczu nowego problemu, aż wreszcie wszedłem do łazienki.

— Już w pierwszej chwili, gdy cię zobaczyłem, bardzo mi się spodobałaś — powiedziałem i zaraz dodałem: — Rzecz prosta, nie jako schizofreniczka, lecz jako kobieta. W końcu muszę ci to wyznać, choć postanowiłem niczego nie mówić, bo z tego mechanicznego faktu, że w moim odczuciu, a o inne nie dbam, masz tyle fizycznych zalet, nic — prócz dodatkowego ciężaru w sytuacji i tak już dość skomplikowanej — powtarzam, nic absolutnie dla nas nie wynika. Spróbuj wyobrazić sobie, jak to wygląda z punktu widzenia mężczyzny w tak celnie opisanym przez studentkę Nguyena dwuosobowym układzie bezpieczeństwa. Ponieważ jestem człowiekiem samodzielnym, gdybyś chciała zapewnić

sobie bezpieczeństwo w naszym układzie, a o tym zapewne myślałaś nad ranem, mówiąc mi o swej miłości, musiałybyś dysponować owym potencjałem zaufania i obdarzyć mnie nim bez względu na to, czy w oczach innych ludzi mam szanse odniesienia jakiegokolwiek sukcesu, czy ich w ogóle nie mam. Wymaga tego psychologiczne prawo naturalnego doboru partnerów, doboru nieprzypadkowego, który — co usłyszeliśmy pod gabinetem Nguyena — polega na kojarzeniu *różnic* między partnerami, a nie podobieństw w stopniach ich życiowej samodzielności. Pary dobierane według zasady zupełnej równości praw do decydowania o wspólnym losie rozpadają się prędzej czy później po okresie ostrej i nieustannej rywalizacji.

A co się dzieje w naszym przypadku? Już powiedziałem, że mi się podobasz. Mimo pozorów uczuciowego chłodu trwam więc pod silnym wrażeniem twojej urody, w nadziei na coś bardziej istotnego i zarazem w pustce daremnego oczekiwania na jakieś, bodaj iluzoryczne poparcie. Gdy człowiekowi na kimś zależy, szuka uznania w jego oczach i w końcu staje się zazdrosny. Dlatego nie jest mi obojętne, co myślisz o znaczeniu każdego pasażera, chociażby takiego nieszczęśliwego Kalma, któremu z naszej strony — niech mu Bóg ten smutny los wynagrodzi w niebie! — należy się tylko serdeczne współczucie, bo cóż innego można o nim sądzić: jeśli nawet dobrze widzi przez te okulary, i tak przecież jest zupełnie ślepy, jak większość ludzi zebranych na Arce. A ty w swej chorej wyobraźni podnosisz go niemal do roli tytana! Podczas gdy ja zmagam się z cieniami, komendant Kalm — mówisz do mnie groźnie — jest tutaj panem całej sytuacji i może sobie pozwalać na wszelkie ekstrawagancje. Więc jemu raczej powinnaś się oddać, skoro tak cię fascynuje! Czyż nie powiedziałaś, że jest łakomy nie tylko na pieniądze, lecz i na kobiety? W roli jego kochanki mogłabyś realniej myśleć o upragnionej wolności. A kim tu ja dla ciebie jestem?

Zależy mi na twoim zdaniu, toteż ile razy na mnie spojrzysz lub kiedy coś zacznasz mówić — spodziewam się usłyszeć jakiś sensowny komentarz do idei ratowania statku albo słowa aprobaty bodaj w drobnej, marginesowej sprawie, a tymczasem spotykam się jedynie z totalnym lekceważeniem całej mojej działalności na Arce. Dotąd nie odczuwałem tego tak silnie, ponieważ wszystko starałem się ignorować, co przychodziło mi niemal równie łatwo, jak zachowanie spokoju, czy

nawet obojętności wobec pozostałych wariatów — właśnie z powodu beznadziei twego psychicznego stanu, który nie rokując żadnej poprawy, wykluczał wszelkie wspólne plany na przyszłość. Po prostu nie chciałem komplikować sobie życia problemami ponad ludzkie siły.

Kiedy jednak pierwsza zbliżyłaś się do mnie, zaraz pomyślałem, że pewnie masz zamiar zmienić swój stosunek do świata, bo Clifson ma słuszność: rzeczywistość jest tworzywem, istnieje w postaci potencjalnego zła i zarazem dobra, otaczając nas w uległym oczekiwaniu na przyjęcie jednego z wielu możliwych kształtów. Skoro więc wybór zależy od ciebie, czy nie wolisz żyć na otwartym morzu, choćby czasem i pośród błyskawic, ale zawsze z poczuciem swobody i na ogół w słońcu, niż dla satysfakcji komendanta Kalma dręczyć się wyobrażeniem tego ponurego lochu? Wyjdź z łazienki! Dlaczego w swej bierności jesteś taka uparta?

— To wszystko, co w twym obszernym wystąpieniu (bo tak je chyba trzeba nazwać) poprzedza oskarżenia i co dotyczy pochwały dla mej urody, jest zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe — odparła Alicja. — Powiedziałaś to tylko w tym celu, żeby mnie nieco pocieszyć przed długim szeregiem zarzutów, których — bez tamtego miłego wstępu, obwarowanego zresztą licznymi warunkami — nie wysłuchałaby cierpliwie żadna kobieta. Mimo tych zastrzeżeń sprawiłaś mi przyjemność, gdyż nie ukrywam, że swej atrakcyjności nigdy nie byłam dostatecznie pewna. Może pod wpływem tak prostych argumentów zdołałabym się wyleczyć z wielu kompleksów. Z dalszego ciągu twego wystąpienia zdaje się wynikać podejrzany wniosek, że kobieta jest ciałem, zaś mężczyzna duchem (do czego zaraz chciałabym powrócić), a na koniec pytasz, dlaczego jestem taka uparta. Otóż nie jest to bynajmniej bezmyślny upór jakiejś rozkapryszonej idiotki czy trwała obsesja schizofreniczki, jak twierdzisz, tylko uzasadniony strach przed konsekwencjami nieposłuszeństwa. Zbyt krótko jeszcze przebywaś tutaj, by na własnej skórze zapoznać się z groźnymi skutkami nieprzemyślanego buntu. Lecz spróbuj się zastanowić, czy oceniasz mnie dość sprawiedliwie. Już w czasie narady z Clifsonem zarzuciłaś mi bierność, czyli brak inicjatywy tam, gdzie można coś uczynić dla poprawy swego losu, a jak ty sam zareagowałaś w chwili, gdy podczas rozmowy telefonicznej z Sharpem zaproponowałam ci niespodziewanie, abyśmy

razem uciekli do portu?

— Dopóki nasz statek dryfuje bez steru, nie wspominaj mi więcej o żadnym porcie.

— Dobrze. Wracając jednak do tamtej sytuacji, mógłbyś uczciwie przyznać, że wtedy — jeśli nie liczyć gniewnej reakcji — nie wykazałeś żadnej aktywności. Teraz to jest jasne, bo w tak ważnej sprawie nie powinnam cię zmuszać do szybkiej decyzji. Nie mogłeś jej natychmiast podjąć, więc i ja w tej chwili — przekonana prawie, ile zyskałabym na gruntownej zmianie swego stanowiska, to znaczy zachęcona bajecznymi perspektywami życia na otwartym morzu — muszę się nad nimi głębiej zastanowić. Poczekaj! I tak już zyskałeś wiele, wywołując w mych myślach zamęt i niepewność, czy to miasto, w którym kiedyś zostałam skazana, na pewno istnieje i czy leży wokół Arki. Nad tym wszystkim chciałabym zastanowić się raz jeszcze. Nie mam wprawdzie twej zdolności rozpraszania przykrych złudzeń i daru do pogodnego spojrzenia w przyszłość, ale mogłabym się nie jednego nauczyć. Nie wyobrażaj sobie, że jestem aż tak bardzo uparta. Daj mi tylko, spokój i czas do namysłu.

— Choć doprawdy nie rozumiem, w jakim celu dobrowolnie stanęłaś znów w wannie, do niczego przecież nie będę cię zmuszał.

— Wcale nie jestem tego taka pewna. Starasz się być wyrozumiały, ale nie zawsze potrafisz. Mam prawo to powiedzieć, bo czy nie polecieś marynarzom Clifsona, by Rayta siłą wyciągnęli z łóżka?

Usiadłem na krawędzi wanny, objąłem ramieniem kolana Alicji i roześmiałem się mimo woli.

— Jaka ty w końcu jesteś dziecinna!

— Studentce Nguyena nie powiedziałaś tego, bo jest dla ciebie autorytetem.

— Ona nie. Skąd taka bzdura przyszła ci do głowy? Intryguje mnie tylko jej tajemniczy nauczyciel.

— A mnie się wydaje, że jesteś zakochany.

— W kim?

— Właśnie w niej!

— Nic podobnego.

— Więc nie zostałeś oczarowany jej psychologicznymi wywodami?

— Nie, ponieważ samodzielny mężczyzna nigdy nie akceptuje w

kobiecie cech duchowej niezależności. Doceni je tylko człowiek niesamodzielny, któremu one bardzo przypadną do gustu. Mówimy tu jednak o determinacji w naturalnym doborze życiowych partnerów, a nie o wzajemnym szacunku obojętnych sobie skądinąd współpracowników czy uczestników jakiejś akademickiej dyskusji.

— A ja byłam pewna, że ona ci imponuje. Z tego powodu stałam się już nawet zazdrosna.

— Nieporozumienie. Powiedziałem ci przecież, że jestem niezależny, co stwierdzając, wcale nie podkreślam żadnej swej przewagi nad innymi, nikt bowiem nie może istnieć w zupełnej izolacji: nawet urodzony geniusz przestaje być kimkolwiek, gdy nie znajduje bodaj jednego człowieka, który by zechciał skorzystać z jego niezależności. I ona też jest taka! Czyż nie wynika to niemal z każdego jej zdania i sposobu bycia? Między takimi jak my partnerami — gdybyśmy się przypadkiem dobrali — nie byłoby nawet mowy o przyjaźni, również polegającej na uzupełnieniu istotnych braków — a cóż dopiero o miłości! Możemy sobie czasem podyskutować, aż się wzajemnie zirytujemy, i na tym koniec. Jako ludzie jednakowo samodzielni, nie jesteśmy sobie do niczego potrzebni, chyba tylko do wymiany informacji na przykład w kolejce do jakiegoś doktora.

Z obserwacji różnych par wynika niezbie, że stopień samodzielności człowieka nie zależy bynajmniej od poziomu jego inteligencji ani tym bardziej od płci (nieuzasadnione statystycznie przekonanie o liczebnej przewadze mężczyzn dominujących psychicznie nad kobietami jest nerwicorodnym mitem dla silniejszej tylko fizycznie połowy rodzaju ludzkiego), natomiast zależy od cech wrodzonych i ukształtowanych we wczesnym dzieciństwie oraz od wielkości sumy doświadczeń zebranych w życiu, rośnie więc na ogół z wiekiem. Tymi uwagami uzupełniłem myśl studentki Nguyena.

Kobiety w jej obecnym wieku, czyli dojrzałe, interesowały mnie bardzo od dziecka (zjawisko to — powszechne wśród chłopców — nazwano kiedyś kompleksem Edypa, zaś u dziewczynek, odczuwających analogiczny sentyment do dojrzałych mężczyzn — kompleksem Elektry), a od piętnastego roku życia przez około dwadzieścia lat pociągały też fizycznie (właśnie one, a nie ówczesne moje rówieśnice!), najsilniej na początku tego długiego okresu, kiedy niesamodzielność chłopców

wyraża się również w ich komiksowej i filmowej fascynacji supermenem, a zupełnie przestały mi odpowiadać w ostatnich latach, gdy stałem się dość samodzielny, by dostrzec zalety młodych dziewcząt, którymi kieruje to samo prawo naturalnego doboru. Teraz dopiero obudziła się we mnie silna potrzeba opieki nad kimś słabszym, między innymi chęć posiadania swego dziecka, a młoda kobieta mogłaby mi je dać.

Na pytanie, czy zmiana ideału partnera, jaka dokonała się stopniowo w mej podświadomości około trzydziestego piątego roku życia, jest wśród ludzi obojga płci czymś wyjątkowym, czy raczej dość banalnym efektem długiego procesu dojrzewania, odpowiada obszernie dzieło pewnego badacza problemu, który — wbrew naturalnym inklinacjom i tylko pod presją najbliższego otoczenia, hołdującego zasadzie pokoleniowej segregacji — ożenił się wzorowo w osiemnastym roku życia z dziewczyną w swoim wieku i po trzydziestu latach wiernego pożycia, już jako uczony seksuolog...

— Rozwiódł się i powtórnie ożenił się z osiemnastolatką! — dokończyła pesymistycznie bardzo już zniecierpliwiona Alicja.

— Nic podobnego! A nawet wprost przeciwnie: opublikował pouczającą historię swego udanego małżeństwa.

— Chyba nie będziesz mi jej opowiadał.

— Ależ ten gruby tom streścić można jednym zdaniem! Otóż ów nieśmiały nastolatek, a później zadziorny profesor, aby pokonać opór impotencji prześladowanej go przez całe życie, począwszy od nocy poślubnej, kiedy to wobec nieprzewidywanych problemów był równie bezradny, jak i jego niedoświadczona partnerka, we wszystkich momentach erotycznych pierwszej połowy całego ich pożycia wyobrażał sobie intensywnie, że jego żona jest o jedno pokolenie starsza, czym dzielnie wywoływał w sobie zdolność do odbycia aktu, w drugiej zaś połowie omawianego okresu — z tego samego powodu — przypisywał swej dojrzałej już żonie cechy kobiety o jedno pokolenie młodszej, oczywiście również w wyobraźni i też z bardzo pozytywnym skutkiem. Minio zastrzeżeń sceptycznych krytyków, którym nie udzielił odpowiedzi na pytanie, czy jego partnerce przez cały ten czas dopisywała nie mniejsza fantazja, dowiódł więc, iż dzięki metodzie imaginacyjnej szczęście — przynajmniej indywidualne — osiągnąć można również i w nienaturalnych warunkach.

— A ciebie przekonał?

— Niestety nie mam tak bujnej wyobraźni.

Usiadła obok na brzegu wanny i opierając nogi na dywanie, przytuliła głowę do mego ramienia.

— Patryk — powiedziała po długim namyśle. — Jeśli chcesz mi się spodobać, nie opowiadaj teraz o obcych ludziach, bo bardziej interesuje mnie twoja historia.

— Więc co chciałabyś wiedzieć?

— Powiedziałeś, że kiedyś pociągały cię zwłaszcza dojrzałe kobiety. I dużo ich wtedy miałeś?

— Tych samotnych kobiet z dorastającymi dziećmi lub czterdziestoletnich panien, często niezamężnych z powodu swej dużej niezależności, które onieśmielając mnie już samym spojrzeniem, tak bardzo mi się podobały, i na których inicjatywę cały czas liczyłem?

— Właśnie o nie pytam.

— To stara historia i wolałbym jej w ogóle nigdy nie wspominać.

14.

Około północy do drzwi kajuty zapukali marynarze Clifsona, którzy z mesy przynieśli w tekturowym pudle obiad zakupiony dla nas przez Rayta. Nie umieli wyjaśnić, dlaczego akurat za nasze posiłki trzeba było na statku komukolwiek płacić. Zameldowali, że pierwszy oficer zgłosi się tutaj wkrótce, to znaczy natychmiast po wykonaniu jakiegoś pilnego zadania. Nic poza tym nie mieli mi do powiedzenia. Kazałem im czekać w kajucie, a sam wróciłem do łazienki, gdzie Alicja zaraz zajęła się rozpakowaniem obiadu.

— Chyba człowiek w pełni nie dojrzewa nigdy i nigdy też nie jest dość samodzielny — rzuciłem nieopatrznie już przy pierwszym daniu. — Lecz połowę życia można by przyjąć za zwrot ku przeszłości i stąd pewnie ta zmiana wielu ideałów.

— Nie każdy tę przeszłość przeżywa tak silnie — odparła z ożywieniem, bardzo zadowolona, że sam, po długiej rozmowie o sytuacji na statku, powróciłem w końcu do tego tematu. — Przeszłość jest ważna, dla ciebie jednak ma ona chyba zbyt wielkie znaczenie. Trzeba to przemyśleć i wspólnymi siłami dojść do konstruktywnego wniosku. Nie jest nam przecież obce pojęcie psychoanalizy. A komu, jeśli nie mnie, mógłbyś się tutaj zwierzyć? Więc wyznaj mi wreszcie, czy dużo ich miałeś: tych dojrzałych kobiet, które — jak to powiedziałaś — onieśmielając cię już swym spojrzeniem, tak bardzo ci się podobały, i na których inicjatywę cały czas liczyłeś.

— Nie szukałem wielu, bo wcale nie chodziło mi o ilość. Na tamte lata jedna by mi wystarczyła.

— A ile znalazłeś?

— Oczywiście żadnej! — Odsunąłem od siebie jedzenie. — Jesteś rozczarowana?

— Skąd to „oczywiście”? Każesz mi wierzyć, że dla żadnej dojrzałej kobiety nie byłeś wówczas dostatecznie atrakcyjny?

— Nie wyróżniałem się specjalnie spośród innych chłopców. Może byłem tylko nieco bardziej nieśmiały.

— Więc dlaczego żadna z tamtych samotnych, lecz przecież

doświadczonych kobiet, nie spróbowała zbliżyć się do ciebie, gdy byłeś już pełnoletni? Pewnie jestem jeszcze zbyt młoda, aby to zrozumieć. Czy pragnienia kobiet niestarych, ale też i nie pierwszej młodości nie mają nic wspólnego z tak często spełnianymi marzeniami mężczyzn, nawet w dość podeszłym wieku?

— Oto jest pytanie! Stawiałem je sobie przez długie lata, nie pojmując tej wrogiej mi obojętności i nienawidząc ich z tego absurdałnego powodu. Ale gdybyś to proste, retoryczne pytanie postawiła wówczas tamtym kobietom, zaraz byś je wszystkie nim zirytowała.

— Rozumiem dlaczego. Bo kobieta w każdym wieku swe poczucie bezpieczeństwa znajduje przede wszystkim w dokumencie ślubnym, który gwarantuje jej szczęście do grobowej deski, zaś w twoim przypadku nie mogła pewnie liczyć na takie formalne zabezpieczenie. Ponadto chciałaby to szczęście przeżywać otwarcie, nie ukrywając go przed całym światem, z drugiej jednak strony jest niezwykle wrażliwa na negatywne opinie otoczenia dotyczące jej wolnych związków, zwłaszcza ze znacznie młodszymi mężczyznami.

— Co się tyczy gwarancji szczęścia wiekuistego, nie zapominaj, że obiektami moich pragnień były kobiety dojrzałe, dorosłe rzeczywiście, a nie tylko formalnie, zatem dość silne, by kierować się w życiu własnymi zasadami — słowem, samodzielne (jest ich bardzo wiele), a takie nie opierają swej pewności siebie na naiwnej wierze w moc ślubnych kontraktów. Wśród nich były przecież panny z wyboru i kobiety rozwiedzione. W ten sposób odpada twój pierwszy argument. Odpowiadając natomiast na drugi, zapytam ze szczerym zdumieniem, dlaczego według ciebie moje ówczesne ideały kobiet miałyby przeżywać nasze intymne kontakty koniecznie na oczach sąsiadów? Bo bez powszechnej aprobaty żadna kobieta nie może się obyć? Zastanów się, do czego zmierzasz. Więc poza zasięgiem opinii publicznej nie czułyby się skrępowane — przyznajesz, ale też nie doznawałyby owej podniecającej obecności widzów, bez których — jak to sobie wyobrażasz — nie ma mowy o pełnej satysfakcji nawet przy naturalnym doborze partnerów. Podejrzewasz je zatem o ekshibicjonizm! Na jakiej podstawie? Szukałem wtedy przecież kobiety normalnej, to znaczy takiej, która nie odsłania okien sypialni, by całemu światu dać dowód zgodności

swych najskrytszych pragnień z jakimś obyczajem. Ale gdyby nawet były między nimi tak bardzo, jak mówisz, perwersyjne kobiety, kto ci powiedział, że wszystkie kierowały się akurat tymi, pogardzanymi przeze mnie motywami?

O nie! Do tej absurdalnej sprawy nie mieszaj damskich obaw przed cieniem przyszłości ani lęku przed głosami zazdrosnych sąsiadów. Niczego jeszcze się nie domyślałaś! I podobnie jak ja w tamtych beznadziejnych czasach nieprędko zrozumiesz, o co tutaj chodzi. Coś zacnie ci świtać dopiero za kilkanaście lat, kiedy pierwsze cielesne znaki i psychiczne przejawy faktycznego dojrzewania zauważysz również u siebie i gdy zaniepokojona wymownymi sygnałami ze swego życia towarzyskiego, skonstatujesz na ich podstawie, że dla większości dojrzałych mężczyzn nie jesteś już równie jak dawniej atrakcyjna. Nieco później — jako pesymistka — pozwolisz sobie wmówić, że już w ogóle nie możesz się podobać: przywalona perfidnymi sugestiami środków masowej hipnozy, chociażby w postaci filmów o miłości, w których mężczyźni rozglądają się tylko za młodymi panienkami, sama w końcu — wbrew naturalnym potrzebom — zaczniesz się wprowadzać w ten kanał potęgającej się rezygnacji, wyznaczony dla dojrzałych kobiet regułami niesprawiedliwego obyczaju.

I jeżeli teraz wyjdiesz za chłopca w swoim wieku, może cię wówczas porzucić dla młodszej dziewczyny, do czego będzie miał obyczajowe prawo (pozornie przysługujące również i tobie), a wtedy — tak jak tamte moje potencjalne kochanki — ostrzeżona zdobytym doświadczeniem oraz wieloma innymi przykładami, choć już będziesz niezależna, prędszej zaczniesz szukać partnera wśród sędziwych dziadków, niż spojrzysz uważniej na jakiegoś znacznie młodszego od siebie człowieka.

A on pierwszy nie zmniejszy dzielącego was dystansu, obok zbyt wielkiego pragnienia posiadania ciebie onieśmielił go bowiem narzucona obyczajem, przykra pewność porażki przy próbie zbliżenia i — co za tym idzie — widmo twojej kpiny. Więc nie zdradzi ci swego skrytego marzenia, ty natomiast — tak jak one: te na zawsze już dla mnie stracone kobiety — nigdy nie uwierzysz, jak bardzo przede wszystkim jemu się podobasz, nie tylko psychicznie, co jest oczywiste, ale też fizycznie: oszukana pozorami, bo pod wpływem tamtej fabularnej narkozy nawet

we śnie nie zdołasz wyobrazić sobie, abyś mogła być dla kogoś znacznie ponętniejsza od młodej dziewczyny — właśnie dzięki zaletom swojej dojrzałości, docenianym jednak wyłącznie przez niego. W epoce ukształtowanej fałszywym aż do szpiku kości obyczajowym wzorcem rzekomego afektu Romea do Julii, więc w sytuacji spaczony psychologicznie modelem fikcyjnej miłości, wyrażanej na scenach przez świadomych odgrywanego fałszu, ale opłacanych sownie aktorów, którym poza teatrem żaden hipnotyzer nie wmówiłby podobnej bzdury — ta śmiała i zarazem prawdziwa myśl, że ów Romeo bynajmniej nie Julii (zakochanej już po uszy w reżyserze sztuki), lecz ciebie potrzebuje, w żadnym przypadku nie przyjdzie ci do głowy! Oto więc dlaczego na twoje pytanie: „Ile ich miałaś?” odpowiedziałem: „Oczywiście żadnej!”

I tak wpajane ludziom od wielu pokoleń kretyńskie przekonanie, że mężczyzna i od urodzenia jest psychicznie silny, zaś kobieta słaba aż do starości, wobec czego w każdym wieku już różnica płci zapewnia im wzajemne wsparcie i daje poczucie bezpieczeństwa, a to znaczy miłość! — przez tysiąclecia zbiera swe neurotyczne i sadystyczne żniwo. Spróbuj pomyśleć, do jakich spustoszeń prowadzi wciąż ludzi ta błędna zasada!

Obok spotkanego gdzieś bezsilnego dobra człowiek, równie jak ono słaby, przechodzi obojętnie, a chociażby i z największym szacunkiem czy współczuciem — przecież bez miłości. Szczerze nie zapragnie partnerskiego związku, bo miłość polega na wymianie nadziei, nic wspólnego nie ma więc z uczuciem litości. I dopiero człowiek silniejszy może się nim zainteresować i pokochać je bardziej niż siebie samego, pod warunkiem jednak, że to słabsze dobro — w instynktownym bodaj przekazie uczuciowym — da mu dowód wiary w jego własne siły, a co za tym idzie, poczucie bezpieczeństwa.

Oto w czym tkwi cała tajemnica miłości, wpisana w ramy teorii bezpieczeństwa, głoszonej przez Nguyena słowami jego studentki. Ale ta prosta prawda, tak oczywista dla każdego stworzenia na świecie i zakodowana też w naszej podświadomości, jest zupełnie obca współczesnej psychologii. Gdyby było inaczej, nie czytaliśmy rozbudowanych bzdur o rzekomym „instynkcie śmierci” (istniejącym ponoć w naturze ludzkiej obok instynktu życia), nie studiowalibyśmy tych uczonych bredni, przy których pomocy usiłuje się wytłumaczyć zjawisko psychicznego i fizycznego masochizmu. To fakt, że bez

rozwiązania tego problemu nie ma mowy o zbudowaniu wiarygodnego systemu psychologicznego, opartego na czystej prawdzie, a nie na pobożnych życzeniach, ponieważ głównym sprawdzianem zgodności każdej teorii z doświadczeniem jest jej spójność w ekstremalnych punktach badanej rzeczywistości, gdzie obraz zjawiska jest najwyraźniejszy, a do nich należy zagadka masochizmu. Psychoanaliza jest bezradna w obliczu elementarnych problemów.

I tak, na przykład, o kobiecie, która najsilniejszy orgazm przeżywa w warunkach umiarkowanej przemocy (stosowanej jednak przez pożądanego partnera!), nawet za cenę niewielkiego bólu. wywołanego tym pozorowanym gwałtem — mówi się poważnie, że w jej podświadomości działa ów instykt śmierci, to znaczy pragnienie samozagłady, przeciwne powszechnemu dążeniu do życia i do przyjemności oraz niezgodne z ogólnym poczuciem bezpieczeństwa, słowem, pragnienie przeciwne naturze. Dlatego mowa o seksualnym zboczeniu!

Alicja, jakby zdziwiona ostrym tonem ostatniego zdania, spojrzała mi bacznie w oczy, pytając wzrokiem, co mam tu na myśli, po czym — uspokojona wyrazem mojej twarzy — uśmiechnęła się również i pochyliwszy się nad pustymi talerzami, pocałowała mnie w usta.

— Gdyby twórcy psychoanalizy mniej czasu spędzali na wmawianiu swym pacjentom różnych bezpodstawnych empirycznie koncepcji — kontynuowałem — a więcej w łóżkach z wieloma kobietami, faktycznie słabymi (bo one mogłyby im to wytłumaczyć!), nie doszłoby do powstania tej równie pociesznej, jak i tragicznie wprost żałosnej teorii, która na sto lat zahamowała rozwój psychologii.

Przy ocenie wszelkich zjawisk, dostrzeganych w otoczeniu przez człowieka, jego instykt od niepamiętnych czasów posługuje się jedynie dwoma klasyfikatorami: dobre jest to, co mu daje poczucie bezpieczeństwa, a złe — co przynosi poczucie zagrożenia. W podświadomości nie ma więc miejsca na wszechstronne, intelektualne analizy zalet i wad drugiego partnera. Bez komputerowej analizy danych kobieta z naszego przykładu ma jednak pewność, że źródłem omawianej tu rozkoszy nie jest zadawany ból! (jak to jej szpetnie usiłują wmówić ci seksualni praktycy zza biurka, wyszkoleni erotycznie podczas przewracania encyklopedycznych tomów), bo ból sam w sobie dla

nikogo nie jest miły (lecz tutaj niemal do zera redukuje go euforia), jest nim natomiast (tym źródłem rozkoszy) wielkie — choć krótkotrwałe — poczucie bezpieczeństwa, doznawane w postaci ekstatycznego uniesienia wywołanego kontaktem z kimś pożądanym, kto jest dobry, bo akurat jej pragnie (a nie, powiedzmy — rywalki), i kto — o czym świadczy brutalność rozpoznana w jego naturze — jest dostatecznie silny, by usunąć wokół niej te wszystkie koszmarne, czasem po prostu urojone niebezpieczeństwa. Takiej kobiety nikt nie przekona, że czyste dobro, które swej siły nie ujawnia w bezpośrednim akcie, zatem miłość ofiarowana przez innego, łagodnego męża czy kochanka, może wystarczyć do pełnego szczęścia.

Lecz gdzie tu jest miejsce na ów „instykt śmierci”, to znaczy masochistyczne pragnienie bólu i samozagłady, przeciwne powszechnemu dążeniu do życia i do przyjemności oraz niezgodne z ogólnym poczuciem bezpieczeństwa, gdzie tu jest miejsce na pragnienie przeciwne naturze? Nie ma go przecież w motywach tej kobiety! Więc to tradycyjna psychoanaliza — w swych bezradnych poszukiwaniach — bajdurząc o instynkcie śmierci, istniejącym ponoć w naturze człowieka, zeszła z drogi do prawdy na jakieś perwersyjne manowce, toteż jej należy przypisać to szpetne „zboczenie”, a nic tej biednej kobiecie i teorii bezpieczeństwa!

— Nie przerywałam ci dotąd — powiedziała Alicja — abyś mógł dokończyć swój hymn pochwalny na cześć tej teorii, która również moim, zdaniem może mieć wpływ na przyszły rozwój psychologii człowieka. Interesuje mnie jednak nie tyle jego przyszłość, co raczej historia, bo w niej z reguły tkwi odpowiedź na pytanie, dlaczego jest dziś nieszczęśliwy. A ty nie wyglądasz na kogoś zrównoważonego, kto jest zadowolony z siebie i ze świata. Przyczyny należy szukać w przeszłości. Czy w tamtych, tak trudnych dla ciebie czasach, kiedy jeszcze chodziłeś do szkoły, nie zakochałeś się w jakiejś dziewczynie ze swojej albo z młodszej klasy?

— Nie! I wśród kolegów nie należałem do wyjątków, chociaż w bezpośrednich rozmowach trudno to było ustalić, ponieważ nakaz obyczajowy — szczególnie silny w szkolnym środowisku — domaga się kategorycznie, aby wbrew aktualnym pragnieniom mężczyzna w każdym wieku zalecał się do kobiety nie starszej od siebie.

Mamy więc filmowy wzorzec osiemnastolatka chodzącego z szesnastolatką. Przy doborze partnerów ten sztywny schemat dwuletniej różnicy wieku — rzekomo optymalny psychologicznie — obowiązuje wszystkich już do końca życia i tylko ludzie niezależni gwizdzą na takie matrymonialne ideały. Prawdziwym powodem rozwodów nie jest „niezgodność charakterów” (orzekana głupkowato przez arbitrów każdej skłóconej pary), ale wprost przeciwnie: zgodność charakterów — to znaczy jednakowa niesamodzielność partnerów, która powoduje odczuwany przez nich silnie niedosyt bezpieczeństwa i wzajemne oskarżenia o brak wsparcia psychicznego, albo jednakowa ich samodzielność, wywołująca ostrą rywalizację.

— Nie mogłeś pokonać swej nieśmiałości i zwrócić się wprost do jakiejś dojrzałej kobiety?

— Nie.

— Dlaczego?

— Spróbuj pomyśleć logicznie. Gdybym był dość śmiały, aby to zakazane obyczajem zbliżenie zaproponować kolejno kilkunastu kobietom, bo co najmniej tyle musiałbym zacząć, licząc tylko na jeden szczęśliwy przypadek (co wynika z prawdopodobieństwa), wykazałbym swobodę bycia, a raczej bezczelność dorosłego i bardzo już doświadczonego podrywacza, odpornego na stresy, każda bowiem porażka zmniejsza pewność siebie również i w innych dziedzinach, lecz wtedy — wbrew taktom — udowodniłbym, że jestem ponad swój wiek odporny na niepowodzenia, zatem silny psychicznie, więc wcale nie potrzebowałbym kobiety dojrzałej, gdyż słaba koleżanka by mi wystarczyła. A ja jej! To się czasem zdarza, najczęściej jednak za nieudane próby pokonania swej nieśmiałości wrażliwy człowiek płaci nerwowym rozstrojem. Mnie nie brakowało odwagi w bójce z innymi chłopcami — tylko w towarzystwie pożądanej kobiety nie wiedziałem, jak skierować rozmowę na właściwy temat. Liczyłem na jej zrozumienie i inicjatywę, ale okazało się wkrótce, że w naszej epoce, opartej na szkodliwych schematach obyczajowych i psychologicznych nonsensach, nawet kobieta skądinąd dość śmiała nie może rozwiązać tego podstawowego dla ludzi problemu.

W tamtym czasie obok kilku znanych poza szkołą kobiet podobała mi się też jedna z moich nauczycielek, czterdziestoletnia panna, bardzo

wykształcona, między innymi absolwentka psychologii — co podkreślam z naciskiem. Swój afekt wyznałem jej przy jakiejś okazji, zdesperowany już kilkoma niepowodzeniami i bez żadnej nadziei. Aby nie wnikać w nieistotne szczegóły, pomijam, jak do tego doszło — w każdym razie pokonałem swój strach przed ośmieszeniem, a ona z podziwu godnym wyczuciem sytuacji domyśliła się zaraz wszystkiego i ku memu radosnemu zdumieniu powiedziała rzeczowo, że jutro mnie uświadomi. Ponieważ formalnie nie byłem już dzieckiem, nie zachodziła tu kolizja prawna, ktoś mógłby tylko wysunąć zastrzeżenie obyczajowej deprawacji. Nie muszę ci chyba tłumaczyć, dlaczego tak bardzo nienawidziłem tego kogoś, kto rzekomo troszczył się o moje i tej kobiety dobro, a faktycznie ział ku nam jadem swej niskiej zazdrości.

Uświadomienie! Ten wspaniały, podniecający szept trwał w ciszy mego pokoju jeszcze przez kilkanaście godzin. W przededniu naszego spotkania u niej w domu, gdzie zostałem zaproszony w celu odbycia pierwszej lekcji, nic było dla mnie piękniejszego słowa ponad to jedno: uświadomienie! — czyli cielesne wprowadzenie do dziedziny znanej mi jedynie z fotograficznej i filmowej fikcji. Podczas nocy, która nas jeszcze dzieliła — wyobrażając sobie przebieg jej wykładu — nawet oka nie zmrużyłem, takim byłem pilnym uczniem! Tak się z góry zmobilizowałem, że choć nic mi nie zadano, z zapałem klasowego prymusa już musiałem to sobie przerobić, jak ona do mnie naukowo podejdzie i w jakim stylu przekaże mi swoje bogate doświadczenie. Już analizowałem te wszystkie fazy pierwotnej sztuki rozpalania ognia, widząc oczyma duszy, jak je ilustruje przykładami poprawnych postaw w obliczu natury, bez wypychania sianem najtrudniejszych fragmentów wtajemniczenia i bez odsyłania do mojej koleżanki, której złośliwie — po rzuceniu iskry teoretycznego wstępu — mogłaby zlecić niewykonalne dla tamtej ignorantki zadanie ugaszenia całego pożaru. Z pustej przekory ucznia spragnionego pogłębionej wiedzy postanowiłem być sceptykiem przy każdym akcie prawdy ukazanej mi w zbliżeniu, a w imaginacji przewidywałem dokładnie, co ona zrobi, aby mnie przekonać.

Tak to sobie roiłem do samego rana, toteż kiedy nadszedł czas uświadomienia, tym większe przeżyłem rozczarowanie. Przez cztery godziny mojej wizyty u tej znormalizowanej pani nie usłyszałem nic o potrzebie zniesienia sztucznej międzypokoleniowej bariery, która dla

obu stron jest powodem zła podstawowego: samotności i neurozy. Nieustannie mówiła o czymś zupełnie nieistotnym, co z naszymi pragnieniami nie miało nic wspólnego. Niby to czekała na mój pierwszy ruch, lecz ilekroć próbowałem położyć dłoń na jej kolanie, zaraz chichotała lub dawała mi po łapie i wracała do swej idiotycznej paplaniny. W ogóle nie chciała mówić ani słuchać o seksie. Siedziałem sparaliżowany głupimi minami, które przybierała po każdej uwadze na temat zapowiedzianej lekcji. Wszystko robiła według musztry wieloletniego szkolenia opartego na fabularnych wzorach. Aby się podporządkować znanej normie, musiała przekreślić siebie i za cenę groteskowego efektu wtłoczyć się w postać młodszej ode mnie dziewczyny — wbrew memu życzeniu i na przekór wszelkim prawom psychologicznym musiała wejść w skórę tej irytującej nastolatki, a mnie chciała zmusić do odegrania farsy pozorowanego gwałtu, bo każdy miał obowiązek wcielić się w takiego bohatera, jakiego przewiduje wzniesiony na cokole ideał pary uniwersalnej. Nie pojmowałem, dlaczego to robi: przecież nie stał nad nami żaden kontroler, przed którym musielibyśmy zdać egzamin ze znajomości obyczajowych przepisów.

W ten sposób droczyła się ze mną przez kilka trudnych do zniesienia godzin, aż znużony do granic wytrzymałości, sięgnąłem po płaszcz, by wreszcie wyjść na świeże powietrze. Wtedy szybko rozebrała się w łazience i minąwszy mnie nago — co miało być kuszące — położyła się w łóżku pod pancerzem kołdry, po czym zgasiła światło, dając mi znak do energicznego ataku. Nie chciałem sprawić jej przykrości, więc w tym fatalnym łóżku — jak na stole tortur — przeleżałem jeszcze kilka długich godzin. Cały czas terkotała o swoich znajomych, zwłaszcza o kochankach — takich samych jak ja biednych impotentach. Później, ile razy wracałem myślami do tej przykrej nocy widziałem miliony innych zdrowych mężczyzn niszczonej gdzieś w świecie podobnymi metodami i co zabawniejsze albo tragiczniejsze — przekonanych o swej ułomności!

Nic już. mnie w niej nie pociągało, bo to nie była ta sama kobieta: leżałem obok jakiejś pozbawionej inwencji i polotu, zapatrzonej w konwencje, a nie w swe pragnienia, mimo jej studiów beznadziejnie głupiej baby, która z maniakałnym uporem — by mi się spodobać! — usiłowała przeistoczyć się w postać mojej klasowej koleżanki, podczas

gdy ja nadal marzyłem o nauczycielce. Już się nie spodziewałem, że w końcu zdoła mnie podniecić, do czego przecież sprowadza się rola seksualnego partnera; sam bym sobie poradził dzięki wyobraźni, byleby tylko przestała mi przeszkadzać, mroząc w zarodku każdy przejaw mej inicjatywy, gdyby umilkła bodaj na pięć minut i pozwoliła mi przypomnieć sobie, jak codziennie wyglądała w szkole — tam obok tablicy, gdzie stała ubrana i poważna, nieco surowa i pewna siebie, zdolna przełamać każdy nonsens w obronie psychologicznej prawdy, dominująca nad nami swym poczuciem bezpieczeństwa i wrażeniem duchowej siły, i gdzie nie chichotała jak piętnastolatka w odpowiedzi na czyjeś drażliwe pytanie.

Bo ja nie chciałem mieć jej, lecz żeby to ona mnie miała! W przeciwnym razie poszedłbym do prostytutki, zapłaciłbym za akt posiadania i nie byłoby żadnego problemu. Nie rozumiałem, na czym polega wartość współczesnej psychologii, skoro jej absolwentka jest przekonana, że ta psychologia nie ma tu znaczenia, bo stosunek sprowadza się do pokrycia partnerki przez partnera, zaś do seksualnego pobudzenia wystarczy mechaniczny nacisk ciał poprzedzony widokiem nagości i pościeli. Wszak swych kochanków nieczułych na te trzy podniety nazywała impotentami. Ale gdyby ów kontakt ciał miał z reguły wystarczać, co by się działo latem w zatłoczonym metrze? Jakie sceny rozgrywałyby się na każdej, zwłaszcza nudystycznej plaży, gdyby widok gołej skóry wywoływał rozpalenie chuci? Pani magister wzruszyła ramionami, kiedy postawiłem jej te dwa pytania. Co się zaś tyczy obrazu nagich ciał w pościeli, tak podniecającego rzekomo, to miałem go dość podczas projekcji fabularnych filmów na telewizyjnym ekranie. W odróżnieniu od producentów sekwencji pornograficznych, którzy czasem z dobrymi rezultatami jawnie stawiali sobie erotyczne cele, telewizyjni twórcy tak zwanych scen łóżkowych (nie wiadomo po co w ogóle eksponowanych) od dziesiątków lat dawali dowody nieznamości instynktownej reakcji widza. Przecież obraz tych miętoszących się aktorów, zmuszanych do przewalania się i markowania lubieżnych jęków podczas pozorowanego stosunku pod szczelnym nakryciem pościelowej cenzury — na przekór intencjom reżyserów — nie może wywołać innej reakcji niż zażenowanie. Nieraz widziałem, jak wrażliwi ludzie w tych właśnie, podobno „najciekawszych momentach” z

niesmakiem odwracali się od ekranu. I tylko studenci w rodzaju mojej pani magister, niezdolni do samodzielnego myślenia i czucia, z zapartym tchem szkolili się na takich fabularnych wzorach. Oto więc dlaczego, oczekując jej działania w myśl psychologicznych wskazówek natury, dostałem po łbie efektem masowej tresury.

Po tej lekcji życia w drodze do domu zatrzymałem się w księgarni i przejrzałem najnowszy podręcznik psychologii. Nie musiałem go długo wertować, aby zauważyć, że zawiera wszystko, co jego autorów upoważnia do dumy z posiadanych tytułów naukowych, faktycznie bowiem było w nim wszystko! — z wyjątkiem nauki o duszy człowieka.

15.

Jak się okazało, moje zdanie o zdolnościach organizacyjnych Rayta było zupełnie fałszywe: zbyt pochopnie uprzedziłem się do tego dzielnego człowieka, odmawiając mu trzeźwości w ocenie naszego położenia i biorąc go nawet za jednego z tych maniaków, podatnych na sugestie doktora Ostarholda. Co prawda, na podstawie jego pierwszych nieudolnych prób zjednania załogi i opanowania sytuacji na Arce żaden kapitan nie wystawiłby mu dobrej opinii. Dlaczego od tyłu dni nie zdawał mi sprawy ze swej działalności? Miałem powody do niezadowolenia, toteż gdy wreszcie stanął pod drzwiami kajuty i zameldował się przez marynarzy Clifsona, postanowiłem pozbawić go funkcji pierwszego oficera.

Przygotowałem się do ostrej rozprawy, ale już pierwszym zdaniem rozbroił mnie całkowicie i wprowadził w niemałe zdumienie:

— Niech pan kapitan pozwoli sobie zameldować, że od kwadransa płyniemy pod wszystkimi żaglami.

Popatrzyłem nań z niedowierzaniem.

— Jak to płyniemy?

— Zwyczajnie, to znaczy zgodnie ze wszystkimi zasadami nawigacji. Clifsonowi przypadła rola oficera pierwszej wachty.

— Więc wyremontowaliście statek?

— Według rozkazu.

— Sami?

— Nie, przy pomocy nowej załogi. Zwerbowałem ośmiu marynarzy i wytyczyłem kurs do najbliższego portu. Bosman umie operować kompasem i sekstansem.

Z wrażenia osunąłem się na fotel. Chyba kpił sobie ze mnie. To było zbyt wspaniałe, aby mogło być prawdziwe.

— Przecież ładownie zalewa woda!

— Już jej tam nie ma!

— A pożar na rufie?

— Ugaszony!

— I nic mi o tym nie meldowałeś?

— To miała być niespodzianka. Od pierwszego dnia czułem, że pan mi nie ufa. Moja nominacja wisiała na włosku. Wolałem się panu nie pokazywać do czasu ukończenia robót, bo zostałbym zdegradowany do funkcji szarego pasażera, zanim zdążyłbym coś wytłumaczyć. Na ziemi liczą się gołe fakty, choćby ułomne, lecz wymierne rezultaty, a nie doskonałe usprawiedliwienia, którymi można szczyścić się dopiero w niebie.

— Czy ster też naprawiliście?

Podszedł szybko do drzwi i otworzył je zniecierpliwionym ruchem.

— Szefie! Rozmawiamy tu o każdym detalu oddzielnie, podczas gdy z góry mógłby pan zobaczyć wszystko razem.

I zobaczyłem! Musiał mnie tam zaprowadzić, gdyż nagłe wzruszenie odebrało mi siły. Z trudem trzymałem się na nogach i dopiero powiew świeżego powietrza przywrócił mi pełną przytomność. Rzeczywiście: statek szedł równo pod wszystkimi żaglami — od bezantopsła aż po kliwry. Widziałem je w blasku pokładowych latarni. Ocean był mroczny i spokojny. Spoczywał w dole pod czarnym niebem usianym miriadami gwiazd.

Clifson stał obok sternika na kapitańskim mostku. Zapytał, czy mógłbym pełnić nocne wachty. Nie miałem nic przeciwko temu, jeżeli wolał czuwać nad statkiem w godzinach przedpołudniowych, tym bardziej że w czasie ostatniego tygodnia odzwyczaiłem się już od dziennego trybu życia. Zmieniłem go zaraz na posterunku. Raytowi przypadły w udziale wachty popołudniowe.

Jakiś marynarz wypatrywał lądu z bocianiego gniazda. Na pokładzie nadal panował bałagan, co jednak było niepoważnym drobiazgiem w porównaniu z faktem ocalenia Arki. Jeszcze nie mogłem ochłonąć z wrażenia i ledwie słuchałem oficerów ustalających szczegóły rejsu. Dopiero gdy Rayt wymienił nazwisko bosmana, wtrąciłem się do ich rozmowy:

— Kamizelka? A co on ma z nami wspólnego?

— Mianowałem go bosmanem — odparł Rayt po wysłuchaniu kolejnej uwagi sternika.

— Jego? Niemożliwe. Tego półgłówka stukniętego w ptasi mózdzek, który chodzi po statku w kostiumie topielca?

— Więc nie uzyskam aprobaty szefa?

— Wykluczone.

— Nie darzy go pan widać zbyt ciepłym uczuciem.

— A ty byś mu pewnie powierzył los Arki, gdyby cię przy wszystkich nazwał dezerterem!

— Poleciał mi pan jednak, abym sam sobie dobrał bosmana. Mimo pozorów jest to człowiek o wielkiej sile przebicia. Gdyby go pan zobaczył podczas jakiejś akcji...

Owszem, widziałem go już raz z gołym siedzeniem pod profesorskim kijem czeladnika cieśli. Przecież dobrowolnie położył się na krześle po groteskowym, ataku furii. Wtedy pomocnik bioenergoterapeuty osłabił mu impet siły przebicia. Ale nie przypomniałem Raytowi tamtej zdumiewającej sceny, bo nie miałem ochoty spierać się z nim dalej o takie drobiazgi jak bosman Kamizelka.

O szóstej rano na pokład wyszedł Clifson i przejął ode mnie dowództwo nad statkiem. Zaraz po śniadaniu poszedłem do swej kajuty. Przespałem tam cały dzień. Dopiero o zmierzchu wstałem z koi i skierowałem się na dolny pokład.

W korytarzu terapeutów panował ożywiony ruch. Drogę do kajuty Alicji zagrodziło mi niezwykle zbiegowisko. Prawie wszyscy chorzy przepychali się pod drzwi gabinetu cieśli okrętowego, gdzie obok swego inwalidzkiego wózka stała Klementyna. Pacjentka głuchoniemego magnetyzera promieniowała szczęściem. Jej cudowne uzdrowienie było wydarzeniem dnia. Prowadzona wzrokiem cieśli oraz słowami jego pomocnika, bez żadnego fizycznego wsparcia przeszła w drugi koniec korytarza i swobodnie wyprostowana wróciła do swych lekarzy. Profesor tłumaczył jej polecenia wydawane na migi przez głuchoniemego znachora, który stał się głównym bohaterem tego rzadkiego w sztuce bioenergetycznej wypadku. Po kolejnej demonstracji efektu leczenia pacjenci otoczyli go kołem. Wszyscy chcieli mu się przyjrzeć, widząc w nim źródło tajemniczej siły.

Profesor skromnie usunął się na bok. Gdy zwróciłem się do niego, uścisnął mi dłoń.

— Składam panom szczerze gratulacje i życzenia dalszych sukcesów na polu hipnozy — powiedziałem uroczyście.

Podziękował skinieniem głowy i zaraz, jakby czymś zaniepokojony, położył palec na ustach.

— Niech pan jej przypadkiem nie próbuje uświadomić, że z fotela wstała sama i w gruncie rzeczy bez naszej pomocy! Władzę w nogach odzyskała dzięki odblokowaniu swej ujemnej autosugestii, to znaczy bez udziału sił nadprzyrodzonych. Ale taka interpretacja cudu żadnemu z chorych nie przypadnie dziś do gustu. Odkąd przysłała moda na przepływ energii biologicznej, nikt nic chce już słuchać o starej, pocziwej hipnozie, od której tak wiele zależy w życiu każdego z nas.

— Wszystko więc polega na walce sugestii. Przy okazji zechce pan może wyjaśnić, dlaczego Kamizelka, wezwany do tablicy, zwymiotował najpierw pod pańskim adresem cały ładunek swych psychicznych nieczystości, a następnie jak urodzony masochista zamarł w pozie oczekiwania na dotkliwy cios?

— Chyba nikt tego do końca nie potrafi wytłumaczyć. Mnie tam przypadła rola pogotowia ratunkowego. Kamizelka zaś musiał uzupełnić zapas potrzebnej mu energii: nie mógł widać znieść tej przerażającej pustki, jaka zapanowała w jego duszy po całkowitym usunięciu jedynej treści. Od tamtej chwili znowu wie po co żyje, bo nadal ma do mnie żal.

Studentki Nguyeny nie dostrzegłem wśród obecnych. Jak zwykle, siedziała pod gabinetem swego mistrza. Zapewne logikoterapeuta nie ukończył jeszcze teorii bezpieczeństwa, gdyż w przeciwnym wypadku jego pacjentka nie musiałaby czekać. Tym razem towarzyszył jej młody adiutant marszałka, któremu coś wykladała:

— Poczucie bezpieczeństwa, identyczne jak poczucie zdrowia, nie staje się przedmiotem naszej analizy, dopóki w świadomości dominuje nad innymi uczuciami. Inaczej mówiąc, wcale nie wiemy, że je mamy, jeżeli go nam nie brakuje. Dopiero utrata tego poczucia daje nam znać o istnieniu neodparte potrzeby bezpieczeństwa.

Jak zauważyłem, nikt z pasażerów nadal nie interesował się losem Arki. Wszyscy trwali przy starych złudzeniach. Fakt ten nie powinien mnie zaskoczyć, bo skoro dotąd nie przykładali wagi do grożącego im niebezpieczeństwa, trudno było oczekiwać, że ucieszy ich wiadomość o kontynuacji rejsu. Dlatego nie spodziewałem się uznania ze strony obcych ludzi, licząc tylko na radość Alicji. Przez długie, godziny nocnej wachty wyobrażałem sobie, jak ona to przyjmie, i miałem prawo do dumy.

Jedynie jej reakcja nie była mi obojętna, toteż bardzo się na niej

zawiodłem, kiedy po wielu moich argumentach oświadczyła kategorycznie, że karceru nie może opuścić bez osobistego zezwolenia komendanta Kalma. Chociaż nic realnego nie stało jej na drodze, nie chciała wyjść na pokład i zobaczyć dzieła, w które włożyłem tyle serca i zdrowia, czym dała mi dowód lekceważenia, wbrew gorącym słowom o dalszej miłości. Nic już nas nigdy nie mogło pogodzić. Nie takiej kobiety szukałem! Choroba psychiczna tej upartej dziewczyny nie miała tu przecież żadnego znaczenia, bo zniósłbym wiele, byleby tylko polegała na mnie. Ale wybrała mrzonki komendanta Kalma!

Wychodząc z urojonej celi, byłem rozgoryczony i przekonany, że między nami wszystko już skończone.

16.

O dziesiątej wieczorem poszedłem na kapitański mostek, aby przejąć dyżur od Rayta. Ponieważ przez osiem godzin wiatr nie zmienił siły ani kierunku, prawie nic nie miałem tam do roboty. Po przyjściu Clifsona wróciłem do swej kajuty. Myślałem już tylko o odzyskaniu psychicznej równowagi po duchowej zdradzie Alicji, więc gdy w drzwiach ukazała się pielęgniarzka Anga, bez skrępowań wciągnąłem ją zaraz do koi i zgasilem światło.

O zmierzchu Indianka wyszła z kajuty. Na pożegnanie poleciła mi lekturę artykułu zamieszczonego w starym czasopiśmie, które przyniosła do mnie rano.

Artykuł nosił tytuł:

DYLEMAT SAMOTNYCH REWOLWEROWCÓW

Przypuśćmy, że pewnego dnia — w bliżej nieokreślonej przyszłości — sprzężony zespół superinteligentnych komputerów wojskowych zaalarmowany zostanie wydarzeniem o tej najwyższej humanistycznej wadze. Wykluczyła je teoria prawdopodobieństwa i wszelkie (poza skrajnie naiwnymi) wizje futurologiczne, a mimo to wszyscy — w głębokiej warstwie podświadomości — oczekiwali go z jakąś irracjonalną nadzieją. Wydarzenie to (gdyby nie konieczność utrzymania ścisłej tajemnicy wojskowej) rozпалиłoby umysł i serce całego świata: oto czule przyrządy obserwacyjne, penetrując z Ziemi odległą przestrzeń kosmiczną; dokonały w niej odkrycia... Drugiej Cywilizacji Ludzkiej.

Po przeprowadzonych zdalnie sumiennych badaniach maszyny psychologiczne stwierdzają tajemniczo:

„Dotąd ludzkość — nie wiadomo po co — na megatonach papieru kreśliła różne wersje kontaktów z rozumnymi ośmiornicami. I nagle łaskawy los daje jej prawdziwą szansę. Nie wnikajmy tu w szczegóły: oto Drugi Człowiek. W powszechnej pustce może on stać się dla was tym, czym z duchowego punktu widzenia Ewa była dla Adama w raju: poszukiwanym w marzeniach antidotum na samotność”.

Z jednej więc strony otwiera się przed ludźmi wspaniała perspektywa międzyplanetarnej przyjaźni, a z drugiej...

O mentalności mieszkańców bratniej planety sądzić należy również z ich militarnego dzieła. Na podstawie dokładnej analizy danych wiadomo z całą pewnością, że podobnie jak nasi zjednoczeni potomkowie dysponują już oni pociskami międzygwiazdowymi, to znacząco torpedami kosmicznymi o wielkiej mocy i o galaktycznym zasięgu. Rozpędzonej rakiety tego typu potencjalny wróg czy przyjaciel nie może w porę odkryć ani zniszczyć w locie. Z faktu tego wynika niezwykła w skali wszechświata techniczna równowaga sił i — co za tym idzie — obustronna możliwość zadania ciosu, który tylko jedną z planet zamieniłby w błysk promieniowania, po zagładzie bowiem żadna ze stron nie jest już w stanie dokonać odwetu.

W obliczu tej brutalnej prawdy ziemskie kalkulatory psychologiczne rozwiązują doniosły problem strategiczny nazwany przez wojskowych „dylematem samotnych

rewolwerowców”:

Czy ziemskim strategom wolno narazić naszą cywilizację na niebezpieczeństwo zagłady?

Nie wolno!

Jednak kto strzeli pierwszy, ten swoje sumienie obciąży winą okrutnej zbrodni dokonanej na potencjalnym przyjacielu. Nasza planeta jest dobra. Skąd pewność, że tamta jest zła? Zapytać ją o to? Nonsens! Bo jeżeli jest zła, to skłamię, by zyskać na czasie, i po chwili wymierzy nam podstępny cios.

Więc ognia!

Powoli. A jeżeli jest dobra? To nigdy nie strzeli i po zagładzie utrwali się w naszej pamięci jako zamordowany ideał dobra prawdziwego.

Kto strzeli pierwszy — ma pewność istnienia. Nie boi się już, ale to nie wszystko: ma pewność przetrwania... i winy, z ryzykiem wiecznego trawienia tej winy, gdyż szansa nie musi być powtarzalna. A zresztą — jeżeli istnieją też inne, podobne planety i konsekwencja w działaniu — jakie formy przybrałaby kiedyś duchowa degeneracja człowieka, gdyby Ziemia zdecydowała się na ten międzyplanetarny cios i gdyby się okazało, że piekło to potęgująca się samotność zaludniona widmami wielu takich storpedowanych szans?

Dylemat samotnych rewolwerowców to konieczność wyboru między dwiema niezmiernie przykrymi możliwościami. Kalkulatory rozwiązują go po swojemu: w układzie współrzędnych prostokątnych. Ekrany wskazują oś czasu i odchylenia, krzywej emocji. Z lewej strony punktu zbrodni przebiega stromy łuk krzywej strachu, z prawej — długa krzywa winy, która zawsze (o ile nie wzmocni jej kolejna zbrodnia) jest funkcją powoli malejącą w czasie. Jak się wydaje, po latach cierpienia stopniowo słabną, zwłaszcza — a może tylko wtedy! — gdy realizowane są szanse odkupienia winy. Lecz skoro po fakcie trzeba będzie czekać na sytuację, która przyniesie identyczny dylemat, aby tym razem — w celu złagodzenia winy — wybrać strach niepewności, lepiej jest przecież dokonać wyboru przed krytyczną chwilą.

Kalkulatory rozumują tak, jak gdyby „nic, co ludzkie, nie było im obce”, zakładając równocześnie, że mieszkańcom obu planet tak samo na tej przyjaźni zależy, jak i na własnym życiu. Maszyny bowiem wszystko pojmują dosłownie. Widzą więc „parę rewolwerowców” w osobach Adama i Ewy zawieszonych w kosmicznej pustce. Inaczej nie byłoby dylematu! Po dokładnym zrównoważeniu szalek wagi mózgi elektronowe wracają do krzywej strachu. Trzeba ją zbadać w trzech różnych odmianach: rosnącej, stałej i malejącej, przy czym dwie pierwsze ilustrują skutek silnego wahania emocji. Każdemu z trzech wariantów krzywej strachu odpowiada jedna, charakterystyczna dla niego reakcja: histeria, psychoza i determinacja.

W pierwszym i w drugim przypadku człowiek nie może się zdecydować, co dla niego jest gorsze: szczęście albo śmierć (ta alternatywa go czeka, gdyby nie wymierzył ciosu), czy puste życie i nic prócz stałej pewności, że sam zniszczył wszystko. Wahanie — nawet krótkotrwałe — prowadzi do wzrostu krzywej strachu. Długotrwałe wahanie zawsze wywołuje neurozę i w ostrym jej stadium — przy silnym nacisku zarówno konieczności wyboru, jak i niemożności — potęguje się, aż do wystąpienia reakcji histerycznej: „przerwać to za wszelką cenę!” I wtedy pada cios.

Komuś, kto nie godzi się z dylematami, wewnętrzna walka z niepewnością pochłania zwykle wiele czasu. Jeżeli po długim okresie wahania konflikt konieczności z niemożnością przekroczy granice wytrzymałości nerwowej człowieka, napięcie może rozładować się w psychozie. Pacjent (bo nosi to już nazwę choroby psychicznej) bezwiednie usuwa ze swego umysłu ów twardy dylemat, dzięki czemu jego strach przestaje rosnąć i w formie lęku o nie

znanej przyczynie trwa w nim dalej na niższym poziomie świadomości. Już człowiek cierpiący tylko na nerwicę nie zawsze zna przyczynę swego cielesnego lęku. Psychopata razem z niepokonanym dylematem, odrzuca też jakąś część „rzeczywistości obiektywnej”. Ten samoobronny manewr prowadzi go więc do zerwania psychicznego kontaktu z otoczeniem. Odtąd żyje w innym świecie, rzadko jednak bywa w nim szczęśliwy. Uwzględniając temperamento, mamy tutaj zespół depresyjny, a w nim przypadki głębokiego przygnębienia i spowolnienia aktywności aż do skrajnego osłupienia, zaś w zespole maniakalnym — karykaturalną wesołość i ruchliwość oraz akty agresji wobec ludzi, którzy chorego próbują ograniczyć:

Jest jeszcze trzeci przypadek — determinacja, czyli przyjęte bez większego wahania niezłomne postanowienie: „czekam na to, co mi przyniesie los”. Wtedy człowiek też się boi, że samoobronny cios padnie z tamtej strony, ale z biegiem czasu obawa maleje. W stosunkach międzyludzkich wybór pewności istnienia zawsze pociąga za sobą udrękę winy.

Ale co jest gorsze: pewność pokuty czy strach niepewności?

Anga wróciła po upływie godziny, jak gdyby chciała dać mi czas na dokładne przestudiowanie zagadkowego artykułu. Nie musiałem go tak długo analizować, aby zauważyć, że jest on zapewne punktem wyjścia do krzewionej od dawna na Arce paranoicznej wizji doktora Ostarholda. Oboje mieli zamiar pozyskać mnie dla swej obsesji — co do tego nie było wątpliwości, zastanawiała tu tylko zmiana metody postępowania: dawniej próbowali zredukować mnie do roli bezmyślnego narzędzia, teraz, zdecydowali się odłożyć kij i przemówić językiem łagodnej perswazji.

Tak to sobie wyobrażałem. Po powrocie Angi okazało się jednak, że jej szef jeszcze nie wie gdzie się teraz ukryłem. Tym razem działała we własnym imieniu i w tajemnicy przed nim. Wyjaśniła mi zaraz, dlaczego od rana powinienem mieć do niej pełne zaufanie. Podobno zawsze gotowa była stanąć w mojej obronie. Spodziewała się więc, że po kilku godzinach spędzonych z nią w koi zapomniiałem zarówno o Alicji, jak i o realnej rzeczywistości.

— Rozwiązałeś już dylemat samotnych rewolwerowców? — spytała siadając obok mnie na koi.

Zamknąłem czasopismo i dopiero wtedy zauważyłem napisy na jego okładce: w lewym górnym rogu — „ściśle tajne”, poniżej — „do użytku wewnętrznego”, pośrodku — „Perspektywy kontaktów kosmicznych”, i wreszcie — TEORIA WOJNY. Był tam jeszcze jeden napis, odręczny: „archiwum pokładowe” i numer katalogowy.

— Nie ma tu żadnego dylematu — powiedziałem. — Cały problem jest sztuczny, ponieważ Ziemia nigdy nie zaatakuje nikogo bez

dostatecznie ważnego powodu. Co prawda, mogłaby wystąpić we własnej obronie, ale z tamtej strony nic jej przecież nie zagraża. Więc dlaczego miałyby zrobić coś tak niedorzecznego? Sam autor artykułu słusznie zauważył, jak bardzo nam zależy na tej międzyplanetarnej przyjaźni. Już w zamierzchłych czasach, zanim przyszła moda na upiory, fantazjowano o ludziach na innych planetach. Najpierw były tylko te naiwne wizje. Powstawały w odpowiedzi na podświadome zapotrzebowanie. Czego to dowodzi? Wskazuje na ogrom naszej samotności! Bo ona rośnie w miarę, jak rozszerzają się granice ludzkiego poznania. Zwiększamy wciąż pole widzenia. Ale czym jest to nieustanne wpatrywanie się w przestrzeń, sięgające coraz dalej, już na odległość miliardów lat świetlnych, czym ono jest, jeśli nie ma nic wspólnego z poszukiwaniem drugiego człowieka? Psychiczej próżni nie wypełni nieprzeliczona liczba globów, odkrywanych po drodze, choćby obfitowały w pokłady jadalnej materii, które w trawiennej ekstazie moglibyśmy przepuścić przez swe przewody pokarmowe, przy życiu bowiem nie utrzymuje nas możliwość jeszcze sprawniejszej przemiany materii, lecz rozpalona nadziejami myśl, że we wszechświecie nie jesteśmy sami, zaś przeciwne przypuszczenie napawa nas przerażeniem jak rozbitka na bezludnej wyspie. Czyż w takiej sytuacji jest sens dyskutować o dylemacie samotnych rewolwerowców?

— Jaki ty jesteś beznadziejnie poczciwy! A może tylko usiłujesz być taki, bo inaczej rzeczywiście nie byłoby tu żadnej dyskusji. W naszym dylemacie zaakcentowałeś samotność człowieka, jakbyś w ogóle nie chciał słuchać o istnieniu pary rewolwerów. Ale to one są przyczyną głównej troski, gdyż bez nich sytuacja nie stwarzałaby problemu.

— Chcesz mnie przekonać o konieczności natychmiastowego rozbrojenia?

— O tym wcale nie ma mowy! Za późno na jakieś pertraktacje, kiedy tamci być może składają się do strzału. Stoimy przed faktem dokonanym, ponieważ palce spoczywają już na cynglach. Nie zapominaj o warunkach dylematu.

— Ziemska torpeda nie wystartuje, dopóki z tamtej strony nic nam nie zagraża.

— Tak sądzisz? Więc według ciebie sztuka samoobrony sprowadza się do tego, aby usunąć z naszej świadomości myśl o

prawdopodobieństwie ich ataku? Ale czy manewr ukrycia głowy w piasku, roztropny pewnie w przekonaniu strusia, przyniósłby zaszczyt ziemskiemu strategowi? Byłby to człowiek pozbawiony wyobraźni, lekkomyślny optymista, przewidujący jedynie zdarzenia przyjemne. Zespołowi ludzi tak ograniczonych Ziemia nie powierzyłaby swego bezpieczeństwa. Nawet jeśli jest to sprzeczne z twoim zdaniem na ten temat, spróbuj przyjąć do wiadomości, jakim torem przebiega rozumowanie wojskowego stratega: wprawdzie trudno mu ocenić wielkość prawdopodobieństwa ich ataku, w każdym razie jest ono większe od zera, więc nie wolno go wykluczyć. Ma tę pewność, bo skoro teoretyczna możliwość użycia torpedy już raz — choćby mimo woli — przyszła mu do głowy, musi założyć, że prędzej czy później myśl o zagrożeniu pojawi się również na tamtej planecie. Do czasu odkrycia drugiej cywilizacji ludzkiej nasza cywilizacja żyła w poczuciu niemal stuprocentowego bezpieczeństwa. Mieliśmy zaufanie do przyszłości, a począwszy od chwili, kiedy ich zauważyliśmy, do naszej świadomości wkradło się poczucie zagrożenia. Nadchodzi czas stresu dezorganizującego życie we wszystkich jego dziedzinach, lata nieustannej niepewności jutra, epoka zwątpienia w sens dalszych wysiłków i szerzącej się powszechnie neurozy. Czynnikiem destrukcyjnym nie jest samo zagrożenie, do którego przecież przywykliśmy na Ziemi, lecz pierwszy w dziejach świata fakt, że na prawdopodobny cios oczekujemy biernie. Właśnie ta beczynność w obliczu niebezpieczeństwa spędza sen z powiek ziemskim strategom. Nic tu nie pomoże chowanie głowy w piasek, kiedy wyobraźnia podsuwa im obraz lecącej ku nam galaktycznej torpedy. Oczywiście jest to skutek zbrojeń na tak wielką skalę, lecz skoro już do nich doszło, czy w końcu na Ziemi nie padnie ostry wniosek, że natychmiastowy atak daje pewność obrony?

— Obrony przed nieuzasadnionym strachem, który w twojej chorej duszy przybrał postać upiornej psychozy!

— Ależ tu nie chodzi o moje poglądy, tylko o decyzje reprezentantów Ziemi.

— Nie próbuj mnie nimi zastraszyć! Czyżby ludzie przyszłości mieli powierzyć swój los podobnym do ciebie histerykom, jakich sobie wyobrażasz na stanowiskach strategów? Tacy paranoicy nie zostaliby

wybrani naszymi przedstawicielami. Twoja wizja powszechnego zagrożenia zbudowana jest na fałszywym rozpoznaniu natury zdrowego człowieka. Pomyśl, jak wyglądałoby życie na Ziemi, gdyby każdy profilaktycznie niszczył wokół siebie wszystkich przyjaciół i gdyby to robił po prostu dlatego, że teoretycznie rzecz biorąc oni również mogliby mu zaszkodzić. Waszego dylematu nie potraktowałem poważnie, bo bawicie się nim w celu zaspokojenia swej kosmicznej obsesji. Ma on jednak sens w skali ludzkiego życia. Dzięki jego katastroficznej wymowie zrozumiałem wreszcie, na czym polega istota każdej manii prześladowczej: jak widać, nieszczęście to opiera się na sztucznym zwielokrotnieniu jakiegoś znikomego prawdopodobieństwa, do którego zdrowy człowiek nie przykłada żadnej wagi.

— A kim według ciebie jest ów zdrowy człowiek, jeżeli pozbawiasz go zdolności przewidywania?

— Jest kimś, kto cienie i blaski przyszłości widzi zawsze w realnych proporcjach.

— Może je widzi, dopóki żyje, ale po ataku torpedowym nie zobaczy już niczego. Czy taka krótkowzroczność jest przejawem inteligencji?

— Strzeliłaś w końcu z najgrubszej armaty i musisz milczeć, bo nie masz drugiego naboju. A ja ci zaraz udowodnię, że wasze zaślepienie jest rezultatem nielogicznego rozumowania typowego dla każdej psychozy. Nieustannie kładziesz nacisk na pragnienie bezpieczeństwa...

— Ponieważ bez niego nie byłoby dylematu.

— ...i nie pojmujesz, że istota, która pożerając wszystko dookoła siebie i rosnąc nieograniczenie w myśl waszych wskazówek, cały wszechświat wchłonęłaby kiedyś do swego pazernego organizmu, znalazłaby się w nim absolutnie sama — w duchowej próżni bez wyjścia! Czy ten kres dałby jej poczucie bezpieczeństwa? Jeśli o mnie chodzi — tak właśnie wyobrażam sobie piekło. Ile razy w indywidualnych stosunkach dochodzi do takiej izolacji? Wszyscy jesteśmy samotnymi rewolwerowcami! W naszym dylemacie nie trzeba sięgać aż po jego kosmiczną wersję, aby zauważyć, do czego prowadzi bezkrytyczny wybór „pewności istnienia”, do której zmierzamy zrywając wszelkie kontakty. Człowiek psychicznie zdrowy nie jest krótkowzroczny, przeciwnie — przewiduje dalej niż inni, a to znaczy celniej. Jest to ktoś zrównoważony, kto działa we własnym interesie, myśląc nie tylko o

doraźnej korzyści w postaci chwilowego odprężenia, doznanego po odrzuceniu kolejnej, ryzykownej, jak sądzi, oferty, ale przede wszystkim troszczy się o trwałe poczucie bezpieczeństwa.

— Czyje?

— Swoje!

— Przyznajesz to otwarcie?

— Tak, bo mojej koncepcji nie zamierzam bronić argumentami taniej moralistyki.

— Jeżeli dbasz o swe poczucie bezpieczeństwa, nie narażaj go daremnymi próbami oporu.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Dobrze wiesz, co mam na myśli.

— Nie wiem i po tej daremnej dyskusji wcale już nie jestem ciekaw. Poza tym nie mam czasu. Na pokładzie czeka mnie kilka ważnych spraw.

Wstałem i podszedłem do okna. Zły na siebie z powodu porannego incydentu, który oddalił mnie od Alicji, zamierzałem wyjść z kajuty, w czym przeszkadzała mi obecność Angi, bo drzwi chciałem zamknąć na klucz. Jeszcze raz zwróciłem się do niej:

— O jakim oporze mówisz? Zawadza ci pewnie niewygodny fakt, że Arka płynie pod wszystkimi żaglami. To wam krzyżuje plany pozyskania moich marynarzy dla waszej obłądnej misji.

— Jednak w rozmowie na tematy abstrakcyjne wykazujesz więcej przytomności umysłu.

— Nie brak mi jej również w konkretnej sytuacji.

— Więc przestań wreszcie udawać wariata! Twoje żagle na rejach — to prześcieradła powieszona w suszarni naszej żywej torpedy galaktycznej, która została wysłana przez ziemski komputer strategiczny i za osiem dni osiągnie wrogi cel! Zniszczy go bez skrupułów i zgodnie z zasadami błyskawicznego reagowania na zagrożenie ze strony innych cywilizacji, choćby prawdopodobieństwo ich ataku było znikome, kalkulatorom wszczepiono bowiem strach przed niebytem, zaś pojęcie samotności jest im zupełnie obce. Przeżywasz swe majaki, wegetując tu pod schodami do segregatora odpadków, na stosie brudnej bielizny pościelowej, a pod tamtym pokładem, gdzie pracownicy, nazywani przez ciebie marynarzami, rozwiesili na sznurach mokre prześcieradła — znajduje się pralnia Tomahawka, o czym dobrze wiesz. Widziałeś

przecież obłoki pary ulatniającej się przez szczeliny w stropie, które zatykał głuchoniemy cieśla.

— Po raz drugi usiłujesz mnie zadziwić bogactwem swej chorej wyobraźni i już zaczynam ci współczuć na myśl o twym przerażeniu, kiedy zawiniemy do portu. To musi być bardzo bolesne: poświęcić życie w imieniu ludzkości i nagle — ku zdumieniu żałobników — wyjść zdrowo na bezpieczny ląd. Taki powrót trudno zaliczyć do triumfalnych, toteż gdyby uznano was za dezterterów, z góry składam ci kondolencje, bo w porcie na głupstwa nie będę miał czasu.

— Patryk, spróbuj pomyśleć logicznie. Ludzie zamieszkujący tamten glob wiedzą o istnieniu Ziemi. Wkrótce po odkryciu ich planety nawiązaliśmy z nimi kontakt telewizyjny. Od pierwszej chwili była mowa o naszej wizycie przyjaźni; więc o załogowym locie. Według zapowiedzi pilotom towarzyszyć ma wielu ziemskich przedstawicieli, ponieważ bez nich — jak się domyśliliśmy — podejrzewaliby nas o atak torpedowy. Rakieta sterowana zdalnie lub automatycznie zostałaaby zestrzelona w drodze do celu. Po długiej podróży spodziewamy się teraz, że w ostatniej fazie hamowania, czyli za cztery doby, delegacja ich przyleci na spotkanie z nami. Przewiduje to program: przed lądowaniem nastąpi powitanie w przestrzeni, lecz poza kurtuazyjnymi motywami tej wizyty należy w niej dostrzec asekuracyjny zamiar dokładnego rozpoznania. Ci uprzejmi delegaci, a praktycznie czujni wywiadowcy, po gwiazdolocie chodzili będą swobodnie, dlatego — zanim zaczną tu szpiegować — trzeba usunąć z Tomahawka wszystkie kaleki oraz ludzi niepewnych moralnie, różnego rodzaju psychopatów, którzy podczas lotu nie wytrzymali dziejowej próby, gdyż tak znaczna liczba chorych obudziłaby podejrzenia, zwłaszcza gdyby wśród nich znaleźli zdrajców naszej sprawy. Chorych załadujemy do Arki (ta mała rakietka czeka teraz w komorze startowej Tomahawka) i skierujemy ku Ziemi, symulanci zaś i jawni dezterterzy — zgodnie z prawem wojennym — na wniosek komisji lekarskiej staną przed sądem polowym.

— A ja między nimi.

— Tak, to właśnie ci grozi.

— Na jakiej podstawie?

— Jesteś podejrzany o świadome i uporczywe uchylanie się od powszechnego obowiązku obrony ziemskiej cywilizacji. Swój plan

haniebniej dezercji realizujesz pod pozorem poważnej choroby psychicznej. Jeżeli symulacja zostanie ci udowodniona, wyłonią się też podstawy do oskarżenia cię o dokonanie zamachu dywersyjnego.

— Zamachu?

Wskazała drzwi do łazienki.

— Nie rób głupiej miny, bo odkręcając przeciwpożarowy hydrant, naraziłeś nas na zatopienie.

— Zdumiewasz mnie coraz bardziej. Dlaczego miałbym się bać tej rzekomej komisji wojskowej? Więc w twojej fantazji grozi mi coś gorszego niż śmierć po eksplozji waszej torpedy?

— Jaki ty jesteś cyniczny! Nie zależy ci na dobrej sławie w pamięci przyszłych pokoleń? Wybierasz stryczek, a mógłbyś pomyśleć o ratowaniu swego honoru. Zyskałbyś uznanie w oczach ludzi, skoro nasza ofiara zapewnia im bezpieczeństwo. Przyznaj się do oszustwa i pomagając nam przy tropieniu pozostałych zdrajców, daj dowód szczerzej poprawy. Twoja rehabilitacja jest jeszcze możliwa, gdybyś tylko przestał się upierać. Masz we mnie sojusznika i cennego pośrednika przy załatwianiu tej sprawy u doktora Ostarholda. Codziennie rozmawiałam z nim o tobie, aż przyrzekł mi w końcu, że wycofa swe orzeczenie, jeżeli go o to poprosisz.

— Chcesz mnie zmusić do poniżenia przed tym degeneratem?

— Ja ci tylko doradzam! Pośpiech jest wskazany, bo decyzja w sprawie dezertów zapadnie jutro wieczorem na konsylium psychiatrów w obecności ordynatora. Przedtem doktor Ostarhold musi mu przekazać raport o obserwacji przeprowadzonej przez doktora Kalma.

— Kogo?

— Nie wiedziałeś, że Kalm i jego asystentka na zlecenie Ostarholda poświęcili wiele czasu w poszukiwaniu dowodów twojej symulacji?

Otworzyłem drzwi i w milczeniu wyszedłem z kajuty. Przez, kilka sekund przebiegłem myślami wszystkie sytuacje, podczas których stykałem się z niewidomymi pasażerami Arki. Dopiero w korytarzu po raz ostatni zwróciłem się do Angi, zadając jej zbędne już teraz pytanie:

— I znaleźli je?

— Oczywiście!

17.

Chociaż jeszcze nie nadeszła pora mojej wachty, znowu musiałem W wyjść na pokład, aby odetchnąć świeżym powietrzem. Na wspomnienie dyskusji o dylemacie samotnych rewolwerowców dostawałem skrętu kiszek. Nie mogłem sobie darować tego bezmyślnego impulsu, który rano zaraz po powrocie do kajuty pchnął mnie w objęcia czerwonoskórej pielęgniarki. A przecież od pierwszego dnia nie czułem do niej niczego poza irytacją przeplataną odruchami nienawiści. I wcale nie zamierzałem jej dotknąć (chyba tylko kijem!) ani nawet słuchać, bez względu na to, czy przyszłaby do mnie z własnej inicjatywy, czy na czyjeś polecenie. Nic mnie nie skłaniało do tak pochopnego postępowania, nic prócz krótkotrwałego pragnienia zemsty na Alicji, która też żyła w hipnotycznych szponach ich dobrze zorganizowanej szajki.

Rayta nie zastałem na kapitańskim mostku. Poinformowany przez dyżurnego sternika, przeszedłem pod pokładem i znalazłem go w dziobowej kajucie wśród kilku mężczyzn grających w karty, skąd zaraz — jakby zaskoczony i speszony moim przybyciem — wyprowadził mnie na korytarz.

Jego kompani popijali alkohol. Nie chciał przy nich rozmawiać. Spodziewał się rugi za nieobecność na posterunku podczas popołudniowej wachty, okazało się jednak, że musiał zejść do marynarzy, z którymi miał pewne kłopoty. Akurat w tej chwili wybierał się do mnie, aby wspólnie znaleźć rozwiązanie nie przewidzianego przez nas problemu. Mówił niewyraźnie. Przez dłuższy czas nie rozumiałem, o co tym razem tu chodzi. Coś go onieśmiało, aż wreszcie bez ogródek wyznał, że ci hultaje — rozleniwieni w poprzednim okresie — nie mają zamiaru pracować na kredyt. Czy ja to sobie wyobrażam? Bunt na pełnym morzu! Po prostu wstydzi się za tych kretynów, którzy nie rozumieją grozy naszego położenia. Coraz trudniej mu jest utrzymać ich w ryzach. Już nie potrafi im wytłumaczyć, do czego to doprowadzi. Dopóki wiatr nie zmieniał kierunku, radził sobie jakoś z kilkoma zapaleńcami, a teraz prawie każdy domaga się zaliczki. Na szczęście może jeszcze liczyć na pomoc Clifsona, przynajmniej gdy chodzi o ofiarny

udział w pracach nad mapami, lecz. niestety dla tamtych darmozjadów i pijaków on również nie ma już gotówki. Niepokojony podniesionymi głosami dobiegającymi z kajuty co chwila zerkał ku drzwiom, jakby się obawiał, że korzystając z mojej obecności, marynarze sami zaczną się upominać o wynagrodzenie za poprzednie wachty.

Przez cały czas myślałem o Alicji. W aktualnej sytuacji na statku — tak pesymistycznie opisanej mi przez Rayta — nie widziałem żadnego problemu. Po wysłuchaniu jego sprawozdania dałem mu kilka tysięcy dolarów razem z plastikowym portfelem — wszystko, co tutaj miałem — aby te pieniądze czym prędzej rozdał kapryśnej załodze. Kiedy przeliczał banknoty, zastana, wiałem się, czy Alicja wyszła już z karceru. Ruszając ku schodom na dolny pokład, liczyłem godziny spędzone w łazience w ramach urojonej kary. Chciałem iść prosto do niej. ale w tej części Arki, do której przyszedłem w poszukiwaniu pierwszego oficera, nie byłem od trzydziestu dwóch lat, a ponieważ po kilku remontach wiele się tutaj zmieniło, miałem kłopot z odnalezieniem drogi do korytarza bioenergoterapeutów. W przejściu obok gabinetu Nguyena zastanowił mnie brak jego wiernej pacjentki. Ostatnio rozmawiała tu z adiutantem marszałka. Zamiast niej zobaczyłem znajomego konduktora.

— Czy ta kobieta weszła już do logikoterapeuty? — spytałem go, wskazując miejsce, na którym zawsze siedziała.

Opisałem mu wygląd studentki, ale i bez tego zaraz się domyślił, o kogo mi chodzi:

— Ta pani wysiadła na poprzedniej stacji.

Nie od razu zrozumiałem, co chce przez to powiedzieć.

— Jak to wysiadła?

— Normalnie: kiedy pociąg ruszył dalej, została na peronie.

— Niemożliwe. Pewnie dzisiaj nie miała czasu lub ochoty przyjść znowu pod gabinet i czekać na swego lekarza o zwykłej porze.

Zaprzeczył ruchem głowy.

— Niech się pan nie upiera!

— Powiedziała, że wysiada?

— Tak! I nigdy jej nie zobaczymy.

Ledwie uświadomiłem sobie sens informacji o bezpowrotnym odejściu studentki Nguyena, gdy na znak konduktora spoza rogu bocznego korytarza wyszli ukryci tam dwaj mężczyźni w kolejarskich

czapkach i niespodziewanie z obu stron chwycili mnie za ramiona.

— Zapłaci pan w końcu za przejazd bez biletu? — spytał poważnym tonem mój stary znajomy.

Odruchowo sięgnąłem do kieszeni, tym razem gotów ustąpić mu dla świętego spokoju, ale nie znalazłem portfela.

— Niestety, w tej chwili nie mam przy sobie pieniędzy.

— Ciekawe. Więc na czyj koszt chce pan podróżować? A jakiś dokument tożsamości?

— Dokumenty również zostawiłem u kolegi. Mógłbym je przynieść, gdyby panowie pozwolili mi wrócić.

— Gdzie?

— Kolega jest tu gdzieś w pobliżu. Poszukam go i zaraz... dosłownie za kwadrans...

— Mowy nawet nie ma! Miałbym biegać po wagonach, narażając się na nowe kpiny? Jeszcze tego brakowało! Już dość długo czekaliśmy, żeby pana złapać.

Szaleniec był nieubłagany. Wziął sobie widać do serca moje pełne arogancji zachowanie, gdy poprzednim razem poprosił o bilet.

Ponieważ wszystko w pośpiechu oddałem Raytowi, wariaci — głusi na wszelkie argumenty, lecz nie bez pewnej paranoicznej konsekwencji — postanowili zatrzymać mnie w przedziale konduktorskim, gdzie miałem czekać aż do przybycia policjantów na jednej z mijanych stacji. Eskortowany przez nich wszedłem do małej kajuty, umeblowanej dwiema ławkami. Kiedy wyszli na korytarz, usłyszałem zgrzyt klucza w zamku. Klamka zapadła, a przecież przed kilkoma dniami — w przypadku takiej awantury — liczyłem na pomoc ze strony marynarzy Clifsona, którzy stale powinni towarzyszyć swemu kapitanowi, zwłaszcza że na statku roiło się też i od różnych furiatów. Chociaż studentka Nguyena ostrzegała nas przed nimi, kolejarze okazali się sprytniejsi. Nie wyobrażałem sobie takiego finału!

Po upływie czterech godzin konduktor wrócił do przedziału. Raz jeszcze spróbowałem go przekonać o bezcelowości czekania na policjantów, którzy na statku w ogóle nie istnieli, nic nowego jednak nie miał mi do powiedzenia. Nie umiałem trafić mu do przekonania. Wszystkie uwagi na temat absurdalności ich kolejarzkiego urojenia zbywał całkowitym milczeniem, przy czym zachowywał się jak człowiek

w pełni z siebie zadowolony. Zaraz po powrocie sięgnął do służbowej raportówki, rozpakował stos apetycznych kanapek i zaprosił mnie do jedzenia. Jeszcze przez kilka minut udawałem obrażonego, ale pod naciskiem głodu wywołanego długotrwałym postem dałem się skusić. W końcu byłem mu wdzięczny przynajmniej za ten uprzejmy gest w stosunku do aresztowanego, tym bardziej że poza plasterkami szynki w przekrojonych bułkach miał też duży termos pełen gorącej kawy, z którego co pewien czas napełniał szklanki stojące między nami na małym stoliku.

I tak siedzieliśmy pod oknem naprzeciwko siebie, aż minął czas zmiany wachty i zarazem pora rozpoczęcia mojej służby na kapitańskim mostku. Rayt nie powinien mieć trudności ze znalezieniem zastępcy, skoro dysponował już pewnym kapitałem, niepokoiłem się tylko na myśl o Alicji, porzuconej wczoraj w gniewie na pastwę jej więziennych mrzonek i pozostającej nadal pod zgubnym wpływem sugestii komendanta Kalma.

Po kolacji mój uparty strażnik upewnił się ponownie, czy drzwi są zamknięte na klucz, a następnie wyciągnął papierosy. Jeszcze przez chwilę w zamyśleniu patrzył w okno.

— Noc wyraża wszystko, co jest najgorsze na tym świecie — przerwał wreszcie swe milczenie, podając mi ogień. — Oczywiście nie mam na myśli księżycowej ani słonecznej nocy. Czarna noc — to pustka tym głębsza, im więcej zawiera gwiazd. To ona jest synonimem zła i dlatego roztropny człowiek — jeżeli nie musi czuwać w jej ramionach — unika z nią kontaktu, zasypiając gdziekolwiek, kiedy go dosięga, byleby wśród marzeń o słońcu lub choćby w nieświadomości doczekać kolejnego dnia. Ktoś, kto o niej wie wszystko, kładzie się o zmierzchu i wstaje o świcie, ponieważ mrok jest wcieleniem ponurego bytu, zaprzeczeniem życia; skoro jednak istnieje też dzień, nie ma mowy o stałej bezsilności w potrzasku nocy.

Z tego powodu rozumiem zbiega korzystającego z osłony ciemności, ale zawsze dziwili mnie ci nie ścigani przez nikogo ludzie, którzy bez istotnej potrzeby podróżują w nocy. Czy pasażer wsiadający wieczorem do dalekobieżnego pociągu przewiduje, co go czeka w wagonie oraz potem — po przybyciu na miejsce? Na czym opiera swoje kalkulacje? Pewnie kosztem nie przespanej nocy chciałby zyskać dzień. Wiemy

dobrze, jak ten rachunek mija się z otrzymanym rezultatem. Lecz czy ruch w słonecznym blasku — sam w sobie — nie jest najpogodniejszym celem?

Więc skąd się bierze to szalone przekonanie, że każdy cel jest „tam” — daleko, i on jedynie ma jakieś znaczenie, a droga do niego, cała odległość pokonana w pełni sił i podczas jasnego dnia, zatem wśród krajobrazów zmieniających się w barwnej przestrzeni otaczającej pociąg — to przykra strata czasu, zaś ów ostateczny cel, często spoczynek w raju bliższym śmierci niż życia, po męce nocnej podróży osiągnięty resztkami sił, które nie pozwalają cieszyć się sukcesem — to ma być zysk?

Doprawdy, nie pojmuję filozofii nocnego pasażera! Niech pan spojrzy na któregokolwiek z nich. Przecież już cierpi! A co go czeka? Jakież sens upatruje w torturach obcowania z obrazem swej umęczonej twarzy, patrząc w czarne okno, które w sinym oświetleniu staje się zwierciadłem nocy, skoro obok własnego antypatycznego wizerunku widzi w nim jedynie odbicie ciasnego przedziału, wypełnionego postaciami również słaniającymi się z wyczerpania, przeżywającymi katusze ni to na jawie, ni we śnie, i skoro po tej wielogodzinnej udręce — jeśli rano nie wybierze snu (by nic dać dowodu idiotycznej wprost niekonsekwencji) — czeka go jeszcze całodzienna katorga? Zapewne widział pan te wagony pełne amatorów posępnej drogi. Czyżby ich cel wymagał ofiary wykluczającej radość z dążenia do niego?

Nie! Nigdy nie lubiłem ludzi podróżujących pośród ciemnej nocy. Mam im to za złe, bo gdyby nie oni — ci przebiegli we własnym mniemaniu rachmistrze — nie musiałbym co kilka dni pełnić tej ponurej służby i zawsze przeżywałbym świat w naturalnych jego kolorach i kształtach, oglądając go przez szyby z wagonu, począwszy od trawy rosnącej przy torze aż po błękitny kres w dali horyzontu.

— I z tego okna widział pan to wszystko?

— Co?

— Te wspaniałe krajobrazy w blasku słonecznej nocy: bezkresie równiny i pasma gór, skaliste brzegi wzniesione ku niebu nad morskimi zatokami, mijane miasta i wsie, domy niemal w zasięgu ręki, a dalej lasy w dolinach rzek i jeziora wśród śniegów, pola pod dywanami zbóż, czasem osiedla jak błyski flesza z trudem rozpoznawane w pędzie, mosty

nad przepaściami, to drewniane chaty, to znów miraż drapaczy chmur?

— Oczywiście! Zawsze podczas dziennej jazdy. Pyta pan jednak z takim zdumieniem, jakby w tym fakcie było coś osobliwego. I ta noc przecież skończy się niebawem, wystarczy tylko doczekać świtu. A wtedy wszystko zobaczymy stąd jak na dłoni.

— Już od tak dawna nie widziałem wschodu, że ledwie pamiętam ogólny zarys ziemi skąpanej w promieniach porannego słońca. Przez długi czas prowadziłem wyczerpujący, nocny tryb życia. Zajęty wciąż sprawami niecierpiącymi zwłoki, przespałem wiele słonecznych dni i dziś bliski już jestem, utraty wiary w możliwość kresu tej ponurej nocy.

Kilka minut po szóstej rano, zanim doczekałem świtu, do przedziału wpadli dwaj mężczyźni ubrani w białe płaszcze. Konduktor otworzył im bez sprzeciwu, kiedy przez zamknięte drzwi podali się za policjantów. Trzeci sanitariusz stał przed wejściem obok milczącego Ostarholda. Nic nie pomogły protesty oszukanego kolejarza: siepacze doktora obezwładnili mnie i po założeniu kamizelki ratunkowej — jakby na pośmiewisko pacjentom — przeprowadzili korytarzami do jakiejś odległej, bezokiennej kajuty. W drodze do nowego aresztu usłyszałem z daleka głos jednego z marynarzy Clifsona, który wołał, że wpływamy do portu.

Liczyłem jeszcze na pomoc załogi, toteż wkrótce po wyjściu sanitariuszy zacząłem dobijać się do drzwi, kopiąc w nie nogami. Hałasowałem donośnie, ale zamiast marynarzy, widocznie zajętych cumowaniem Arki, powrócił doktor Ostarhold i w towarzystwie swych pomocników zrobił mi zastrzyk usypiający. Równocześnie zostałem poinformowany, że przytomność odzyskam przed zabraniem komisji lekarskiej.

Ocknąłem się w innym pomieszczeniu. Wszystkie jego ściany, podłoga i drzwi wyłożone były miękkimi materacami. Znajdowałem się w izolatce przeznaczonej dla furiatów i miałem na sobie kaftan bezpieczeństwa. Teraz to dopiero zauważyłem, choć wciągnęli go na mnie już w przedziale konduktora: ramiona w długich rękawach krępowały mi sznury związane na plecach. Przypatrując się temu strojowi nie całkiem jeszcze przytomnym wzrokiem, uświadomiłem sobie ze zdumieniem, że wszystkie te ubiory, które dotychczas tu i

ówdzie widziałem na ludziach i tak niewinnie nazywałem kamizelkami ratunkowymi — były kaftanami bezpieczeństwa. Bosman Kamizelka też miał to na sobie, bo pewnie zbyt często się awanturował.

Przy drzwiach nie było klamki. W tej właśnie chwili, kiedy to spostrzegłem, otworzyły się cicho, lecz zamiast spodziewanych oprawców ukazał się w nich adiutant marszałka. Rozciął mi więzy tym samym nożem, którym mógłbym go zabić (wtedy po telefonicznej rozmowie z Palcem na Cynglu), gdybym posłuchał rozkazu Sharpa. Młody Indianin oddalił się szybko, zostawiając w zamku kilka kluczy na kółku. Jeden z nich pasował do drzwi przeciwległego pomieszczenia, skąd rozległo się wołanie o pomoc. Oszołomiony biegiem wypadków obserwowałem w milczeniu, jak z otwartej kajuty wytoczyło, się kilkunastu ludzi ledwie żywych z wyczerpania. Przez cały czas mieli dostęp do łazienki, więc wody im nic brakowało, ale byli zamorzeni głodem. W drodze na schody dowiedziałem się od nich, że na polecenie Ostarholda psychopaci zwabili podstępnie do tej pułapki i uwięzili w niej cały personel.

Nie bacząc na ból kolana, pobiegłem do korytarza bioenergoterapeutów, aby sprawdzić, czy Alicja jest w swej kajucie, nie musiałem tam jednak zaglądać, gdyż siedziała pod gabinetem.

Podszedłem do niej w milczeniu.

— Pójdę z tobą, dokąd zechcesz — powiedziała na mój widok i podniosła się z ławki!

Pewnie była już na pokładzie. Korytarz wyglądał nieco inaczej niż kiedyś. Bez chwili namysłu otworzyłem drzwi do gabinetu Nguyena.

Poza nimi ukazała się klatka schodowa, która zaprowadziła nas z piwnicy na parter i przez frontowe wyjście — zaryglowane od środka dwiema zasuwami — przed nasz samotny dom, zasypany śniegiem miejscami aż po dach i lśniący w promieniach słońca.

Daleko nad białymi górami majaczyły żurawie portu. Jest jeden z tych pogodnych dni, gdy nad zatoką błękitnieje niebo, śnieg lśni w blasku południa i robi się dość ciepło, by można było otworzyć okno. O takiej porze, w czasie powolnego topnienia lodów i niespiesznego parowania wody, zapach ziemi unosi się ku górze wraz z oddechem powszechnego spokoju i ciszy. Senny powiew w rytm tanecznych skłonów firanki przelewa się nad parapetem i strumieniem ożywczego chłodu wpływa

leniwie pod koszulę, omywając całe ciało z resztek niedawnego napięcia. Twarz wygładza uczucie ulgi, serce bije równym rytmem, do wszystkich tkanek powraca równowaga, bez której mięśnie nie mogłyby odzyskać swej zwyczajnej siły. To pierwsze wiosenne tchnienie powietrza wiejącego tu sponad nagranych stoków przez czarno-biały pejzaż ma w sobie moc zwiastuna dobrej nadziei. Pod jego łagodnym wpływem jakaś świeża myśl dochodzi do głosu w głębi świadomości i pobudzając pragnienie życia, nie wiadomo jak usuwa znużenie lub koi ból i leczy przewlekłe rany.

Gdy przychodzi taki dzień, trudno oprzeć się wrażeniu, że otwarte okno rozszerzyło zduszony czymś świat i pogłębiło go do nieznanych granic. Z miejsca za stołem wzrok ogarnia biały masyw gór, pokryty pasmami granatowych cieni, a przy zatoce — szyny kolejowego toru, widoczne aż do widnokręgu, gdzie za stromym brzegiem szosa poprowadzona na skalnym progu stacza się ku drugiej dolinie, bliżej zaś — żagle w świetle dnia nad czerwonymi lub ośnieżonymi dachami domów. Mewy szybują w czystej toni nieba. Na skraju pobliskiej kałuży dzieci zebrały piasek do budowy tamy, która w ich planach ma zmienić kierunek ulicznego potoku. Pod nieszczelną rynną nie opodal balkonu dzienne odwilże na przemian z przymrozkami kilku ostatnich nocy utworzyły szereg wielkich, przezroczystych sopli. Woda spływająca ze śnieżnej zasy na dachu gładzi je do połysku i zwilża roziskrzonymi kroplami. Za nimi jest słońce. W perspektywicznym skrócie otwartej przestrzeni tak to wygląda, jakby pomarańczowa kula otaczała te lodowe bryły i bezpośrednio udzielała im swego ciepła, przy czym promienie przenikające przez ostrza, muskając w locie brzegi firanek, rzucają na ścianę barwne plamy.

Pomimo tej radosnej gry światła, w nastroju pociechy po jakimś zdarzeniu do pełnej ulgi brak jednak czegoś, co być może przyniesie wieczór. Bo tutaj — pośrodku pokoju czekającego na powrót Alicji — jest nieco smutniej niż tam na dole, między uśpionymi ogrodami, gdzie ona wkrótce musi się ukazać.

Smoliste cienie pośpiesznymi torami rozwijają po ziemi więzy mroźnej nocy. Dogasa już dzień, ale świat jaśnieje nagle na widok znajomej postaci. Alicja niesie coś do domu: dwa duże opakowania — błękitne i jasnożółte, z lekkim odcieniem wiosennej trawy. Sylwetka jej

przemyka na tle sinej bieli wśród czarnych drzew o wierzchołkach zanurzonych w smudze bliskiego zachodu. Wszędzie wokół niej panuje wewnętrzna zgoda i rozległa cisza, oprawiona w ramy dalekich głosów, ponad którymi dominuje miarowy oddech morza. Poczucie spokoju kołysze myśli do snu o bezpiecznej trwałości tego stanu. Jest tak lekko na duszy, jak to bywało w najlepszych latach.

Warszawa 1985

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[1.](#)

[2.](#)

[3.](#)

[4.](#)

[5.](#)

[6.](#)

[7.](#)

[8.](#)

[9.](#)

[10.](#)

[11.](#)

[12.](#)

[13.](#)

[14.](#)

[15.](#)

[16.](#)

[17.](#)